



NINA LYKKE

NIE,

PO PROSTU NIE

Błyskotliwy, przejmujący i mocny dramat
z trójkątem miłosnym w tle...

NINA LYKKE

NIE,
PO PROSTU NIE

przełożyła z norweskiego
Karolina Drozdowska



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Tytuł oryginału: *Nei og etter nei*

Projekt okładki: *Krzysztof Rychter*

Redakcja: *Elżbieta Meissner, Agencja Wydawnicza SYNERGY*

Redaktor prowadzący: *Aleksandra Janecka*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Katarzyna Szajowska*

© Forlaget Oktober AS, Oslo 2016

All rights reserved

Translation rights arranged by the Agreement

with Oslo Literary Agency, Norway

and Book/lab Literary Agency, Poland

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2018

© for the Polish translation by Karolina Drozdowska

This translation has been published
with the financial support of NORLA



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2018

„Jest to niezadowolenie, które pragnę w tym miejscu nazwać niezadowoleniem wynikającym z wielkich oczekiwań. Pewność zatrudnienia, poczucie bezpieczeństwa socjalnego i dynamicznie rosnący z roku na rok standard życia sprawiają, iż z ufnością patrzymy w przyszłość, lecz jednocześnie budzą zniecierpliwienie tym, że nie zmierzamy ku tej przyszłości tak szybko, jak byśmy pragnęli”.

Fragment wystąpienia szwedzkiego premiera
Tagego Erlandera przed Riksdagiem,
Sztokholm, styczeń 1956 roku

Spis treści

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

Podziękowania

1

Jaki jest sens wypruwać sobie żyły w szkole? Tylko po to, żeby później mieć pracę, dom i dzieci, i dalej wypruwać sobie żyły, aż do śmierci? – zapytał Jonas, gdy miał trzynaście lat. – Czy nie lepiej zamieszkać w przyczepie kempingowej i żyć z zasiłku? – dodał, a Ingrid nie zdołała wymyślić sensownej odpowiedzi. Bo właściwie czemu nie mieszkać w przyczepie, pomyślała, czemu nie żyć z zasiłku, nie położyć się i zwyczajnie się nie poddać? Oto i geny, do głosu doszła drzemiąca w niej choroba, rezygnacja i bezwład, które sama zdołała przewalczyć, lecz które – o proszę! – ujawniły się właśnie u Jonasa, a wkrótce ujawnią się także u Martina. Obaj będą przygnębieni, otyli i całymi dniami przyklejeni do urzędzeń z jakimiś migoczącymi gramami.

Na szczęście wtedy skończyło się na jednorazowym rzucie, ale jakiś rok później obaj jej synowie przestali się odzywać. Jednego dnia ćwierkali niczym ptaszki, a już następnego, gdy przy obiedzie rodzice próbowali nakłonić ich do rozmowy, wpatrywali się w milczeniu w swoje talerze i wydawali z siebie pojedyncze pomruki. Ingrid i Jan starali się podtrzymać konwersację przynajmniej między sobą, ale w towarzystwie mrukliwych przeżuwaczy nie było to takie proste, a przy okazji wyszło na jaw, że po tych wszystkich latach wspólnych zmaganiach z codziennością zatracili również zdolność wymiany myśli.

Z czasem obaj synowie znów zaczęli z nimi rozmawiać, ale już bez tej dziecięcej naiwności. I dobrze, inne zachowanie byłoby dziwne i wręcz nienormalne, pomyślała Ingrid. Mimo wszystko czuła zadowolenie. Mogło być gorzej. Odkąd sięgała pamięcią, nękały ją uporczywe myśli o katastrofach, a precyzyjniej rzecz ujmując, fantazje o tym, jak im zapobiega. Gdy Ingrid miała trzy lata, jej matka odebrała sobie życie. Cztery lata później jej ojciec osiągnął wreszcie cel, do którego długo dążył, i zapił się na śmierć. Wtedy to Ingrid uświadomiła sobie, że już jako trzylatka była na tyle duża, by samodzielnie otworzyć drzwi wejściowe, zapukać do sąsiadów i poprosić, by wezwali karetkę; umiała już przecież chodzić i mówić. I tak samo potem, jako siedmiolatka, była przecież wystarczająco duża, by pojechać tramwajem do Frognerparken, odwrócić nieprzytomnego ojca na plecy i odciągnąć go od kałuży, w której się topił.

Ale wtedy spała w swoim łóżeczku. Dopiero następnego ranka, długo po tym, jak przez jej matkę przepłynęło ponad trzydzieści tabletek nasennych, niszcząc po drodze jej narządy i zatrzymując funkcje życiowe, sąsiedzi usłyszeli wrzask Ingrid. Zaopiekowali się nią dziadkowie mieszkający w Hovseter. Od czasu do czasu pojawiał się tam jej ojciec, który od razu zalegał w pokoju gościnnym w celu wytrzeźwienia. Leżał tam, krzycząc o małych szarych ludzikach, którzy chcą wciągnąć go do piekła i upiec na rożnie. A potem znów znikał. Wracał i odchodził, aż pewnego ranka znaleziono go we Frognerparken z twarzą w kałuży. Ingrid odwiedzała go z dziadkami w szpitalu przez te kilka dni, zanim zmarł na zachłystowe zapalenie płuc. Mogłam go uratować, pomyślała, patrząc, jak leży bez przytomności, podłączony do niezliczonych rurek i wężyków. Ta prosta myśl zrodziła się w szpitalu Ullevål jesienią tysiąc

dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku, kiedy to jej siedmioletni mózg ze szczególną intensywnością chłonał nowe idee, myśl rozrastała się bowiem, wypuszczając wciąż nowe pędy. Wkrótce potem Ingrid wymyśliła sobie również, że mogła uratować matkę, a refleksja ta z biegiem lat coraz bardziej rozciągała się w czasie i przestrzeni, sprawiając, że w pewnym stopniu poczuwała się do odpowiedzialności za wydarzenia mające miejsce po drugiej stronie kuli ziemskiej, jak również w czasie drugiej wojny światowej, w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym, to jest na długo przedtem, zanim sama przyszła na świat, a jej dziadka wywieziono do Sachsenhausen. Za każdym razem, gdy rozmowa schodziła na drugą wojnę światową lub cokolwiek innego, co mogło do tego tematu prowadzić, dziadek wychodził z pokoju. To, że dziadek w środku rozmowy wstaje i wychodzi, było dla Ingrid tak samo naturalne jak to, że na deszczu się moknie. Nikt nie kwestionował tego zachowania. Krewni Ingrid byli zdania, że pomiędzy milczeniem dziadka a samobójstwem matki przebiega prosta linia. Druga wojna światowa wżerała się w rodzinę, przenikając kolejne pokolenia. Ingrid powinna była ostrzec dziadka przed pojmaniem go przez gestapo, matka by się wtedy nie zabiła, a ojciec nie zacząłby tyle pić.

Trzeba być przygotowanym na najgorsze. Te słowa zapuściły w niej korzenie, odporne na działania rozsądku i logiki, jak również na hipnozę i psychoterapię, których także próbowała. I podobnie jak jej rodzice, którzy umierali, podczas gdy ona smacznie spała w swoim łóżku, nie przestaną umierać także inni ludzie, ale Ingrid niezmiennie każdego ranka czytała o katastrofach i wypadkach poprzedniej nocy, zamęczając się myślą, że nie kiwnęła nawet palcem, aby im zapobiec.

Za każdym razem, gdy mijała pustą galerię lub wyludnioną restaurację, musiała walczyć z pokusą, by wejść do środka, udając, że jest zainteresowana tym, co wisi na ścianach, lub by zająć miejsce przy jednym ze stolików. Musiała przeznaczać sporo energii na zwalczanie podobnych impulsów, często dochodzących do głosu w różnych dziwnych sytuacjach. Jeśli akurat przechodziła obok kawiarni, w której kelner, stojąc przy oknie, melancholijnie spoglądał na chodnik, potrafiła znaleźć setki powodów, by napić się kawy, choć przed chwilą ją piła, po to tylko, by mieć pretekst, aby tam wejść i tym samym skierować wszystko na właściwy tor, dokonać korekty sytuacji. Fakt, że wejdzie do pustego lokalu i pogapi się na obrazy albo zamówi kubek kawy, niczego nie naprawi, miała tego świadomość, to przecież nie jej problem, że ktoś się uparł otworzyć galerię czy kawiarnię na rzadko uczęszczanej ulicy. Ale wszystko to mówiły jej logika i rozsądek, a ich piskliwe, cienkie głosiki nie miały argumentów przeciwko przemożnej potrzebie wykonywania tych, a nie innych czynności, zupełnie jakby wszystkimi tymi jej bezsensownymi działaniami karmiła się jakaś wszechmocna istota, która zdawała się mówić: „Zrób to, a obiecuję, że ujmę ci za to część twej ogromnej winy”. Istota ta swoich obietnic nigdy nie dotrzymywała, lecz mimo to Ingrid ulegała jej raz za razem.

Gdyby coś się stało jej synom, byłby to dla niej koniec życia. Przestałaby istnieć, a wszystko dobiegłoby kresu. Mimo to nie chciała spędzać z nimi więcej czasu, niż było to konieczne. Gdy tylko któryś z nich wchodził do pokoju, przyspieszało jej tętno, jakby była jakimś leniwym pracownikiem fabryki, a dwudziestoletni Jonas i osiemnastoletni Martin jej surowymi dyrektorami. Ingrid od razu wiedziała, kiedy chcą od niej pieniędzy – ich twarze stawały się takie otwarte i przyjazne, prawie jak wtedy, kiedy byli dziećmi. Z początku ją to smuciło. Zupełnie jakby coś między nimi się skończyło, myślała, gdy wpadali do domu i patrzyli jej w oczy z uśmiechem jedynie wtedy, gdy czegoś od niej chcieli.

Przyjdiesz dziś na obiad? – pytała czasem w wiadomości tekstowej, a gdy odpowiedź, o ile w ogóle nadchodziła, brzmiała: *nie*, bez wielkiej litery, wyjaśnienia ani nawet wymówki, odpisywała: *OK. Zostawię Ci do odgrzania :-)*. Nie pozwoliła, żeby to wszystko była jej wina, pomyślała Ingrid i nacisnęła „wyślij”.

Rok po skończeniu szkoły średniej Jonas nadal mieszkał w domu i zastanawiając się, co i czy w ogóle studiować, pracował w piekarni Åpent Bakeri w Holtet, a zarobione tam pieniądze inwestował w akcje.

– Czy on nie powinien dokładać się do rachunków? – spytała Ingrid Jana.

– No tak... Ale nie potrzeba nam pieniędzy – odparł jej na to. – Więc zmusilibyśmy go do tego tylko dla zasady. A to by było bez sensu.

– Może masz rację – odrzekła Ingrid. – Ale gdyby musiał płacić, to może mieszkanie z nami nie byłoby już dla niego takie atrakcyjne.

– Na pewno niedługo się wyprowadzi. Moim zdaniem to miłe, że nadal tu mieszka, możemy razem oglądać telewizję i jeść sushi. Pomyśl tylko, jemu ciągle jeszcze chce się spędzać piątkowe wieczory w rodzinnym domu przy winie i sushi, chyba niewielu dwudziestolatków tak robi.

– Ależ owszem, całkiem sporo. U mnie w pracy dużo się mówi o tym nowym zjawisku, o dorosłych dzieciach, które zamiast w weekendy wychodzić na miasto przesiadują w domu przed telewizorem. A wino i sushi dla czterech osób jest dużo droższe niż dla dwu. Utrzymanie dorosłego kosztuje dużo więcej niż utrzymanie dziecka. Powstaje coś w rodzaju komuny, tyle że to ty za wszystko płacisz, za wszystkich zmywasz i sprzątasz.

Ingrid wiedziała, że chłopcy spędzali z nimi piątkowe wieczory dla darmowego wina i sushi, a także dlatego, że Ingrid i Jan, zaszczytzeni łaskawą obecnością synów, pozwalali im decydować o oglądanych programach w telewizji. Zazwyczaj wybierali filmy i seriale, które wyganiały Ingrid do kuchni, gdzie przeglądała na komórce internetowe wydania gazet, pozwalając, by odgłosy wystrzałów i wrzaski niesły się po całym domu.

– Niedługo się wyprowadzą – zapewniał Jan.

Ingrid często wyrzucała sobie urodzenie dzieci. Mogące się im przydarzyć nieszczęścia, wszystkie te zagrożenia, były niczym otchłań, która otwarła się w dzień narodzin Jonasa i miała się już nie zamknąć do końca jej dni. Małeńkie ciało synka tchnęło nowe siły w stare myśli katastroficzne i dlatego Ingrid miała świadomość, że ani ona, ani Jan nigdy się nie zdobędą na wyrzucenie chłopców z domu i zachęcenie ich, by się usamodzielnili. Nie będą nawet w stanie grzecznie ich poprosić, żeby się wyprowadzili. Bo co będzie, jeśli coś im się stanie? Jeśli będą naciskać na Jonasa, żeby znalazł sobie mieszkanie, zaczął się utrzymywać z pensji albo kredytu studenckiego, a on na przykład spadnie z balkonu na jakimś afterparty i będzie sparaliżowany albo zostanie zamordowany w kolejce do taksówki, czy też upije się do nieprzytomności, utknie w śnieżnej zaspie i zamrznie na śmierć? I nikt się nawet nie zorientuje, bo chłopak nie będzie już mieszkał w domu, gdzie ktoś czuwa i czeka na niego w nocy, tak jak Ingrid, która faktycznie czuwała, przekręcając się bezsennie z boku na bok aż do chwili, gdy wrócił z miasta.

Ingrid pamiętała popołudnia z czasów własnego dzieciństwa. Dziadkowie wymagali, by w domu panowały spokój i cisza, kiedy chcieli zdrzemnąć się po obiedzie. Nie była nawet

w stanie sobie wyobrazić, że ona i Jan, w jakimkolwiek momencie dorastania chłopców, mogliby w środku dnia położyć się na sofie i zażądać ciszy. W ich życie po obiedzie zazwyczaj wkraczały stres i pośpiech, bo człowiek – obwieszony sprzętem sportowym – musiał jak najszybciej wyjść z domu, wsiąść do wychłodzonego auta i jechać na sztucznie oświetlone boisko czy stadion, gdzie potem się czekało, drżąc z zimna, bo było się na tyle daleko od domu, że nie opłacało się robić dodatkowego kursu, i tak dalej.

Teraz zaczęło do niej docierać, że cała ta mordęga była bezcelowa. Może nie dla niej i Jana, oni przynajmniej mieli jakieś poczucie zadowolenia z faktu, że wywiązywali się ze swoich rodzicielskich obowiązków zgodnie z duchem czasu. Ale na życie chłopców nie miało to żadnego widocznego wpływu. W szkole nie byli ponadprzeciętnie pilni czy zdolni ani też szczególnie towarzyscy czy grzeczni, wszystko w nich było przeciętne i zwyczajne, a gdyby Ingrid miała ich jakoś scharakteryzować, powiedziałyby pewnie, że *potrafią zadbać o swoje interesy*. Właśnie tak próbowali wychowywać swoich synów: żeby umieli o sobie zadbać, by nie spotkało ich nic złego.

Wyobrażała sobie czasem, jak w przyszłości chłopcy odwiedzają ją w domu opieki, widziała ich jako mężczyzn w średnim wieku, ciągnących za sobą żony i nastoletnie dzieci; to będzie niedziela, jedna niedziela w miesiącu, nawet się nie rozbiorą, tylko zajmą miejsca po obu stronach jej wózka inwalidzkiego w ogólnodostępnym salonie. A Ingrid będzie drzemać z przechyloną na bok głową, być może nadal w śliniaku z zaschniętymi plamami po obiedzie, którego nie zdążą jej zdjąć opiekunki. A jej synowie w średnim wieku, wciąż w kurtkach, będą się gapić w przestrzeń albo w ekrany komórek czy też innego popularnego i przez wszystkich kupowanego wówczas sprzętu, podczas gdy ich żony będą próbowały prowadzić rozmowę, może zapytają, co Ingrid dostała na deser, zrobią to z porozumiewawczym uśmiechem, jakby Ingrid była kapryśnym dzieckiem, które nie chce jeść niczego poza deserami i innymi łakociami. Nastoletnie wnuki będą w regularnych odstępach czasu wydawać z siebie znudzone jęki, wreszcie po upływie półgodziny wszyscy sobie pójdą i zobaczy ich znowu dopiero za miesiąc.

Nie będą się zamartwiać i niepokoić, tak jak ona zamartwiała się i niepokoiła o swoich rodziców i dziadków. Ingrid widziała paradoks w tym zjawisku, dostrzegalnym zarówno w jej rodzinie, jak i u reszty społeczeństwa: rodzice niewydolni w swojej roli spotykali się ze strony swoich dzieci z zupełnie innym zainteresowaniem i opieką niż ci, którzy prawidłowo wypełniali swoje tak zwane obowiązki. Nierzadko zdarzało się, że dzieci matki alkoholiczki zajmowały się domem, przejmując tym samym rolę opiekuna, chowały butelki i ubierały matkę jak należy przed wywiadówkami, byle tylko do akcji nie wkroczył urząd ochrony praw dziecka. W zależności od wielu różnych czynników losy takich synów lub córek mogły się później potoczyć dobrze albo źle, ale wszystkich ich łączył fakt, że rodzice stanowili centralny punkt ich życia. Rodzice alkoholicy czy narkomani byli niczym czarne słońca, wokół których bez spoczynku krążyło istnienie ich dzieci, niczym zagadki, które synowie i córki zawsze będą próbowali rozwiązać. Ingrid oglądała filmy dokumentalne o takich dzieciach, szczególnie zapadła jej w pamięć otwarta i pełna nadziei twarz chłopaka, który odwiedzał swoją zapijaczoną matkę w jej mieszkaniu komunalnym. Otworzyła mu drzwi po dłuższym czasie, poruszała się o kulach, a syn uściskał ją na powitanie i spytał, co u niej słychać: „Co u ciebie słychać, mamo, jak się czujesz, czy dobrze się odżywasz?”, a matka mamrotała coś w odpowiedzi, kuśtykając do pokoju. Syn ruszył za nią, ale na koniec odwrócił się jeszcze do kamery i dodał: „Wydaje mi się, że dziś miewa się całkiem nieźle”.

Ingrid z czasem doszła do wniosku, że rodzice są ważni, ale na tej zasadzie, na jakiej ważne jest powietrze i woda – coś, co dostrzega się dopiero wtedy, gdy znika lub staje się trujące. I tym są właśnie rodzice, myślała Ingrid – czymś, co się dostrzega lub co wywiera wpływ, i to zawsze negatywny, dopiero gdy zaczyna tego brakować lub gdy staje się to toksyczne i szkodliwe albo gdy ci rodzice odbierają sobie życie, zmieniają się w alkoholików, narkomanów czy przestępców. Innymi słowy: jako rodzic nie możesz uczynić swoich dzieci lepszymi, *niż i tak by się stały*, spokojnie możesz natomiast kompletnie je popsuć.

Gdyby udało jej się posiąść tę wiedzę wcześniej, oszczędziłoby jej to wiele wysiłku. W kwestii wychowywania swoich dzieci oboje z Janem szli z duchem czasu: dali im dzieciństwo pełne deklaracji uczuć i fizycznego kontaktu, rodzinne śniadania, doping na meczach piłki nożnej, przyjęcia urodzinowe, zdrowe drugie śniadania komponowane zgodnie z piramidą żywienia, bajki czytane na dobranoc, uwagę – przychylnie ucho dla opowieści o ich fantazjach i marzeniach, cierpliwe odpowiedzi na wszystkie pytania. Niemal dekadę co wieczór siedzieli z Janem u każdego z chłopców minimum pół godziny; jednego dnia on u Jonasa, a ona u Martina, drugiego dnia – na odwrót. Przygotowywali im posiłki z nieprzetworzonej żywności, z najdrobniejszą błahostką wozili ich do lekarza, pocieszali, głaskali, odprowadzali i odbierali. Stawiali się na wszystkie rozmowy z pedagogiem, wywiadówki i czyny społeczne. Pozwolili nawet, by obaj chłopcy zapisali się do szkolnej orkiestry, mimo że żaden z nich nie wykazywał szczególnego zainteresowania muzyką, a zgłosili się tam tylko ze względu na podróże, które były finansowane z organizowanego dwa razy w roku pchłego targu, co wymagało od Ingrid i Jana poświęcenia czterech czy pięciu wieczorów każdej jesieni i wiosny na jeżdżenie po mieście i zbieranie mebli, zasłon, zabawek, ubrań, bibelotów i sprzętów elektrycznych, a następnie całego weekendu na sprzedawanie wszystkich tych rzeczy, po to tylko, by ich synowie nauczyli się fałszywie i nieporadnie grać na trąbce oraz saksofonie *Yesterday* i *Just a Gigolo*.

Po co? – myślała Ingrid, gdy każdej nocy budziła się około wpół do drugiej i rzadko była w stanie zasnąć na powrót przed świtem. Leżała tak, na tyle przytomna, by zadrećcać się myślami, lecz zbyt wykończona, by robić cokolwiek innego, w rozjaśnionej światłem latarni pustce nocy, w której nie było się gdzie schować, i wtedy właśnie wracało jak bumerang jedno konkretne wspomnienie. Przez wiele lat wozili z Janem chłopców na boisko w Ekeberg, wozili nie tylko *ich samych*, lecz również ich rowery, ale to jeszcze nie wszystko. Ingrid zacisnęła powieki, chcąc się uchronić przed jasnym i wyraźnym wspomnieniem, jak ładuje rowery synów do ich volkswagena caravelle, a oni siedzą w samochodzie, wgapieni w swoje telefony. Oto spocona i wykończona kobieta w wieku średnim pakuje rowery do samochodu, a w środku siedzą dwa wyrosnięte samce gatunku ludzkiego, *czekając, aż ona wreszcie skończy*.

Dwa powołane przez nią na ten świat samce były teraz większe od niej i choć przewyższały ją wzrostem, nie były w stanie podetrzeć sobie tyłków. Ich naznaczone smugami odchodów majtki Ingrid spryskiwała odplamiaczem i wygotowywała w pralce. Innymi słowy, wciąż im zmieniała pieluchy. Potrafili przemawiać w swoim imieniu i formułować argumenty, umieli zapanować nad swoimi niewielkimi portfelami akcji – bo teraz również Martin znalazł zatrudnienie w Åpent Bakeri i zaczął inwestować – lecz jednocześnie nie sposób było sobie wyobrazić, że stawiają czoła prawdziwym wyzwaniom, są w stanie znieść nudę czy ból.

Ingrid marzyła, by przywrócono powszechny obowiązek służby wojskowej. Ale marzyła o tym tylko częścią siebie. Bo inna jej część pragnęła mieć dzieci przy sobie, nie chciała posyłać

ich na ewentualną wojnę. Oczywiście, że nie. Mimo wszystko. Zdarzało się, że w niedzielne poranki znajdowała we wciąż włączonym piekarniku zwęgloną pizzę, Martin zaś leżał na podłodze w łazience i chrapał w najlepsze, nadal pijany. Codziennie wracała po pracy do zabałaganionej i brudnej kuchni, niezależnie od tego, jak długo sprzątała ją przed wyjściem. Bezsenne noce spędzała zaś na wyklócaniu się i znajdowaniu argumentów w dyskusjach, rozmowach telefonicznych czy mailach, które nigdy nie miały się odbyć czy zostać wysłane. Na tyle umiała sobie pozwolić, ale nie potrafiła powiedzieć chłopcom, żeby podcierali sobie porządnie tyłki albo prali własne majtki, sprząтали po sobie w kuchni lub po prostu prowadzili z rodzicami normalne rozmowy, wykraczające poza tematy świadczonych przez tych ostatnich pożyczek i usług.

Ingrid chciałaby cofnąć czas i zrobić wszystko inaczej. Ale co się stało, to się nie odstanie. Jej synowie byli dorośli, już ukształtowani, przyzwyczajeni, że wszystko się za nich robi w imię miłości. Śniła na jawie, że obaj emigrują do Australii, jednocześnie oczekując gwarancji, że byłiby tam w stu procentach bezpieczni. Marzyła, że znów są mali, a ona wytycza dla nich nowy kurs. Nie miała tylko pojęcia, jaki kurs to miałby być. Stopniowo nabierała przekonania, że będzie dreptać wokół nich, coraz starsza i bardziej zgarbiona, i spryskiwać ich majtki odplamiaczem, dopóki sama nie padnie.

Z ciasnego ciemnego mieszkania dziadków w Hovseter Ingrid trafiła prosto do solidnej, kultywującej tradycje rodziny Jana i przestronnego domu na Solveien. Na samym końcu należącego do posiadłości ogrodu, tuż przy drodze, zbudowali sobie z Janem własny dom, będący nowoczesną wersją tego starego, w tym samym kolorze brązowej bejcy, z identycznymi niebieskimi futrynami.

Ingrid i Jan – a także chłopcy, kiedy jeszcze byli mniejsi – siadywali latem pod starą gruszą razem z Ullą i Jørgenem, rodzicami Jana, jedli gofry z domową konfiturą z gruszek i pili kawę ze starej wysłużonej porcelany Rørstrand należącej do Ulli. Promienie popołudniowego słońca przeciskały się do nich między listowiem, odrapany stolik z kutego żelaza, ten sam, przy którym jako mały chłopiec siadywał Jan, a także jego ojciec i wcześniej ojciec jego ojca. Stolik został uwieczniony na starych czarno-białych zdjęciach w rodzinnym albumie Jørgena, bo posiadłość pozostawała w rodzinie Jana od ponad stu lat. Młodzi pójdą w ślady przodków, myślała Ingrid, spoglądając na krzewy czarnego bzu po obu stronach schodów prowadzących do domu, również ponadstuletnie. Jeśli tylko będzie się zachowywać przyzwoicie i robić swoje, ten strumień popłynie dalej, niezmieniony. Nie zatrzyma się. A w każdym razie nie z jej winy.

Chodziła z Janem do łóżka mniej więcej raz w tygodniu; zawsze wykreślała to potem z wyimaginowanej listy. No, myślała, *i to* mam z głowy. Raz w tygodniu to była częstotliwość, która ukonstytuowała się z biegiem lat, jak to bywa w przypadku regularnie wykonywanych obowiązków: strzyżenie trawnika, odgarnianie śniegu, wymiana żarówek, chodzenie na siłownię, wymiana oleju w aucie, uprawianie seksu – i jeśli mijał więcej niż tydzień, pojawiał się jakiś dyskomfort, niepokój, poczucie zburzonej równowagi. Ale teraz przynajmniej miała to z głowy i już po chwili Jan chrapał, a Ingrid leżała obok niego, myśląc o kolejnym dniu, obiedzie, zamrażarce, lodówce, stroju, uczniach, współpracownikach, spotkaniach. Przyszłe obowiązki pędziły w jej stronę i Ingrid, niczym gimnastyczka wyobrażająca sobie salto na równoważni, zanim w ogóle na nią wejdzie, widziała oczami duszy, jak za zaledwie kilka godzin ma wstać i stawić czoła zadaniom nowego dnia. Dnia, który jawił się jej jako bieg z przeszkodami –

przeskakiwała przez kolejne przeszkody i każdą z nich skreślała na bieżąco z wymyślonej listy. No i już, szeptała sama do siebie. A kiedy wszystkie przeszkody zostaną wreszcie pokonane, co wtedy? Śmierć, odpowiedziała sobie, czując ulgę na myśl, że istnieje definitywny koniec wszystkiego. Zaś ulga, którą poczuła na myśl o śmierci, przekierowała jej rozważania na obciążenie genetyczne. Czy może popełniała jakiś podstawowy życiowy błąd, może powinna coś przedsięwziąć, zacząć inaczej się odżywiać, zmienić pracę? Tyle że ona już jadła zdrowo: piła niewiele alkoholu i przyrządzała zbilansowane posiłki. Płaciła na czas rachunki, segregowała śmieci i sama sprzątała w swoim domu, w odróżnieniu od ludzi z jej kręgu znajomych i sąsiedztwa, z których większość zatrudniała pomoc z Polski, Filipin lub Ukrainy. I o ile nie mogła powiedzieć, by kochała swoją pracę, o tyle nie była w stanie sobie wyobrazić, że czułaby się lepiej, pracując gdzie indziej. W dodatku miała już pięćdziesiąt lat. Nie było powodów, żeby z czymkolwiek zrywać, nie było powodów, żeby się skarżyć, wszystko się układało, a poza tym – gdzie miałyby się podziać? Dokąd uciekać? Zresztą, niby po co?

Piętrzyła się nad nią fala przyszłych obowiązków, z częścią z nich Ingrid chętnie uporałaby się choćby zaraz, chętnie załatwiłaby jedzenie, sprzątanie, pracę; wypracowałaby się raz na zawsze, najadła raz na zawsze, nawychodziła raz na zawsze do toalety, raz na zawsze wypytała synów, gdzie idą i kiedy wrócą do domu, i w ten sposób *raz na zawsze* wykreśliłaby ze swojej listy każde jedno zadanie.

Jednocześnie dręczył ją głód prostoty, potrzeba ograniczenia możliwości wyboru. Potrafiła sterczeć w sklepie przed półką z pastami do zębów, rozważając za i przeciw wszelkich dostępnych możliwości: czy woli mieć białe zęby, czy dostarczyć sobie dość fluoru, a może unikać podrażnień, no i co z kamieniem? Kończyło się to zazwyczaj wyborem na chybił trafił, ale w drodze do kasy dopadała ją myśl: może powinnam wybrać inną, przeczytać wyniki testów medycznych, znaleźć jeden konkretny rodzaj pasty, którego bym się trzymała i już, nie musiałabym więcej myśleć o paście do zębów. W ten oto sposób mogłaby pochylić się nad każdą sferą życia i dokonać jej usprawnienia oraz uproszczenia, by dojść w końcu do punktu, w którym nie zostanie nic, nad czym musiałaby się zastanawiać.

Śmierć, pomyślała ponownie i znów poczuła ulgę. Możliwe, że właśnie to było jej dziedzicznym obciążeniem, ta ulga przepelniająca ją na każdą myśl o śmierci, oczywiście swojej własnej, bo przez całe życie tylko czekała, aż materiał genetyczny, który w sobie nosi, zburzy wszystko, co zdołała zbudować. Ingrid lubiła sobie wyobrażać, że na jej plecy spada grad kul, masa pocisków, które nie zdołają osiągnąć żadnego z jej synów. Bo przecież udało jej się unikać alkoholizmu, unikać szaleństwa. Zamiast tego naprawiała albo przynajmniej próbowała naprawić to, co obrócili w perzynę jej rodzice. Ingrid zebrała to wszystko, cegła po cegle, deska po desce, i odbudowała od fundamentów, zupełnie tak, jak razem z Janem zbudowali dom, w którym teraz mieszkała.

Ingrid zdarzało się porównywać swoje życie z dywanikami ze szmatek tkanymi przez Ullę na stojących w piwnicy ogromnych krosnach. Teściowa, dorastająca w robotniczej dzielnicy Göteborga, siadywała przy krosnach w morzu szmatek upolowanych na pchlich targach i w lumpeksach lub otrzymanych w prezencie od przyjaciół i znajomych, bo wszyscy jej znajomi wiedzieli, że je zbiera; nazywała je ze szwedzka „trasor”, a siebie „trasoproletariuszką”. I tak powoli, lecz metodycznie, Ulla zmieniała swoje szmatki w piękne porządne dywaniki. Dom Ingrid i Jana był ich pełen, każdy z dywaników miał dominujący temat kolorystyczny, żółcie, zielenie, czerwienie czy błękity, i podobnie jak dzięki niezmordowanej pracy Ulli szmatki

zmieniały się w coś porządnego i pięknego, tak i Ingrid ze swojego losu, w punkcie wyjścia szmacianego, stworzyła ciasno utkany i jednolity dywanik. Tego rodzaju myśli pomagały jej przetrwać kolejne dni. Ale ostatnio zaczęła dostrzegać, że te wypróbowane techniki przestają działać, a w jej życiu wkrada się nieznośny niepokój. Kiedyś lubiła mówić, opowiadać historie, poglądać przez telefon, śmiać się, dyskutować, powtarzać plotki, planować podróże i wypadki za miasto. Zdarzało się nawet, że szła z radością do pracy. Ale teraz na myśl o wszystkim, co wiązało się ze społeczną interakcją, czuła strach i oddychała z ulgą, gdy te krótkie epizody dobiegały końca. Po powrocie z pracy kładła się na sofie i słuchała sygnałów napływających eśemesów i maili. W dawnych czasach można było powiedzieć, że się nie usłyszało telefonu, ale teraz nie ma ucieczki, teraz wszyscy mają telefony z identyfikacją rozmówcy. A jeśli nawet z kimś nie dało się skontaktować przy użyciu jednego urządzenia, istnieją tysiące innych sposobów. Każde takie urządzenie i każde służące do komunikacji medium jest jak szpilka wbijająca się pod skórę, szarpnięcie za rękaw, machająca dłoń, twarz, która rozpromienia się w uśmiechu, oczekując w zamian analogicznego rozpromienienia. Wymagają używania określonych wyrażen i wydawania określonych dźwięków.

Ingrid funkcjonowała zupełnie jak dawniej, rozmawiała przez telefon, z entuzjazmem reagowała na zaproszenia i propozycje spotkań, bo nie wiedziała, co innego mogłaby robić, poza tym obracała się w tych samych kręgach co zawsze, nic nie uległo zmianie: miała Jana oraz ich dwóch synów, Ullę i Jørgena w sąsiednim domu, znajomych i szkołę, w której wszystkie korytarze i klasy były każdego dnia i o każdej godzinie wypełnione ludźmi i gdzie oczekiwano, że będzie dostrzegać ludzi, mówić im dzień dobry i przytrzymywać drzwi, rozmawiać z nimi, słuchać, wyjaśniać, rozumieć ich i sprawiać, by oni ją rozumieli.

Jedynym miejscem w szkole, w którym mogła być sama ze sobą, była toaleta dla niepełnosprawnych. A przecież wejść tam i rozluźnić stężałe w uśmiechu mięśnie twarzy mogła tylko kilka razy w ciągu dnia. Mogła tam siedzieć zaledwie parę minut, szukając pocieszenia w fakcie, że od najbliższej żywej osoby oddzielają ją cztery ściany i zamknięte drzwi.

Czuła się tak, jakby straciła coś, co wcześniej pomagało jej przeżyć kolejne dni, jakąś substancję, coś, co nadawało codziennym obowiązkom znaczenie, czego nie zauważała do chwili, kiedy zaczęło tego brakować.

No cóż, myślała Ingrid, gdybym urodziła się sto lat wcześniej albo przyszła na świat w innym zakątku ziemi, być może już dawno byłaby martwa.

Ingrid nie lubiła się upijać, nie znajdowała w sobie pociągu do alkoholu, jaki dostrzegała u znajomych i kolegów z pracy. Lecz mimo to czuła, że coś jest z nią nie tak. Niepokoiło ją, że nie ma siły rozmawiać z ludźmi. I jeszcze ten jej głód prostoty, potrzeba kończenia, zamykania spraw. Czyżby to były pierwsze objawy depresji klinicznej? Czy to wreszcie zaczęły się w niej uaktywniać geny, niczym guz nowotworowy lub pożerające tkankę bakterie? Nocami rozważała te kwestie, wsłuchując się w pochrapywanie Jana, które pojawiało się zniecka, by zniecka ucichnąć.

– Może powinnaś iść do lekarza – zasugerował jej Jan.

Gdy była młodsza, chodziła do psychologa, który próbował jej uprzytomnić, że nie miała żadnego wpływu na śmierć swoich rodziców, i od czasu do czasu mogło się wydawać, że przynosiło to jakiś skutek. Ale potem poczucie winy wracało ze zdwojoną siłą, a gdy Ingrid

zakończyła wreszcie wieloletnią współpracę z psychologiem, czuła, że nic się nie zmieniło, lecz mimo to wmawiała sobie, że terapia jej pomogła, ponieważ po zsumowaniu wszystkich godzin, które tam spędziła, wszystkich łez, które wypłakała, wszystkiego, co musiała opowiedzieć, przypomnieć sobie i doświadczyć, jakakolwiek inna konkluzja byłaby nie do zniesienia. To przecież niemożliwe, żeby cały ten wysiłek okazał się daremny.

Mimo wszystko umówiła się na wizytę, żeby Jan nie zarzucił jej, że odmówiła pójścia do lekarza. Większość ludzi chodziła przecież do lekarza ze swoimi problemami, składali bolączki na jego ręce, a potem robili, co im nakazał.

Ingrid usiadła w gabinecie lekarza rodzinnego i poskarżyła się, że ostatnio z trudem poznaje samą siebie.

– Idę ulicą i mam ochotę bić ludzi. Wczoraj, kiedy jechałam tramwajem, przy drzwiach stanął mężczyzna i tarasował wyjście wysiadającym, tak że wszyscy musieli się obok niego przeciskać. Miałam ochotę popchnąć go tak mocno, by upadł. Nie zrobiłam tego, ale pokusa była ogromna. Powstrzymanie się przyszło mi z wielkim trudem.

Lekarz skinął głową.

– To zrozumiałe, że jest pani poirytowana takim zachowaniem. Sam bym był.

– Ale wściekłość tylko we mnie wzbiera i nie mam gdzie jej wyładować. Potrafię się wściec na osobę z nadwagą, która idzie przede mną ulicą albo siedzi obok mnie w tramwaju, o miejsce, które taka osoba zajmuje, o cały ten ciężar, którym obarcza system opieki zdrowotnej, tylko dlatego że uparła się żreć jak świnia. A teraz wypisują jeszcze w gazetach, że nie można ich dyskryminować, że trzeba się z nimi delikatnie obchodzić, bo inaczej dostaną kompleksów i spasa się jeszcze bardziej. Blokują chodniki, ledwie się ruszają, zajmują po dwa miejsca w tramwaju, a my mamy się troszczyć o *ich* uczucia? Przepraszam, a co z *moimi* uczuciami? Co jeśli kiedyś będę potrzebować pomocy albo wsparcia finansowego od państwa, a kasa będzie pusta, bo wszystko pójdzie na tę bandę idiotów? A w szkole mamy jeszcze anorektyczki, które w ogóle niczego nie jedzą i *one* to dopiero wymagają specjalnego traktowania, mimo że zajmują tak mało miejsca.

Ingrid siedziała na skraju krzesła, wymachując rękami. Lekarz wbił wzrok w ekran komputera.

– Ach tak. A jak u pani ze snem?

– Jakim snem? – Ingrid spróbowała się roześmiać.

Lekarz tylko wystukał coś na klawiaturze i nadal gapił się w ekran.

– A libido? Jakies życie intymne?

– Owszem, co tydzień, ale nie mam już ochoty. Robię to mimo wszystko, bo jak już zaczniemy, to mi się podoba, poza tym lubię mieć to za sobą, lubię uczucie, kiedy już jest po wszystkim, i bliskość Jana. Ale mam już dość bycia tak rozjuszoną, wściekania się, gdy jadę tramwajem czy idę ulicą. Jest tak, jakby coś zniknęło, jakaś okoliczność łagodząca, firanka lub zasłona, którą ktoś mi odsunął i widzę teraz świat taki, jaki jest i był od zawsze. Mam oczywiście nadzieję, że to nie jest prawda, że jest inaczej i że to *teraz* postrzegam wszystko w krzywym zwierciadle.

– Zdaje się, że weszła pani w okres przekwitania – podsumował lekarz.

Ingrid została odesłana do laboratorium, gdzie wypompowywali z niej probówkę za probówką krwi. Dostała receptę na proszki nasenne i plastry z hormonami, które miała naklejać sobie na brzuchu i wymieniać co trzeci dzień. Przez pierwsze tygodnie spała nieco lepiej i nawet trochę miała ochotę na seks, ale potem jej organizm przyzwyczał się do nowych chemikaliów i znów nie mogła zasnąć przez pół nocy, znów chciała wrzeszczeć na wszystkich, którzy pchali się do tramwaju lub za wolno szli chodnikiem. Dlatego też odstawiła zarówno proszki, jak i plastry. Zresztą jedno i drugie miało skutki uboczne: budziła się z wyschniętymi ustami i cały czas dokuczał jej ból głowy, była skołowana i wciąż o czymś zapominała. Odstawiła leki, działania uboczne ustąpiły. I tak oto leżała teraz w łóżku, nie mogąc zasnąć.

Jan przestał chrapać, po czym znów zaczął. Ingrid pogładziła go po ramieniu, zapadła cisza i w końcu powoli osunęła się w sen, po to tylko, by obudzić się kilka godzin później i poczuć każdą komórkę swojego ciała, że z czymś jej się spieszyło, że powinna gdzieś być, o czymś zapominała, coś przeoczyła, a to niechybnie pociągnie za sobą straszne skutki. W końcu, około wpół do piątej, poddała się, postawiła stopy na podłodze, włożyła szlafrok i zeszła do kuchni. Cały czas czuła, że pomiędzy poszczególnymi czynnościami rwie się logiczne połączenie: wyjęła jedzenie z lodówki i się zerwało, zrobiła sobie kawy i zerwało się ponownie. Czemu właściwie tu była? Dlaczego robiła to, co robi? To, co wcześniej płynęło samo z siebie, teraz gdzieś się blokowało, musiała przemawiać do siebie łagodnie, by móc ruszyć dalej, skoro już się wpadło w tę gęstą śluzowatą substancję dnia – trzeba posprzątać w kuchni, wziąć prysznic albo trochę popracować; trzeba przemieścić się do następnej stacji i do kolejnej, i dalej.

Zjadła, posprzątała kuchnię, sprawdziła kilka wypracowań, wyszykowała się do pracy i spakowała torbę, a zegar wskazywał dopiero wpół do siódmej. Zupełnie jakby została uwięziona w jakiejś czarnej dziurze, gdzie wszystko zdawało się stać w miejscu. Nie mogła pojąć, co się dzieje z czasem. Postrzegała go tak zapewne z racji swojego wieku: czas był opieszwały i nieznośny, gdy doświadczała go na bieżąco, ale pusty, anonimowy i skompresowany niczym stos czystych arkuszy papieru, gdy już minął.

Wyszła z domu, zanim pozostali członkowie rodziny zdążyli się obudzić i już wkrótce, ze słuchawkami na uszach i przymkniętymi oczami, siedziała w tramwaju do Ljabru. Słuchawki dostała na Gwiazdkę od Jana, właściwie były to wyciszające wszystkie dźwięki przeciwhałasowe nauszники, słyszała w nich tylko odległy miarowy stukot kół tramwaju i szum we własnych uszach. Mimo że o tak wczesnej porze było niewielu pasażerów, to – biorąc pod uwagę, że przez te wszystkie lata wykształciła tylu uczniów i wychowała w tej dzielnicy dwójkę dzieci – istniały stosunkowo duże szanse spotkania kogoś znajomego. Dlatego właśnie nie otwierała oczu, chcąc się chronić zarówno przed niezobowiązującymi pogawędkami – kiedyś je lubiła, ale teraz były dla niej niczym piłowanie mózgu zardzewiałą piłą – jak i przed innymi irytującymi doświadczeniami, na przykład małymi dziećmi marudzącymi bez powodu w swoich wścieślanych wózkach i ich rodzicami pochylającymi się nad nimi, by sprawdzić, co jest nie tak, poprawiającymi kołderki i poduszcзки, zdejmującymi czapeczki, podającymi biszkopciki, które dziecko z wściekłością odtrącało, i tak dalej, i tak dalej. Ingrid myślała wtedy: nie wiesz, jak masz dobrze, nikt nie wie, jak ma dobrze, szanse na to, że to właśnie ty w ogóle się urodzisz były równe zeru. Jakże jesteście wszyscy rozpuszczeni. Na dłuższą metę to nie ma prawa przetrwać. Nic na dłuższą metę nie ma prawa przetrwać.

Ale ona sama też była rozpuszczona. Oto siedziała tu sobie z nausznikami za ponad trzy

tysiące koron mającymi chronić jej wrażliwy słuch, w drodze do dobrze płatnej pracy na wymarzonej przez wielu stanowisku, na to wszystko dobrze wyszła za mąż, mieszkała w dużym domu ze wszystkimi wygodami, należała do dyskusyjnego klubu książki i związku zawodowego nauczycieli, była zapisana na siłownię. A mimo to siedziała tu w tramwaju, irydując się małymi dziećmi, tymi nieproduktywnymi ludzikami, miniaturowymi psychopatami. Trzeba się nimi zajmować, pielęgnować i pilnować przez jakieś dwadzieścia lat, dawać im cztery posiłki dziennie, poświęcać uwagę i zapewniać pozytywne bodźce oraz edukację i dopiero potem można zacząć czegokolwiek od nich oczekiwać. Ale nawet wtedy nie można mieć pewności, że będą potrafili sami podetrzeć sobie tyłek, myślała Ingrid.

Była zupełnie przytłoczona czymś, co nazywała *ślamazarnością*, czyli niedostateczną lub niedostrzeganą dla siebie produktywnością, faktem, że ludzie przesuwali się z punktu A do punktu B, przy czym nie było dla niej jasne, co w tym punkcie B mieliby robić, co osiągało się na drodze całego tego kolosalnego, pełzającego masowego ruchu, do którego każdego dnia sama się przyłączała, czego właściwie tu dokonywano i jak wpisywało się to w produkt krajowy brutto oraz jak jedno wiązało się z drugim. Gdzie się podziwiała cała ta praca? Wszyscy, którzy stali i siedzieli w tramwaju, zmierzali do centrum, by rozproszyć się tam po budynkach, usiąść przed świecącymi ekranami, poświęcić im swoje siły. Ale co się działo z tymi siłami i jakichże potrzeba było zasobów, by każdego ranka wszyscy uczęszczający do szkoły uczniowie i wszyscy pracujący w niej nauczyciele stawiali się na miejscu: wszystkie te posiłki, przejazdy tramwajem, czynsze i raty. Lecz gdzie były namacalne *wyniki* tego wszystkiego, wypracowane przez tępe twarze uczniów nad blatami ławek, ich laptopy, w których wiecznie otwarte były tysiące kart przeglądarki z Facebookiem, Instagramem, Twitterem i czort wie czym jeszcze, gdzie rezultaty wypracowane na nieskończonej liczbie zebranych kadry pedagogicznej? Wszystko to straciło swoją treść, tracąc zarazem jakikolwiek sens dalszej egzystencji. Dlatego Ingrid błędziła w tej mgłę, szukając po omacku wyraźnych wyników, wpływu szkoły na krajową gospodarkę, lecz znajdowała tylko wyrwy, odstępy, *ślamazarność*, *etapy transportu*.

Ingrid otworzyła oczy, zjechali już do Starego Miasta. Tramwaj hałasował na moście kolejowym, a ona chłodziła rozpalone czoło, przyciskając je do zimnej szyby.

Wysiadła na Stortorvet i kupiła sobie kawę w Seven Eleven. Miała sporo czasu, lecz to nie dlatego wybrała dłuższą drogę do szkoły. Zrobiła to, bo krótsza droga wiodła przez wąską uliczkę, gdzie na chodniku przed starą kamienicą umieszczono pięć niewielkich mosiężnych tabliczek. Na każdej z nich wyryto nazwisko członka żydowskiej rodziny. W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku cała ta rodzina została zesłana do Rzeszy i nikt już nie wrócił. Za każdym razem, gdy Ingrid się zapomniiała i szła skrótem przez tę uliczkę – i nie zdążyła na czas przejść na drugą stronę, w rezultacie czego musiała deptać po mosiężnych kwadratach – widziała samą siebie, jak wali do drzwi tej rodziny, by ich ostrzec, dać im czas na ucieczkę przed nadejściem gestapo. Zazwyczaj cofała się wtedy również do lat trzydziestych XX wieku i wyznaczała sobie misję jeżdżenia po całej Europie i przekonywania wszystkich zamieszkujących kontynent Żydów do emigracji. Wybrała więc dłuższą drogę, by tego wszystkiego uniknąć, i przekroczyła próg położonej w centrum szkoły, w której pracowała, za dwadzieścia pięć ósma. Stary szkolny gmach przed piętnastoma laty został wyremontowany, były w nim teraz duże przestrzenie, ruchome ściany, nowoczesne dekoracje i ergonomiczne meble, niegdyś dające Ingrid poczucie, że jest częścią czegoś postępowego i nowatorskiego, jakiejś awangardy, czegoś, co jest *właściwe*. Ale teraz to wszystko – od funkcjonalnych sprzętów

po niefiguratywne rzeźby na każdym półpiętrze – było tylko pozostałością po czasach, w których wszystkie problemy można było zneutralizować i rozwiązać za pomocą odpowiedniego umeblowania i rozplanowania przestrzeni, sztuki i kultury, nowych procedur, strategii, sloganów oraz nieustannego poddawania tego wszystkiego ewaluacji.

Ingrid wyrzuciła pusty kubek po kawie do kosza na papiery i wspięła się na trzecie piętro, gdzie mieścił się pokój nauczycielski, na całe szczęście o tej porze jeszcze pusty. Odwiesiła płaszcz, usiadła za biurkiem i wyjęła z torby laptopa.

Zobacz, jaki lekki, pomyślała zewnętrzną, oficjalną część jej jestestwa. Przypomnij sobie, jaki ciężki był ten poprzedni. Pomyśl, że dokądkolwiek pójdziesz, możesz zabrać ze sobą swoje miejsce pracy. Sprawdzać wypracowania, siedząc w kawiarni. Życie naprawdę idzie do przodu.

Trzasnęły drzwi, Ingrid od razu poczuła, jak wzbiera w niej uczucie dyskomfortu.

– A niech mnie, cześć, Ingrid. Siedzisz tu zupełnie sama?

– Cześć, Leif.

Leif odwiesił kurtkę i podszedł do swojego biurka. Był w jej wieku i niedawno ożenił się po raz trzeci, tym razem z kobietą młodszą od siebie o dwadzieścia lat – poznali się tu w szkole, gdzie ona zaraz po studiach przyszła na praktyki. Leif był jeszcze wtedy ze swoją żoną numer dwa. Praktykantka dopiero co urodziła ich pierwsze wspólne dziecko, piątego z kolei potomka Leifa. Nie odzywaj się do mnie, pomyślała Ingrid, ale już czuła, że kolega szykuje się do pogawędki; za chwilę wyda z siebie więcej dźwięków, na które ona będzie musiała zareagować. Wszystko to sprawiło, że nagle zrobiło jej się duszno.

Jakoś tak się złożyło, że mieli z Leifem epizod na kończącej letni semestr imprezie rok wcześniej. Po wszystkim Ingrid pamiętała tylko, że w jednej chwili tańczyli lambadę i, tak jak wszyscy na parkiecie, próbowali naśladować obsceniczne ruchy bioder ze starego teledysku. Tyle tylko, że ich zamroczone alkoholem ciała nie do końca pojęły ironię całej sytuacji, uruchamiając procesy wiążące się zazwyczaj z tego typu ruchami. Bo Ingrid pamiętała, że zaraz potem zaczęła przyciskać się do Leifa w takt *Hello* Lionela Richie. Jęczeli sobie nawzajem do ucha, splatali dłonie, czuła na udzie jego erekcję. W końcu wypadli na korytarz, a on chciał ją wciągnąć do toalety dla niepełnosprawnych – spośród wszystkich miejsc wybrał właśnie to. Dopiero wtedy zdołała się od niego oderwać. Ostatnie, co zapamiętała, to oczy Leifa z popękаныmi naczynkami i jego cuchnący alkoholem oddech, który, wraz z tabliczką „Toaleta dla niepełnosprawnych”, zdjął z niej zakłęcie, umożliwiając ucieczkę, a nawet złapanie ostatniego tramwaju do domu. I to w tym tramwaju oczami duszy w najdrobniejszych szczegółach ujrzała to, co się nie stało, choć stać się mogło. Wyobraziła sobie, jak przytrzyma się poręczy przy sedesie... Potem zaczęła się zastanawiać, ile nauczycielek i praktykantek – oraz uczennic, bo o tym też krążyły słuchy – przez te wszystkie lata udało się Leifowi zaciągnąć do tej toalety. Ale nie mnie. Wracam do domu.

– Przyjdiesz dziś na zebranie?

– Chyba tak – rzuciła Ingrid, nie patrząc na niego.

– Planujemy potem iść na piwko. Rozmawialiśmy o tym w piątek, kiedy cię nie było.

Zauważył, że mnie nie było, pomyślała Ingrid. To mnie tak naprawdę pragnie. Chwilę zastanowiła się nad sobą. Niech Bóg się nade mną zlituje, jęknęła w duchu. Ale na głos powiedziała:

- Brzmi fajnie. Może się wybiorę.
- Mam taką nadzieję – odrzekł Leif i puścił do niej oko.

Ingrid dostała kiedyś esemesa od jednego z uczniów:

Jesteś taka piękna. Cały czas o Tobie myślę i uważam, że byłoby nam razem cudownie.

Nadawcą wiadomości był mrukliwy wyrosnięty chłopak, wysoki i chudy, podnoszący rękę tylko wtedy, kiedy miał coś do powiedzenia, czyli niezbyt często. W pierwszej chwili Ingrid pomyślała, że ktoś zabrał mu telefon i napisał wiadomość dla zgrywy, jej treść ani trochę nie pasowała bowiem do zachowania chłopaka. Ale krótko po przeczytaniu esemesa zwróciła uwagę na to, jak on na nią patrzył, gdy wchodziła do klasy. Usunęła, rzecz jasna, wiadomość i zachowywała się jak gdyby nigdy nic, ale pewnego razu chłopak przytrzymał jej drzwi i spoglądali na siebie kilka sekund dłużej, niż było to w dobrym tonie, innym znów razem został po lekcjach, by jej pomóc poustawiać krzesła – cały ten czas gapił się na nią i zachowywał się w sposób, który obudził w niej podejrzenie, że chłopak wie, *jak ona się czuje naprawdę*.

Była to oczywiście czysta fantazja, bez jakiegokolwiek umocowania w rzeczywistości, a mimo to Ingrid pozwoliła tej fantazji wślizgnąć się do swoich marzeń. Aby się jej pozbyć, próbowała sobie wyobrazić jego chude i nie do końca jeszcze uformowane ciało. Poza tym, gdzie by się mieli spotykać – w domu jego rodziców, w jego pokoju? A gdyby matka chłopaka nagle otworzyła drzwi, a oni by tam leżeli, nauczycielka i uczeń? W swojej fantazji Ingrid zawsze w tym momencie kładła dłoń na piersi i wydawała z siebie jakiś dźwięk, czy to wydyszane słowo *nie*, czy zapowietrzone jęknięcie. A potem, już na jawie, ogarniała ją ogromna ulga, nagroda za to, że tak naprawdę nigdy do tego nie doszło. To się nie stało. Nie stało się. Dzięki ci, Boże.

Nie, nie doszło absolutnie do niczego. Zupełnie inaczej niż jedenaście lat wcześniej, bo wtedy rozegrało się to, co wciąż służyło Ingrid do rozgraniczania czasu na dwie ery: przed i po epizodzie ze Steinarem.

Epizod ze Steinarem rozegrał się w sposób następujący: Marianne i Steinar byli przyjaciółmi Ingrid i Jana. Obie pary miały synów w podobnym wieku i każdego lata oba małżeństwa z dziećmi spędzały wspólnie urlop na Jomfruland, gdzie rodzina Steinara miała letni domek. W wakacje przed jedenastoma laty pojechali jak zwykle do Kragerø i wsiedli na prom płynący na Jomfruland, planując spędzić tam parę tygodni. Wieczorem pierwszego dnia, gdy Jan i Marianne mieli położyć dzieci spać, Ingrid i Steinar zostali w kuchni, żeby pozmywać po kolacji. Często dzielili się w ten sposób, Ingrid widziała przez okno, jak Jan i Marianne stoją nad brzegiem i pilnują, by chłopcy dokładnie wyszorowali zęby. Dochodziły stamtąd śmiechy i wesołe pokrzykiwania, a cisza wypełniająca kuchnię z minuty na minutę stawała się coraz bardziej nie do wytrzymania. Ingrid zmywała, Steinar wycierał, a gdy już prawie skończyli, zapytała:

- Coś się stało?
- Muszę z tobą o czymś porozmawiać. Ale nie tutaj. Możemy się przejść?

Rak, pomyślała Ingrid. Albo zdrada. Chce mi się zwierzyć i poprosić, żebym przekazała to Marianne.

Problemy małżeńskie Steinara i Marianne były często poddawane dyskusji na forum, a Ingrid i Jan odgrywali w takich chwilach rolę terapeutów.

Szli w milczeniu drogą, skręcili na ścieżkę do lasu, a gdy wreszcie dotarli nad jezioro i usiedli na ławce nad brzegiem, Steinar zaczął:

– Cały czas o tobie myślę.

– He?

– Zakochałem się w tobie. Nie wiem, co mam zrobić.

Ingrid wybuchnęła śmiechem.

– Nie śmieć się.

– Co to ma być? Jakiś żart? Wymyśliliście to razem z Marianne?

Steinar ukrył twarz w dłoniach, jego ramiona drżały. Ingrid cierpliwie czekała. Zdążyła przywyknąć do ataków hysterii Steinara i całej dramatycznej otoczki, do odbierania w środku nocy telefonów od Marianne, która, płacząc, zarzekała się, że tym razem się rozwiodą, że teraz naprawdę mówi to poważnie.

– Wielkanoc w Ustaoset, pamiętasz tamtą noc? Rozmawialiśmy, gdy wszyscy inni dawno poszli spać. Po powrocie do miasta nie byłem w stanie przestać o tobie myśleć. Teraz liczyłem dni do twojego przyjazdu. To ty i ja powinniśmy być razem. Nie sądzisz, że tak właśnie jest, że to ty i ja jesteśmy sobie pisani? Cały czas myślę o tym, jak by to mogło być.

Ingrid wstała.

– Wrócimy teraz do domu i już nigdy więcej o tym nie wspomnimy. Ani słowem. Nie powiem nic Janowi, a ty nic nie powiesz Marianne.

– Nie. Nie ma, kurwa, mowy. Nie dam rady. Nie wytrzymam ze świadomością, że jesteś tu i leżysz w łóżku zaledwie kilka metrów ode mnie. Nie będę mógł spać. Nie mam już na to siły.

– Posłuchaj, Steinarze. Wakacje dopiero co się zaczęły. Pomyśl o dzieciach, tak bardzo czekały na ten wyjazd.

– Nie mam siły być dalej z Marianne, cały czas tylko się kłócimy.

Ingrid opadła z powrotem na ławkę.

– Ale czy wy przypadkiem nie macie tego w naturze? Ze mną pewnie już po pięciu minutach zacząłbyś się nudzić.

– Na pewno nie. Byłoby mi z tobą dobrze. Pierwszy raz w życiu mógłbym czuć się przy jakiejś kobiecie dobrze i spokojnie. Dlaczego nie jest mi to dane? Czemu tylko Janowi wolno z tobą być, czemu tylko on może czuć się dobrze i spokojnie?

– Ty i ja też byśmy się kłócili, gdybyśmy byli razem. Nie pojmuję, po co mi to wszystko mówisz. Chyba po to, by się odegrać na Marianne, to o nią tu chodzi?

– Nie próbuj używać na mnie tej swojej gównianej psychologii.

– I widzisz, Jan nigdy by się tak do nikogo nie odezwał. Nawet do mnie, a przecież jestem jego żoną. Ale ty cały czas szukasz konfrontacji.

– Potrafisz mnie przejrzeć. Zawsze tak było. Widzisz, kim jestem naprawdę. Marianne myśli tylko o sobie. Czasami czuję się jak jej ojciec.

Steinar chwycił Ingrid za rękę, pozwoliła mu na to. Chwilę potem pogłaskała go po policzku, a on położył głowę na jej podołku, bo z Ingrid było tak, że jeśli ktoś czegoś od niej chciał, to

powiedzenie nie i odmówienie tego, czego ten ktoś pragnął, wydawało jej się przesadnie dramatyczne w porównaniu z daniem mu tego. Skoro to takie ważne. Na tej samej zasadzie zachowała się pewnego razu w szóstej klasie tuż po wakacjach. Marianne dołączyła do jej klasy jako nowa uczennica i gdy stanęła nagle przed Ingrid, wskazała ją palcem i powiedziała: „Chcę pójść do ciebie do domu”. Ingrid była jak zwykle zaskoczona i nie miała pojęcia, jak od tego uciec, dlatego też Marianne poszła z nią do domu i tak się wszystko zaczęło. Właściwie czemu nie, myślała czasem Ingrid. Przed Marianne nie miała najlepszej przyjaciółki, dlaczego więc nie Marianne, może z przyjaciółmi jest jak z rodziną, człowiek właściwie nie może ich sobie wybierać. Tak mijaly lata, przyjaźń zaczęła żyć własnym życiem, przestając mieć cokolwiek wspólnego z pierwotnymi osobistymi preferencjami, o ile w ogóle kiedykolwiek mogła być o nich mowa.

Steinar leżał więc z głową na podołku Ingrid, a ona wpatrywała się w jego ciemne loki, wtedy nie miał jeszcze ani jednego siwego włosa. Byli jeszcze tacy młodzi, nie skończyli nawet czterdziestu lat. Ale wtedy wydawało im się, że są już starzy.

– Chcę z tobą być. Jeśli uważasz, że to niemożliwe, to powiedz mi teraz. Musisz mi powiedzieć, jeżeli mnie nie chcesz.

Ingrid czuła ciepło jego głowy na swoich kolanach. Powinna była powiedzieć nie. Nie, po prostu nie. Lecz zamiast tego rzekła:

– Jesteś szalony.

Głos miała ochrypliwy, co chwila musiała łykać ślinę. Steinar do niej przemawiał, a ona zaczęła dostrzegać, jak wszystko wokół nich – ławka, drzewa, niebo, jezioro – zaczyna się zmieniać i nabiera nowego znaczenia. I już następnego wieczora przywykła do gapiących się na nią oczu Steinara, które napotykała za każdym razem, gdy unosiła wzrok. Przywykła do jego ciepłego uda, wtulonego w jej własne podczas każdego posiłku lub, jeśli siedzieli naprzeciwko siebie, jego stopy gładzącej ją po łydce. Przywykła do całej tej tajemniczości, do odbywanych pod każdym możliwym pretekstem przechadzek po wyspie, spacerów nad jeziorem, na plażę lub do różnych ukrytych w lesie miejsc. Do jego westchnień za każdym razem, gdy go dotykała, jego ust, dłoni; ledwie minął tydzień, a ona już nie pojmowała, jak mogła kiedyś bez tego wszystkiego żyć.

Lato dobiegło końca, ale wakacyjny epizod trwał nadal. Udawało im się niekiedy spotkać, ale z czasem Steinar był coraz bardziej zajęty, kontakt stał się utrudniony i już wkrótce ich relacje sprowadzały się do wymiany esemesów i maili, wciąż przepelniających Ingrid strachem, bo co, jeśli Marianne je odnajdzie i przeczyta. W połowie września wszystko się urwało, a Steinar, z którego inicjatywy historia się zaczęła, okazał się także tym, który jako pierwszy nacisnął pedał hamulca. W jednym z ostatnich wysłanych do niego esemesów Ingrid oskarżyła go, że jest niedostępny. *Wydajesz się taki nieobecny*, napisała do męża swojej najlepszej przyjaciółki, z którym nigdy nie odbyła stosunku w technicznym tego słowa znaczeniu, ale z którym robiła wszystkie te inne rzeczy, najpierw na Jomfruland, a potem w miejskich parkach i położonych na uboczu kafejkach. *Nie ma już w tobie dawnego żaru. Coś jest nie tak?* To wszystko wydarzyło się naprawdę, było faktem, istniały twarde dowody, że nie jest tą rozważną i moralną osobą, za którą się podaje. Od tego czasu żyła w strachu, że Marianne natknie się na elektroniczne dowody jej nielojalności lub że Steinar wykrzyczy jej wszystko w twarz w czasie kłótni.

Latem, kiedy wszystko się zaczęło, Steinar i Marianne żarli się jeszcze bardziej niż

zazwyczaj, skakali sobie do oczu od rana do wieczora, Jan zaś wymógł na Ingrid przyrzeczenie, że to ich ostatnie lato na Jomfruland, już koniec, nie miał na to wszystko więcej siły. Ale po epizodzie ze Steinarem Ingrid nie mogła przecież wypaść z gry. Musiała mieć ich na oku, *trzymać wrogów blisko*, i dlatego przekonała Jana, by mimo wszystko znów popłynęli na Jomfruland. Tego lata sama sobie przydzieliła funkcję kogoś w rodzaju gosposi, pozwalała Janowi wychodzić z domu, kiedy tylko chciał, poświęcała się dla ich małej wspólnoty i utrzymywała w porządku kuchnię, wynosiła śmieci, spisywała listy zakupów, po które należało jechać do Kragerø, organizowała opróżnianie szamba i brała na siebie wszystko to, co dla Marianne i Steinara zazwyczaj stanowiło pretekst do kłótni. I trwała tak, niczym jakiś zakładnik, który zgłosił się na ochotnika, gotowa wszystko zatuszować i zbyć śmiechem, gotowa być tą, która zawsze dostrzega jasną stronę życia, niezmiennie uśmiechnięta i spokojna. Mimo to Steinar i Marianne od czasu do czasu wywlekali swoje brudy, artykułując każdą najmniejszą irytację. Nie zmarnowali żadnej okazji, nawet wspólne rodzinne obiady w pizzerii niedaleko przystani, gdzie zawsze było pełno ludzi, były sceną, na której Steinar i Marianne mogli dać upust swoim temperamentom w szczególnie efektowny sposób, na przykład waląc pięścią w stół, wrzeszcząc na siebie lub dzieci, tłukąc coś lub dzieląc się z otoczeniem szczegółami swojego pożycia intymnego, tak jak pewnego popołudnia, gdy Marianne ryknęła do Steinara: „DOTYKASZ MNIE, TYLKO JAK CI SIĘ CHCE RUCHAĆ”. Ingrid widziała odwracające się tu i ówdzie głowy, najpierw ku nim, potem ku ludziom przy innych stolikach, i stężałe w szoku twarze, zaś Steinar i Marianne czerpali z tego jakąś perwersyjną rozkosz i już tej samej nocy zza cienkiej ściany z desek dobiegły do niej ich ekstatyczne jęki.

– Straszne z nich zwierzęta – wymamrotał Jan w półśnie.

– Przynajmniej mamy z nimi jakąś rozrywkę – odpowiedziała mu wtedy Ingrid i spróbowała zachichotać, jakby nie mogła powstrzymać wesołości.

Ingrid, czekając, aż uczniowie zajmą miejsca, rozmyślała o czekającym ją dniu. Musiała się stawić na dwa spotkania, w tym na comiesięczne zebranie motywacyjne, będące częścią tej serty dodatkowej pracy, która w ostatnich latach została zwalona na nauczycieli. Chodziło nie tylko o fakt, że już od jakiegoś czasu uczniowie pisali do nich esemesy i maile wieczorami, nierzadko w środku nocy, również w weekendy i święta, do tego wszystkiego doliczyć należało semestralne spotkania oceniające, testy państwowe, kursy budowania motywacji i rozmowy roczne. Ingrid mogła, rzecz jasna, wyłączyć komórkę i odpowiedzieć na wiadomość od ucznia dopiero po kilku dniach, ale wtedy źle by wypadła w ankiecie ewaluacyjnej: „W jakim stopniu nauczyciel pomaga ci osiągnąć wyniki, których oczekujesz, i w jakim stopniu cię motywuje? W bardzo wysokim stopniu lub w bardzo niewielkim stopniu, w skali od jeden do sześć”. Z tych właśnie powodów nauczyciele się bali, że nie dość serdecznie odwzajemniają pozdrowienia na korytarzach, nie są wystarczająco pozytywnie nastawieni, pomysłowi, motywujący lub empatyczni, niedostatecznie dostrzegają każdego ucznia jako jednostkę, że nie mają otwartych całą dobę drzwi, nie sprawdzają esemesów i maili z myślą o uczniach cierpiących na depresję, zaburzenia odżywiania, okaleczających się, nękanych myślami samobójczymi czy dysleksją. Bo mogło się przecież zdarzyć, że któryś z tych uczniów pewnego dnia zrzuci winę za własne lub cudze czyny na te zamknięte drzwi, lekceważącą postawę lub brak odpowiedzi na esemesa. W obliczu nauczycielskiego sprzeciwu do akcji wkraczali rodzice, a Ingrid otrzymywała tasiemcowe maile, pełne zdań wielokrotnie złożonych, od dobrze wykształconych rodziców

wytaczających ciężką artylerię argumentacji. Zresztą sama nie była lepsza, przez wszystkie te lata zdarzało jej się wysyłać podobne maile do nauczycieli swoich synów i do innych rodziców, ale od ostatniego takiego wyskoku minęło sporo czasu, a po dwudziestu przepracowanych w szkole latach cały zapas jej zaangażowania i współczucia już dawno się wyczerpał, to zaś, co demonstrowała otaczającemu ją światu, było jedynie pustą skorupą po tym, kim kiedyś naprawdę była i co naprawdę czuła. Teraz ze wszystkich stron słychać było narzekanie. Kontrolowanie emocji było już niemożliwe i nieopłacalne. A najwięcej dostawali ci, którzy najgłośniejsz biadolili. Tak właśnie miały się rzeczy, zupełnie jakby całe społeczeństwo przeobraziło się w jeden wielki szpital polowy, w którym pacjenci chlubilili się swoimi ranami. Weźcie się w garść, ogarnijcie się, chciała krzyknąć Ingrid do tych wszystkich ludzi strojących się w diagnozy jak w biżuterię, podlewających i pielęgnujących je niczym wrażliwe roślinki, wygłaszających na ich temat prelekcje, demonstrujących je niczym odznaczenia. Co to miało być? Jakie wnioski dawało się z tego wyciągnąć? Ingrid wsłuchiwała się we własne myśli. Czy to była prawdziwa ona – pełna buntu, który kazał jej cały czas stawać okoniem? A może na tym właśnie polegała jej dziedziczna choroba, tak się manifestowała? Tego rodzaju podejrzenia sprawiały, że Ingrid bardzo się starała trzymać w ryzach i skrzętnie ukrywać tę buntowniczą część siebie, mimo że coraz częściej dochodziła do wniosku, że to właśnie ona jest najbardziej autentyczna. I tak, czekając, aż życie wróci do tego, co było wcześniej, starała się zachowywać tak jak wcześniej. Kreowała sobie jakąś kukłę i pchała ją przed sobą, pozwalając, by to ona zajmowała się światem i wszystkim tym, co czyhało w nim na nią samą. Nie było to zbyt trudne. Tyle lat egzystowała, mówiła i zachowywała się w określony sposób, że jej ciało mogło działać już bez udziału woli. Z pozoru wszystko było jak dawniej, ale mimo że mówiła i robiła to, co mówiła i robiła od zawsze, jej rolę odgrywała postać, którą pchała przed sobą, a nie ona sama. Tak oto Ingrid opanowała sztukę ukrywania się przed światem w pełnym świetle dnia.

Nikt na to nie zareagował, nikt nawet nie dostrzegł, że dzieje się coś niepokojącego. Rozmowy biegły swoim torem, a Ingrid myślała o wykorzystywanych przez te wszystkie lata siłach, emocjach i zaangażowaniu, które w to wszystko wkładała, w szkole, na imprezach, podczas rozmów – telefonicznych lub na rogu ulicy. A przecież przez cały ten czas była w stanie wprawiać w ruch jadaczkę, zachowując połączenie jedynie z tymi częściami układu nerwowego, które obsługiwały tylko najprostsze gesty i reakcje. Dawała mózgowi odpocząć i tylko do siebie mogła mieć pretensje, że nie wpadła na to wcześniej.

Uczyła głównie języka norweskiego, przedmiotu, do którego ostatnio zupełnie straciła serce i nie była już w stanie wykrzesać z siebie ani odrobiny entuzjazmu. Ten i ten temat musieć opanować, powtarzała uczniom niemrawo, to i to jest ważne. Ale czemu było to ważne? Co sprawiało, iż w dzieciństwie potrafiła przekonać babcię, że jest chora, i całe godziny spędzać w łóżku na lekturze? Na podobne pytania Ingrid szukała odpowiedzi tam, gdzie odnajdowała je kiedyś, czyli w książkach, ale już ich tam nie było. A to rodziło nowe pytanie: czy te odpowiedzi kiedykolwiek w ogóle się tam znajdowały? Może wreszcie przyszedł czas, by spojrzeć prawdzie w oczy i przyznała, że literatura to takie samo oszustwo jak wszystko inne? A może to z nią coś było nie tak?

No bo co sprawiło, że zaczęła studiować, po co w ogóle ludzie piszą, po co czytają? W tych kategoriach teraz myślała. I bała się, że to właśnie w takich myślach czai się jej dziedziczna choroba. Dlatego musiała wziąć się w garść i wrócić do tego, kim była wcześniej. Ale z czasem zaniknęła także *potrzeba tego powrotu* i w ostatnim roku Ingrid czytała już tylko lektury

wybrane dla niej przez jej klub książki, także i przez nie musiała się jednak przebijać, zdawały się bowiem opisywać jakieś istoty z innej planety w języku, który rozpadał się na części i rozkładał na rozsmazane po stronach pojedyncze słowa.

Omów, objaśnij, co autor mógł mieć na myśli. Wszystko to, co kiedyś przychodziło jej z taką łatwością, o czym perorowała z takim przekonaniem, teraz musiała wyszarpywać z siebie słowo po słowie. Kogo obchodzi, co autor miał na myśli? Autorzy również podlegają powszechnemu prawu ciężenia i muszą dostosowywać się do rytmu dnia i nocy, życia i śmierci, tak jak wszyscy inni, więc co za różnica, co mieli na myśli w całej tej swojej pisaninie. *Po co, po co, po co*, raz za razem szeptało coś w jej głowie, jakby gdzieś w jej wnętrzu płynął zatruty szmerzący strumień. *Po co?* Mózg Ingrid został zaatakowany przez bakterię wciskającą tę frazę pomiędzy każde dwa słowa, które wypowiadała bądź formułowała w myślach. Jej życie straciło tempo, płynność i sens, a mimo to robiła wszystko to, co przez tyle lat wcześniej, i jakimś cudem płynęła dalej. Dokładała się do tego całego, niejasnego dla niej, produktu krajowego brutto. Uczniowie chyba także nie zauważyli żadnej zmiany, bo jak zawsze prowadziła ich za rękę od terminów oddania wypracowań do testów i egzaminów, rok za rokiem. Wreszcie kończyli szkołę, przychodziły nowe grupy, a ona wracała na start.

Ingrid siedziała sama w pokoju nauczycielskim, z kanapką w jednej ręce i telefonem w drugiej. Przy sąsiednim stole siedzieli jej koledzy i koleżanki, dyskutując o jakimś serialu. Ingrid także oglądała ten serial. Kiedyś siedziałyby razem z nimi i, pchana silnym wewnętrznym impulsem, wyraziłaby swoje zdanie: *czytałam tę książkę, widziałam ten serial* i oto, co na ten temat myślę, oto i moja opinia. Ale prędzej czy później i tak ktoś powie to, co sama chciała powiedzieć. Ludzie są bardzo do siebie podobni, a jednocześnie zupełnie różni, jak pędzone wiatrem samotne płatki śniegu, każdy w swoim wszechświecie. Jednakże to, co z siebie wyciskają, to zawsze z grubsza ta sama kasza, myślała Ingrid, skulona gdzieś w głębi siebie, i zadumała się nad faktem, że tylko ona jest nią i że bycie właśnie sobą, ze swoimi unikatowymi odciskami palców, swoją historią rodzinną, oznacza wielką samotność. Wszyscy zgromadzeni w tym pokoju nauczycielskim, tak samo jak ona, mieli swój własny zestaw cech szczególnych i starali się robić takie czy inne wrażenie, mając do dyspozycji tylko tę przeżutą kaszę, którą się tak zachłannie karmili, jednocześnie pozwalając, by z nich płynęła strumieniem.

A gdyby siedziała tam z nimi i miała coś powiedzieć, wydobywając ze siebie słowa, już by wiedziała, że wypowiadała je wcześniej, dokładnie w ten sam sposób, z tą samą mimiką i towarzyszącymi gestami rąk. W pewnym wieku człowiek powinien zdać sobie sprawę, że powiedział już wszystko. Nieważne, jaką się opowiada historię, z pewnością i tak się ją powtarza.

Przylazł Gunnar, jeden z młodszych nauczycieli. Ingrid usłyszała, że na jej widok przyspieszył kroku, jak gdyby nagle wezbrał w nim nowy zapach.

– Mogę tu usiąść? – zapytał i zanim zdążyła mu odpowiedzieć, opadł na krzesło obok niej i otworzył śniadaniówkę. Włosy miał długie i tłuste, zebrane w cienki kucyk, a Ingrid od razu poczuła lekki zapaszek stęchlizny, który zawsze się za nim ciągnął; zapach męczyzny, który – by oszczędzać prąd, co swego czasu jej obwieścił – nigdy nie prał ubrań w temperaturze powyżej trzydziestu stopni.

Czy mogę tu usiąść? – pomyślała Ingrid. W momencie gdy Gunnar wyrzucał z siebie to

pytanie, nie sposób było odpowiedzieć na nie przecząco, a sam fakt, że na tego rodzaju pytania nie można było odpowiedzieć nie, wydawał jej się dostatecznym powodem, by wcale ich nie zadawać. Chociaż, z drugiej strony... Gdyby Gunnar pojął, że chciała, by pozostawiono ją w spokoju, stałby się – przynajmniej w teorii – kimś, z kim miałyby ochotę porozmawiać. Ale Ingrid nie miała ochoty rozmawiać z nikim, a ponieważ Gunnar był tym, kim był, nie zwrócił nawet uwagi, że jest pogrążona w myślach. Jego wyraz twarzy oraz ton głosu jasno komunikowały, jakie są w danej chwili oczekiwania Gunnara wobec wyrazu twarzy i dźwięków, które ma z siebie wydawać rozmówca. Gunnar należał ponadto do ludzi, którzy lubili mówić, a nie lubili słuchać, gdy więc Ingrid siedziała z nim przy stole, nie podchodził już do nich nikt inny.

W tego rodzaju analizach leżała pewna pokusa, z początku potrafiły dawać satysfakcję, tyle że z czasem, co dostrzegła trochę za późno, takie zabawy zaczynały rozkładać wiązania między rzeczami, przeżerać się przez to, co uszczelniało wyrwy, szpary i pęknięcia.

A co z nią samą? Siedziała teraz przy stole, mrużąc oczy, ale czego ona właściwie chciała? Niczego. Chciała uciec. Chciała, by wszyscy zostawili ją w spokoju. Człowiek z wiekiem nabiera umiejętności wglądu w siebie samego, a im głębiej się w siebie zagłębia, tym bardziej odechciewa się rozmawiać z ludźmi i cokolwiek robić.

Ingrid zaśmiała się z czegoś, z czego śmiał się Gunnar. Tak, właśnie w ten sposób zachowują się starzy ludzie. Tak zachowywali się jej dziadkowie w ostatnich latach przed śmiercią, jak jakieś mechaniczne, nakręcane pajacyki. Może to właśnie dlatego starzy ludzie wydają się nieobecni myślami – bo tak naprawdę chcą tylko ciszy i spokoju, by móc się zapaść w swój wewnętrzny świat, którego, co pojęli po wielu latach rozterek, nie są w stanie dzielić z nikim innym.

Ludziom się zdawało, że między Ingrid a Gunnarem istnieje jakaś szczególna więź, że coś łączy tę niedobraną parę, kobietę w średnim wieku, matkę dwojga dzieci, i młodego, a już zdziwaczałego nauczyciela fizyki. To Gunnar postanowił, że będą się przyjaźnić, a ponieważ mimo swego ekscentrycznego stylu życia nadal współtworzył to wielkie zbiorowe „My”, od którego Ingrid już zdążyła się odłączyć, lecz przeciwko któremu, z uwagi na brak innej możliwości, nie miała odwagi się buntować, kiwała głową i udawała, że go słucha, że zgadza się ze wszystkim, co Gunnar mówi. Było to mniej wyczerpujące niż mówienie, co naprawdę myśli, zresztą Ingrid właściwie nie miała już pojęcia, co myśli na jakikolwiek temat.

Gdzie się podziały te jej wszystkie wcześniejsze zdecydowane poglądy, te pełne wyższości prychnięcia, które zawsze czekały w pogotowiu, uniesione brwi i wzruszenia ramion, wszystkie te gesty, z których robiła użytek przez cały boży dzień, przekonana, że stanowią część istoty tego, kim jest, nie zaś jakąś powłokę czy wężową skórę, którą można zrzucić i zostawić gdzieś przy drodze.

Gunnar rozpoczął pracę w jej szkole rok wcześniej, a ponieważ Ingrid przez cały ten czas odzywała się do niego wyłącznie słowami „tak” i „ha”, mógł sobie o niej myśleć, co mu się żywnie podobało. Zapisać, co tylko chciał, na tej pustej tablicy, którą była Ingrid, samemu decydować, czy chce ją postrzegać jako sojuszniczkę. W tej właśnie chwili opowiadał jej o wychowaniu fizycznym, które zniknie ze wszystkich programów nauczania, gdy tylko on zostanie premierem. Nie wspominając już o takich bzdurach jak „media” oraz wszystkim, co ma związek ze sztuką czy religią. Przedmioty ścisłe, języki i historia – tylko to zostanie, gdy już mu

się uda przeprowadzić swoją czystkę.

Gunnar przerwał na chwilę monolog i odgryzł kawałek chrupkiego pieczywa. Rozejrzył się po pokoju i zatrzymał wzrok na niewielkiej grupce gawędzącej przy automacie z kawą. Gapił się głównie na Silje, jedną z młodych, tryskających entuzjazmem koleżanek, która rozmawiała właśnie z Terjem, należącym do tego samego co ona gatunku, pachnącym świeżością i wyszorowanym do czysta młodym mężczyzną o zdecydowanym wyrazie twarzy i pełnym zaangażowania sposobie mówienia. A tu oto siedział Gunnar, który ze stadium małego chłopca przeszedł bezpośrednio do fazy staruszka, który już teraz miał w sobie coś stetryczalego i skrzypiącego i który gapił się na Silje, obrażony, że to nie do niego się mizdrzy, że stoi tam, łaszac się do Terjega. Bo Gunnar był przecież od Terjega o wiele inteligentniejszy, Gunnar w większości spraw miał alternatywne złożone teorie. A kim i czym był ten cały Terje? Interesował się piłką nożną i kolarstwem, uczył wuefu oraz jakiegoś przedmiotu związanego z mediami i komunikacją, innymi słowy – same bzdury i puste gadanie, a Gunnar uczył przecież poważnych przedmiotów, takich jak fizyka, chemia i matematyka. Był tak oburzony faktem, iż Silje mimo to bardziej interesowała się Terjem, że oczy wychodziły mu z orbit.

Tragedia Gunnara polegała na tym, że kobieta, która najbardziej go pociągała, była równocześnie tą, którą najbardziej gardził i u której miał najmniejsze szanse. To wszystko, rzecz jasna, działo się już wcześniej i będzie się działo także w przyszłości, była to historia, jakich mnóstwo, historia stara, zardzewiała, porośnięta mchem i pleśnią już w chwili, gdy tak siedzieli, a on gapił się na szczebioczącą Silje. W głowie Ingrid rodziły się kolejne myśli, myśli o Gunnarze, który nocami leżał w łóżku i zgrzytał zębami, bo czemu właściwie nie pociągały go jego kobiece odpowiedniczki, jak na przykład siedząca nieopodal Kjersti, krótkowłosa okularnica ucząca francuskiego, która nawet w tym momencie zerkała ukradkiem na Gunnara? Ją mógłbyś zdobyć, Gunnarze, dlaczego jej nie chcesz?

Ingrid jadła przygotowane przed kilkoma godzinami kanapki, patrząc, jak w szklach okularów Gunnara odbijają się zawieszony pod sufitem jarzeniówki. I to światło, razem z zapachem chrupkiego pieczywa z sardynkami oraz szmerami głosów w pokoju nauczycielskim, osaczało Ingrid obezwładniającą i przytłaczającą codziennością.

Przed długą przerwą wzięła jeszcze udział w szybkim spotkaniu w sprawie uczennicy o pakistańskich korzeniach, której groziło przymusowe wydanie za mąż. Dziewczyna w ciągu kilku dni została zakwaterowana przez policję pod tajnym adresem, a dyrektor szkoły powołał interdyscyplinarną grupę roboczą, która miała zadbać, by zdała egzaminy mailowo i przez Skype'a i nie musiała przyjeżdżać do szkoły, ryzykując tym samym, że ojciec, bracia lub wujowie będą na nią czekać po lekcjach, wciągną ją siłą do auta, a potem wsadzą do samolotu do rodzinnego kraju, co w poprzednim roku stało się z inną uczennicą.

Spotkanie odbyło się w uroczystej atmosferze, w końcu kadra brała udział w przedsięwzięciu koordynowanym przez policję, mógł się nawet z tego urodzić materiał prasowy. Z pełnymi uniesienia minami omawiano kwestie zadań domowych oraz ocen i mimo że cała ta akcja wiązała się z jeszcze większą liczbą bezpłatnych nadgodzin, nikt nie protestował, nikt z przedstawicieli związku zawodowego nauczycieli ani pracowników oświaty nie był w stanie podać jakichkolwiek argumentów, by akcji zaniechać. Bo przecież, myślała Ingrid, jakkolwiek protest przeciwko tej dodatkowej pracy byłby równoznaczny ze zgodą na przymusowe małżeństwa. Tylko dlaczego zwalano ten problem na szkołę? Szkoła ma przeegzaminować tych

uczniów, którzy stawiają się na lekcje i oddają zadania domowe, w jej kompetencjach nie leży natomiast ratowanie świata ani leczenie jego bolączek.

Ingrid miała wielu uczniów uzbrojonych w całe zestawy ważnych powodów, by nie pojawiać się na zajęciach. Jeden z nich cierpiał na syndrom chronicznego zmęczenia i całą jesień przeleżał w zaciemnionym pokoju. Po świętach zaczął czuć się trochę lepiej, a teraz chciał podejść do egzaminu końcowego. Ingrid zaproponowała mu, by skupił się raczej na dojściu do pełni zdrowia i wrócił do szkoły jesienią. Ale wtedy rodzice tego ucznia – którzy byli rozwiedzeni – niezależnie od siebie napisali do Ingrid dwa długie maile, przesyłając kopie do dyrektora. Ingrid musiała iść na spotkanie z dyrektorem i zgodzić się na opracowanie dla tego ucznia indywidualnego, sztytgo dla niego na miarę planu nauczania. Zupełnie jakby to była jakaś droga prywatna szkoła w Stanach, a nie placówka prowadzona przez gminę w Oslo, myślała Ingrid, siedząc przed dyrektorem, potem zaś doszła do wniosku, że słowo *dyrektor* musi być jakoś spokrewnione z łacińskim *rectum**

Rozumiesz, o co mi chodzi? – zapytał Gunnar z jedzeniem w ustach, a Ingrid w zamyśleniu pokiwała głową, patrząc na częściowo przeżuty kęs kanapki. Mężczyznom takim jak Gunnar posłużyłoby pewnie życie w kulturze, w której dziewczęta przymusowo wydaje się za mąż, a o wszystkim decyduje klan. I kiedy już raz przydzielono komuś małżonka, to koniec, drugiej szansy nie ma. Ale za to ludzie się nie rozwodzą. Każdy dostaje swój przydział, wystarczy tylko siedzieć cicho i być zadowolonym z tego, co się ma. Gunnarowi w takiej kulturze przypadłaby Kjersti, nie Silje. Ale on pożądał Silje, bo podobnie jak nie umiał słuchać innych czy prac swoich ubrań, nie potrafił również pojąć, że ludzie tacy jak Silje pragną ludzi takich jak Terje, na osobników w typie Gunnara w najlepszym razie patrzą dopiero po wielu latach, dwójce dzieci i co najmniej jednym rozwodzie.

Ingrid wyobraziła sobie, że Gunnar i Silje wpadną na siebie po latach, kiedy to blask Silje zmatowieje, a jej iluzje prysną, Gunnar przyswoi sobie podstawowe zasady higieny i w ten oto sposób staną się sobie bliźsi, będą mogli umówić się na kawę i być może nawet dalej się spotykać, przy czym oboje będą się grzać w blasku minionej epoki i co jakiś czas Gunnar pomyśli sobie: leżę w łóżku, nagi, pod kołdrą, razem z *Silje*, ona zaś będzie sobie mogła wmawiać, że już dawniej była odrobinę zakochana w Gunnarze, tylko Terje tak ją oblegał, że nie mogła się skupić na tym zaczątku uczucia. Lecz życie na szczęście ułożyło im się tak, że dostała drugą szansę, po tych wszystkich latach, bo musiało być przecież coś, co ich łączyło, wtedy i teraz; jakoś w końcu trzeba ukrywać i maskować te wszystkie braki logicznych powiązań.

Ingrid przeżuwała mechanicznie, nie mogąc się doczekać końca: jedzenia, Gunnara, przerwy, spotkania, które miało się zaraz odbyć, dnia, nocy i następnego dnia. Już sobie wyobrażała, że zgniata papier śniadaniowy, wstaje i podchodzi do aneksu kuchennego, że wyrzuca zmięty papier, płucze kubek i wstawia go do zmywarki, a następnie wychodzi z pokoju nauczycielskiego, bo zawsze planowała wszystkie ruchy przed ich wykonaniem. I, tak jak zawsze, otworzyła drzwi, po czym wyszła na korytarz ze wzrokiem wbitym w podłogę. Nagle dostrzegła kątem oka jakąś postać, był to ktoś, kto czegoś od niej chciał, konkretnie zaś Oline. Stała przed Ingrid i coś mówiła, jednocześnie popijając z butelki zielony płyn – był to wyciśnięty w domu sok z brokoła, kapusty, szpinaku, marchwi, kalafiora, cytryny, imbiru i ogórka. Ingrid doskonale to wiedziała, bo na zajęciach z psychologii Oline wygłosiła długi wykład o swoich zaburzeniach odżywiania – będących jakąś formą anoreksji – i w związku z tym Ingrid wiedziała również, że Oline nie je glutenu, cukru, białej mąki, czerwonego mięsa, produktów mlecznych,

konserwantów, półproduktów, margaryny, wieprzowiny ani jajek z chowu klatkowego. Dziewczyna stała przed nią, gestykulując całym swoim wychudzonym ciałem, które zawsze było w ruchu: kiedy spacerowała szybkim krokiem po korytarzach, robiła brzuszki gdzieś za salą gimnastyczną lub podnosiła i opuszczała nogi, siedząc na lekcji w ławce. Po zapadniętych policzkach Oline płynęły łzy, a to dlatego, że za ostatnie zadanie domowe Ingrid postawiła jej piątkę, a nie szóstkę. Ta twarz o ostrych rysach, te otwarte bezradne usta; Ingrid miała pełną świadomość, że przy wystawianiu ocen zawsze starała się zapobiegać takim napadom jak ten i że przez to zazwyczaj stawiała Oline szóstki także wtedy, gdy jej prace w oczywisty sposób na nie nie zasługiwały. Wszystko po to, by oszczędzić sobie widoku cierpienia, które była w stanie wyrazić tylko twarz dziewczyny, pozbawiona choćby warstewki wygładzającego tłuszczu.

Wszystkie te choroby, pomyślała Ingrid, w tym dobrze odkarmionym i spokojnym kraju. Zupełnie jakby mózg potrzebował jakiejś przeszkody, jakiegoś wyzwania. Widocznie gdy droga jest zbyt prosta i równa, człowiek podświadomie szuka innej, bardziej kamienistej i stromej, czy to odmawiając sobie określonych produktów spożywczych lub też w ogóle jedzenia, czy wymyślając coś jeszcze innego – jedna z uczennic o pochodzeniu syryjskim zaczęła w ostatnich tygodniach przychodzić do szkoły w nikabie, czarnym, zasłaniającym całe ciało tradycyjnym stroju odsłaniającym jedynie oczy. Ingrid podsłuchiwała, jak nauczyciele tej dziewczyny mówili na przerwie, że uczennica, wcześniej krnąbrna i kłótliwa, nagle się wyciszyła, jakby cały niepokój znalazł ujście w jej kontrowersyjnym stroju. Ingrid wiedziała oczywiście, że zmaganie się z zaburzeniami odżywiania i noszenie nikabu to dwie zupełnie różne sprawy, ale w jej głowie zlewało się to wszystko w jedną i tę samą histerię, jedno i to samo szaleństwo.

– Oline – powiedziała, otaczając ramieniem wychudzone barki dziewczyny, sama skóra i kości. Ingrid poczuła nieznaczny przyływ dawno minionych emocji, współczucia, sympatii, ale po chwili wszystko zniknęło. – Trochę się teraz spieszę, będziemy musiały pomówić o tym później. Możesz do mnie przyjść dziś po lekcjach? Na pewno znajdziemy jakieś rozwiązanie.

I tak po południu nie będzie jej w pokoju nauczycielskim, ma przecież zebranie motywacyjne. Już teraz zabierze stamtąd wszystkie swoje rzeczy, nie będzie musiała po nie wracać po ostatniej lekcji i w ten właśnie sposób ryzyko, że jeszcze tego dnia spotka Oline, zostanie zminimalizowane.

W końcu zdołała uwolnić się od dziewczyny i schronić się w toalecie dla niepełnosprawnych. Opadła na opuszczoną klapę sedesu, zachodząc w głowę, gdzie się podziało jej dawne ja: to, co pozwalało jej przetrwać kolejne dni, dawny entuzjazm, którego nie była już w stanie wzbudzić w sobie względem kogokolwiek i czegokolwiek. I czemu dostrzegła już tylko to, co było chore, co nie pasowało do reszty. Ingrid gapiła się w przepelniony kosz na śmieci i na wciśniętą w uchwyt rolkę papieru toaletowego. W tej szkole, w każdej jednej klasie, statystycznie dwoje uczniów miało różnego rodzaju zaburzenia odżywiania, pół ucznia się okaleczało, były cztery i pół przypadku depresji oraz dwie diagnozy ADHD, zupełnie jakby jakiś mechanizm dopilnował równomiernego rozkładu diagnoz. A teraz jeszcze groźba przymusowego małżeństwa. Wszystko to razem tętniło w jednostajnym rytmie, tworząc wykres kołowy, z roku na rok niezmienny, a każdej jesieni napływali nowi uczniowie, wiernie podtrzymujący te statystyki. W tym wszystkim siedziała Ingrid, z duszą schowaną gdzieś głęboko w jej wnętrzu, zwiniętą w kłębek w jakiejś fałdce czy kąciku, która zamarła tam, ukryła się, zamknęła oczy i dopuściła do tego, by wszystkie formalności załatwiała tamta zewnętrzna postać. Postać postępowała zaś wedle zasad filozofii sprowadzającej się z grubsza do tego, że cierpienie i odmienność powinny się spotykać

z szacunkiem i zrozumieniem. Lecz w głębi swej kryjówki dusza krzyczała: weźcie się w garść, jedzcie zwykłą żywność, noście zwykłe ubrania i dajcie już spokój tym idiotyzmom. Jesteśmy teraz tak bardzo bogaci i syci, że pozwalamy sobie na te absurdalne brednie, na podchodzenie do głupot i bzdur z nieuzasadnionym szacunkiem. Zamiast się na to godzić, powinno się trzepnąć was przez łeb, jak na to zasługujecie! Ingrid siedziała w toalecie dla niepełnosprawnych i marzyła o powrocie kar cielesnych do szkół. Gunnar na pewno by się z nią zgodził i ta świadomość sprawiła, że porzuciła tę koncepcję równie szybko, jak ją powzięła, poza tym był jeszcze jej dziadek, ten, który przeżył Sachsenhausen i który na wszystkie tego rodzaju zrodzone z wściekłości pomysły reagował zdaniem: *Pożar, który chcesz wzniecić, prędzej czy później pochłonie i ciebie*. A ona właśnie chciała wzniecić pożar i od razu wykopać grób, ponieważ wiedziała, że ten pożar ją pochłonie i że prędzej czy później wpadnie do tego grobu, bo Ingrid powoli zmieniała się w Hitlera i niedługo będzie chciała wyeliminować wszystkich piegowatych. Wyszła więc z toalety dla niepełnosprawnych i nienaturalnie spokojnym krokiem ruszyła przez korytarz. Próbowwała się skupić na zebraniu motywacyjnym, choć wszystko w niej krzyczało, by na nie nie iść. Ale jej nieobecność z pewnością zostałaby zauważona, a musiała pilnować, by nic z tego, co ją przepełniało, nie znalazło przypadkiem ujścia i nie wydostało się na zewnątrz. Oczywiście, że nie miała ochoty iść na spotkanie, podobnie jak nie miała ochoty uczyć ani nie chciała mieć do czynienia z dewiantami i wariatami tego czy innego sortu. Nic w jej życiu nie wiązało się z jakimkolwiek „chczeniem”, lecz mimo to robiła wszystko, czego od niej wymagano, bo konsekwencje zaniechania byłyby zbyt nieprzyjemne. I tak oto doszła do kolejnej myśli, która nie dawała jej spokoju: ponoć praca, którą wykonuje się każdego dnia, powinna być wyzwaniem, przygodą oraz motywacją do rozwoju i powinno się mieć *ochotę*, by chodzić do pracy, dzieci zaś mają mieć *ochotę*, by chodzić do szkoły; ale Ingrid myślała: gdybym zaczęła tak na to patrzeć, byłabym skończona. Trzeba zaciskać zęby. Trzeba regularnie chodzić do łóżka z mężem, dbać o schludność swoją i swojego otoczenia, stawiać się na zebrania i spotkania i przyjaźnie przemawiać do swoich dzieci, trzeba się zachowywać porządnie, nie sikać pod siebie, nie pękać i nie przeciekać.

Dlatego też stawiała się na zebranie motywacyjne, tak jak tego od niej oczekiwano, mimo że wolałaby odgryźć sobie rękę niż siedzieć w audytorium, patrząc na drobną sylwetkę dyrektora podskakującą wokół mównicy gdzieś daleko w dole, na jego błyszczące buty o spiczastych noskach, wyćwiczone gesty, gdy łąził w tę i z powrotem, lejąc w jej zmęczone uszy serwowaną w bergeńskim dialekcie paplaninę mającą tylko jeden cel: wydusić z niej resztki sił, zmusić ją, by sięgnęła głęboko do kieszeni i oddała absolutnie wszystkie pozostałości jakiegokolwiek zasobów i chęci życia na rzecz *naszego wspólnego zakładu*, jak dyrektor lubił nazywać szkołę.

– Tu, w naszym wspólnym zakładzie, jesteśmy teraz na szczycie – oświadczył dyrektor i zamachał rękoma. – A gdy osiągnie się szczyt, to droga może prowadzić tylko w jednym kierunku, to jest w dół. I dlatego trzeba zacząć myśleć o rozwoju. Dokąd zmierzamy? Musimy coś zrobić, by zachować ten status. Nie wolno nam spocząć na laurach. Trzeba coś wymyślić, by podtrzymać zainteresowanie kandydatów, by pieniądze nie przestawały płynąć, a etaty dało się utrzymać, gdyż pieniądź idzie za uczniem i nikt nie jest bezpieczny. Powtarzam i dobrze to zapamiętajcie: Nikt nie jest bezpieczny!

Nowe centrum nauczania, doradztwo zawodowe, bliska i zindywidualizowana współpraca z każdym uczniem, Personal Learning Coach – wszystkie te wyrażenia pojawiały się na ekranie, a dyrektor czytał je po kolei. Tylko jakim cudem współpraca z uczniem miałyby być bliższa

i bardziej zindywidualizowana niż wcześniej? Ingrid była już przecież Personal Learning Coachem. Co jeszcze? Uczniowie wprowadzą się do niej do domu? Odda im swoje narządy na przeszczepy, dopilnuje, by przeżywali zalecaną przez komisję zdrowia dzienną liczbę orgazmów, a może im też ma spryskiwać majtki odplamiaczem?

Kiedyś czuła jedność ze szkołą i dyrektorem, podobało jej się bycie częścią tego organizmu, sprawianie, że parł do przodu, a o szkole, nauczycielach i uczniach zawsze mówiła w pierwszej osobie liczby mnogiej – *my*. Na przykład: w szkole mamy nadzieję, że uda się osiągnąć (to czy tamto) za pomocą (tego czy tamtego). Ale teraz była już tym wszystkim zmęczona, a jedyne, na co jej mózg miał jeszcze siłę, to wymyślanie powodów, żeby sobie stąd pójść. Ingrid czuła się jak zwierzę, do którego dociera, że jest na uwięzi dopiero wtedy, gdy szarpnie za łańcuch. Miała nadzieję, że z wiekiem przyjdzie oświecenie i zrozumienie, lecz zamiast tego przypełzły niepokój i bezsenność oraz ten nowy wstręt do wszystkich i wszystkiego, potrzeba kulenia się, siedzenia w bezruchu, rozmowy na tematy neutralne. Nie wolno było marnować energii, należało uważać, o czym się czyta w gazetach albo o czym się myśli, bo wszelkie podniecenie szybko zmieniało charakter z łagodnego na złośliwy. Z czegoś, czym kiedyś potrafiła się odurzać – teraz to dostrzegała – stało się czymś, co ją tylko rozbijało i męczyło. Wszystko ją męczyło. To nowe ciągle zmęczenie było nieznośnie dokuczliwe. Gdy jechała do domu tramwajem, myśl, iż ma usiedzieć na miejscu aż do swojego przystanku, była tak przytłaczająca, że miała ochotę wysiąść dużo wcześniej, może już na wysokości szpitala, znaleźć jakąś ławkę i się na niej położyć. Lepsze to niż siedzieć w tramwaju aż do Sørli, dowiec się do domu, znaleźć klucze i otworzyć drzwi. Mimo to nie ruszyła się z miejsca aż do swojego przystanku. Pokonała Solveien, a gdy dotarli do domu, stała pod drzwiami i grzebała w torebce w poszukiwaniu kluczy, znów dopadła ją bezsilność; chyba już lepiej byłoby zadzwonić po ślusarza niż dalej przeczesywać odmęty torebki. Ta sytuacja uświadomiła jej, że ma przed sobą jeszcze wiele tysięcy dni, w większości spowitych ciemnością, kiedy to będzie grzebać w torebce w poszukiwaniu kluczy i ta myśl poraziła ją z taką siłą, że na chwilę zastygła w bezruchu. Mogłaby przecież zadzwonić do drzwi. Dlaczego tego nie zrobiła? Na pewno ktoś był w domu. Byłoby to rozwiązanie doraźne. Rozwiązaniem długofalowym mogłoby z kolei być zawieszenie sobie kluczy na szyi na specjalnej smyczy, jednym z tych gadżetów reklamowych, które wszędzie człowiekowi rozdawali, tak zresztą robiło wielu jej młodszych kolegów, wyglądali bardzo efektownie z pękiem podzwaniających kluczy i kart dostępu na szyi. Lecz to nowe i kładące się u podstaw wszystkiego zmęczenie stawiało opór wszelkiemu działaniu, dlatego też Ingrid stała uparcie na schodach, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu kluczy, tak jak dzień wcześniej i jeszcze poprzedniego dnia, i w końcu te klucze znalazła. Zawsze je w końcu znajdowała.

W domu nikogo nie było. Ingrid położyła się na sofie. Od czasu do czasu komórka wydawała z siebie cichy pomruk oznaczający esemesa albo dyskretne ćwierkanie wiadomości na Facebooku. Ze stojącego na stole laptopa dochodziło plumkanie spływających maili. Zapadła w półsen, dźwięki zaczęły zlewać się ze sobą i wszyscy, którzy próbowali się z nią skontaktować – uczniowie, rodzice uczniów, współpracownicy, znajomi i krewni – zostali przemienieni w stado wilków biegnących za nią z zaślinionymi pyskami. Ingrid zwinęła się na sofie w kłębek i zasłoniła głowę ramionami.

Oczami wyobraźni dostrzegła przemykający obok cień swojego dawnego ja w drodze od jednego obowiązku do drugiego. Przypomnił jej się zapach świeżo upranej pościeli – uczucie

towarzyszące jej składaniu i chowaniu do szafy; sprawdzanie wypracowań i testów – uczucie, gdy stawiała ptaszki przy dobrze wykonanych zadaniach; satysfakcja po udanej lekcji, po napisaniu udanego maila, po konstruktywnym spotkaniu – uczucie, że ma za sobą wartościowy dzień. Fakt, że wszystkie te małe radości gdzieś zniknęły, wcale jej nie dziwił. Dziwne, pomyślała, jest to, że one w ogóle kiedykolwiek istniały.

Dźwięki przybrały na sile. Ingrid usiadła, chwyciła telefon i zaczęła odpowiadać na esemesy i maile, których nagromadziło się już całkiem sporo. Wysłała wiadomość do Jonasa i Martina, informując, że wieczorem wychodzi z domu i że w związku z tym nie ugotuje obiadu. Było to zresztą działanie bezcelowe, nie zdarzało się już prawie wcale, by cała rodzina jadała o tej samej porze. Wiadomość była wyłącznie próbą udawania, że wszystko jest jak kiedyś. Również Jan przestał wracać do domu o zwykłej porze. Brał dużo nadgodzin, odkąd awansował na naczelnika wydziału, w domu zaś siedział na ogół z nosem w tablecie, komórce albo swoim miniaturowym laptopie, a pierwszą rzeczą, jaką robił po przebudzeniu, było gorączkowe sięganie po wszystkie te urządzenia.

Ingrid weszła na Facebooka. Ktoś wrzucił filmik z niedźwiedziami zażywającymi kąpieli w basenie. Ingrid zaczęła klikać odsyłacze do innych klipów, a gdy oglądała materiał zatytułowany *Kąpiel psa Jaspera podbija serca internautów*, w pokoju zaczęła bzyzczyć mucha. Owad wylądował ciężko na jej policzku, odpędziła go, a gdy mucha niewzruszenie powtórzyła swój atak dwukrotnie, Ingrid odłożyła telefon i zaczęła płakać. Nareszcie, pomyślała, ale łzy wyschły równie szybko, jak napłynęły do oczu. Tęskniła za porządnym wypłakaniem się, za atakami płaczu, które wcześniej regularnie miewała. Teraz czuła się tak, jakby nie miała już więcej łez.

Postawiła stopy na podłodze, czas ruszać do kolejnej przeszkody, a potem do jeszcze jednej, a tą „kolejną przeszkodą” było spotkanie klubu książki, na które miała iść tego samego wieczora, ale przedtem trzeba doprowadzić się do porządku, zmyć z siebie szkolny kurz, nie przystawać, brnąć dalej. W tym właśnie tkwiło całe sedno. Zachować płynność. Zacząć znów rozmawiać z Janem. Wróci dziś wcześniej do domu, by mieć czas z nim pogadać, nie robili tego od wieków, niemal zatraciła już rozeznanie, czym zajmuje się jej mąż. Nawet nie pamiętała, kiedy ostatni raz siedzieli w kuchni, gawędząc o codziennych sprawach, co mieli w zwyczaju przed laty.

Klub książki, do którego należała, urządzał spotkania co drugi miesiąc; tego wieczora mieli rozmawiać o jednym z nowych tytułów na rynku. Był to napisany w nynorsku debiut opowiadający o młodym mężczyźnie, który po śmierci ojca musi wrócić do rodzinnej wsi. Bohater poznaje kobietę w swoim wieku, która wprowadziła się do sąsiedniego domu. W końcu idą ze sobą do łóżka. W finale wychodzi na jaw – główny bohater odkrywa na strychu pudło ze starymi pamiętnikami i listami – że są przyrodnym rodzeństwem. Ingrid przeczytała recenzje, przejrzała książkę, po czym przygotowała oficjalną opinię na jej temat: sama fabuła jej nie wciągnęła, ale powieść *poruszyła ją w sposób, którego nie jest w stanie wyjaśnić*, jej język jest zaś *cudownie liryczny i wręcz ma w sobie jakąś mistykę* – autor posługiwał się archaiczną odmianą nynorska, z której Ingrid, ucząca tego standardu języka od ponad dwudziestu lat, połowy nie rozumiała. Nigdy nie lubiła czytać książek napisanych w nynorsku, to było prawie tak, jakby czytać po duńsku albo szwedzku, wszystko stawało się skryte i niejasne. Ale, po pierwsze, dotyczyło to obecnie w jej przypadku większości książek, nie tylko tych w nynorsku, po drugie zaś, nynorsk był jednym z przedmiotów, których uczyła, dlatego też wołała nie

wypowiadać się negatywnie na jego temat, również poza pracą.

To czemu w ogóle jeszcze jesteś w tym klubie książki? – pytała samą siebie, czekając na tramwaj. Chyba tylko dlatego, że lubiła przychodzić w miejsce, w którym ludzie pochylali się nad *literaturą* – słowo to zachowało odrobinę blasku minionych czasów, skrywało jakąś nadzieję. Lubiła otaczającą spotkania aurę kultury wysokiej i to, że wszyscy przychodzili wymyśli i wystrojony, że gospodarz lub gospodyni przygotowywali jedzenie, że byli dorosłymi ludźmi rozmawiającymi o *książce*, że mieli na coś takiego siłę. Teraz właśnie szukała ciepła takich miejsc, zupełnie jakby wszystko zostało sprowadzone do kalorii i materii. A poza tym, czy nie było przypadkiem jakiejś kokieterii w całej tej niechęci, tej społeczności przywodzącej na myśl kolejny okres dojrzewania; skąd mogła mieć pewność, że tylko ona się tak czuła? Weźmy na przykład tę potrzebę ucieczki; na każdego człowieka, który uciekał, musiało przypadać jakichś dwudziestu czy trzydziestu, którzy tego nie robili, którzy trwali na swoich stanowiskach. A żeby mizantropi mogli uprawiać swoją mizantropię, musiały przecież istnieć jakieś określone formy, od których można by się było dystansować, przed którymi można by uciekać, tak jak Ingrid, która siedziała teraz w tramwaju i jak zwykle chciała dać nogę, udać, że zapomniała wysiąść i przegapiła swój przystanek, udać, że źle się poczuła, zrobić cokolwiek, by tylko móc się z powrotem doczołgać do domu, skulić na sofie i wrócić do przerwanej drzemki. Ale gdzieś tam w wielkim świecie ktoś nakrył do stołu i przygotował jedzenie, dlatego też Ingrid wysiadła na właściwym przystanku i już po chwili nacisnęła przycisk domofonu do mieszkania na piętrze bliźniaka w Vinderen, a zaraz potem zdjęła płaszcz, przekazała gospodarzom przyniesioną butelkę wina i dołączyła do reszty gości siedzących wokół stołu w salonie, popijających wino i chrupiących chipsy. Tak, tu było jej miejsce, tu czekało na nią puste krzesło.

Niestety, lektura napisanej w nynorsku książki o facecie, który przespał się ze swoją przyrodnią siostrą, tylko wzmogła w niej poczucie istnienia poza społeczeństwem, już się do niego nie *zaliczała*, na tym czy innym etapie odpadła od reszty grupy. W recenzjach powieści pisano między innymi, że autor „jest talentem, który niezwykle rzadko kielkuje na tutejszej skale”. Wielu krytyków używało terminu „mistrzostwo”. Gdyby miała powiedzieć, co naprawdę myśli o tej książce, to wyznałaby, że skłoniła ją ona do postawienia sobie pytania o sens nie tylko tej powieści, ale *wszystkiego w ogóle*, a tym samym niechybnie odpiłowała by gałąź, na której siedziała, wypisując się zarazem z towarzystwa, do którego wciąż chciała należeć, przecież właśnie dlatego była tutaj ze znajomymi, przy tym długim stole w Vinderen zastawionym przekąskami, karafkami z winem i wazonami pełnymi tulipanów.

Gdy Ingrid próbowała wyobrazić sobie swój mózg, oczami wyobraźni widziała podziurawiony szwajcarski ser. Stała przed wymagowaną biblioteczką, uporządkowaną alfabetycznie, przeglądała swoje ukochane książki i dochodziła do wniosku, że nawet te jest w stanie czytać najwyżej do połowy pierwszej strony. Może zaczynała się u niej rozwijać demencja? A może raczej to, co czuła, czuli też wszyscy inni, tyle że nigdy o tym nie mówili, i to właśnie dlatego literatura niedługo skończy się zarówno jako zjawisko, jak i przedmiot włączany do procesu kształcenia oraz do programów szkolnych, a zatem Ingrid straci swoje stanowisko i miejsce na świecie. Patrzyła na poruszające się usta i nie rozumiała ani o czym toczy się rozmowa, ani dlaczego w ogóle tu siedzi. Sama też coś powiedziała, ale automatycznie, cały wieczór przebiegał automatycznie. Ingrid bardziej niż kiedykolwiek czuła, że zapada się w siebie, że chowa się gdzieś głęboko we wnętrzu własnego ciała. Zewnętrzna powłoka wiedziała, jak się zachowywać, bo wkłuła na pamięć opasty scenariusz zawierający setki

możliwych, zatwierdzonych i przeciętnych w skali kraju wypowiedzi oraz działań, pasujących do siebie i pozwalających się łączyć w różnych konfiguracjach.

Nie musiała mówić zbyt wiele, a gdy wszyscy wokół sobie popili, nie musiała już mówić w ogóle. Ależ ludzie się rozpromieniają, gdy ktoś ich słucha. Czy ona kiedykolwiek kogoś słuchała naprawdę, czy tylko udawała, czekając, aż przyjdzie jej kolej, by zabrać głos? Siedziała w napięciu, czując, jak w jej wnętrzu wzbiera gotowa do wydalenia fala bełkotu, zniecierpliwiona, by jak najszybciej pozbyć się tych odpadów.

I znów poczuła się tak, jakby opadła jakaś zasłona, a ona widziała wszystko takie, jakim było naprawdę. A może na odwrót? Była szalona wcześniej czy oszalała teraz?

2

Hanne, odwiedzając znajome pary, nie potrafiła pojąć, jakim cudem ci ludzie wytrzymują ze sobą dzień i noc. Jak to jest snuć się po tym samym mieszkaniu, kłaść się do jednego łóżka i leżeć tam z tą samą osobą, w tym samym pokoju, tydzień po tygodniu? Przerzała ją codzienność i cała jej szarzyzna. Wchodziła do łazienki i przytłaczał ją bijący od sedesu zapach moczu, a potem widok maści na grzybicę pochwy w szafce pod lustrem, którą zawsze otwierała, wiedziona chęcią złamania tego tajemnego kodu.

Wszyscy znajomi Hanne byli już po ślubie lub żyli w nieformalnych związkach. Ale nie ona. Miała trzydzieści cztery lata i pracowała jako starszy specjalista w ministerstwie. Na lodówce w jej niewielkim mieszkaniu na Tøyengata wisiały zdjęcia ślubne i zaproszenia na parapetówki, wieczory panięskie i wesela. Lecz nie na chrzty ani świeckie ceremonie nadania imienia, bo na tym etapie ludzie zamykali się już w kręgu rodziny, wkraczając na terytorium, na które Hanne nie miała wstępu. Całe to życie rodzinne, które wokół niej kiełkowało i rosło, miało w sobie coś tajemniczego – stanowiło zagadkę, zupełnie jakby ludzie wmaszerowywali ramię w ramię do jakiegoś hangaru i przechodzili tam tajemny proces, podobny do tego, jakim rzekomo poddaje się rekrutów w wojsku: człowieka należy najpierw złamać, by móc go zbudować na nowo. A potem wychodzili z tego hangaru przerobieni na małżonków i rodziców małych dzieci. Hanne patrzyła, jak ludzie zmieniali się w te klony, jeden po drugim. Tylko co było w tym hangarze? Mocz i grzyb. Zamykała szafkę, spuszczała wodę i wracała do pozostałych. Mocz i grzyb, do tego wszystko się sprowadza. A mimo to sama nie pragnęła bardziej niczego niż móc wmaszerować do hangaru. Bo przecież właśnie to stanowiło kolejny punkt programu. I chociaż urodzenie dziecka samo w sobie nie wydawało się szczególnie kuszące, Hanne nie chciała rezygnować z egzystencjalnego doświadczenia, z jakim podobno wiąże się reprodukcja, mimo że wszystkie organizmy żywe są w stanie dokonać tej sztuki z zamkniętymi oczami.

A poza tym, co innego miałyby robić, czemu innemu można się było poświęcić? Do lokali na mieście zdążyło już wkroczyć nowe pokolenie, generacja ludzi równie młodych i bezczelnych jak Hanne i jej znajomi jakieś dziesięć czy dwanaście lat wcześniej, z tą samą co oni oczywistością panujących teraz nad nocnym życiem Oslo. Była za stara, by czuć się dobrze w lokalach opanowanych przez tę nową generację, a jednocześnie zbyt młoda, by się zadawać ze starymi, rozwiedzionymi i zdesperowanymi – nie miała, krótko mówiąc, gdzie się podziać, żadne miejsce nie należało do niej, nigdzie nie stanowiła naturalnej części żadnej grupy społecznej. Tęskniła za minionymi imprezami i życiem towarzyskim. Przez ostatnie kilka lat musiała się wypuszczać na najdalsze obrzeża swego kręgu znajomych w poszukiwaniu ludzi, którzy nadal pozostawali singlami.

Od czasu do czasu zamężne, żyjące w kohabitacyjnych związkach, ciężarne i karmiące piersią znajome umawiały się z nią, by posłuchać o życiu, które opuściły, może tylko po to, by się wzdrygnąć i poczuć ulgę na myśl, że ich już tam nie ma, mimo głośnych deklaracji, że

zazdroścą Hanne wolności ze wszystkimi jej ekscytującymi wzlotami i upadkami. Umawiała się ze swoimi dawnymi koleżankami w kawiarni mniej więcej raz na kwartał, ciężarne i karmiące nie piły rzecz jasna alkoholu, czerpiąc rozrywkę z samej Hanne. Wypytywały ją, a ona opowiadała, coraz bardziej pijana. Dawniej piła po to, by wytrzymać sama ze sobą. Teraz – by znieść koleżanki siedzące wokół kawiarnianego stołu i bawiące się obrączkami bądź gładzące wyeksponowane podbrzusza, a im bardziej bezpośrednia i głośniejsza stawała się Hanne, tym radośniej rechotały jej koleżanki, a potem człapały do domu, syte i zadowolone, do swoich mężów i rodzinnego ciepła, Hanne zaś wracała chwiejnym krokiem na Tøyengata, gdzie musiała jeszcze pokonać strome schody na czwarte piętro, potem wpadała do kuchni i wypijała litr wody, a pijąc, myślała, że musi sobie szybko znaleźć kogoś, kto zrobi jej dziecko, bo inaczej przegapi pierwszą rundę. Alternatywnie pozostawało jej poczekać na rozwodników, ale wtedy mogło już być za późno.

Zmienił się także jej wygląd. Widziała to w lustrze: jakaś ociężałość, zmatowienie. Gdyby była psem, miałyby skołtunioną sierść bez połysku. Musiała coś zrobić. Wyćwiczyć sympatyczne radosne miny, zanim ziści się groźba porażki. A gdy patrzyła w lustro rankiem po kilku wieczorach picia z rzędu, czuła się tak, jakby zaglądała w przyszłość: za dziesięć czy dwanaście lat tak właśnie będzie wyglądać *przez cały czas*. Na razie jeszcze wszystko to dawało się zmyć i ukryć pod makijażem, lecz niedługo ta zmęczona i sponiewierana twarz w lustrze stanie się nieodwołalną rzeczywistością.

Ale jeszcze nie teraz. Hanne wgapiła się w siebie, aż dostawała zawrotów głowy, zupełnie jakby osoba po drugiej stronie szklanej tafli naprawdę była kimś innym.

Z jakiegoś nieokreślonego miejsca dochodził do niej zapach zgnilizny, jak po zalaniu. Zapach unosił się w mieszkaniu, odkąd się tu wprowadziła, poprzedni właściciele, pokazując jej lokal, musieli zamaskować go kadzidełkiem albo innym pachnidłem, bo zwróciła na niego uwagę dopiero po przeprowadzce i pierwszym beztroskim okresie pobytu. Pewnego wieczora weszła do łazienki po powrocie z miasta i zaczęła węszyć – taki był początek. Poruszyła temat z sąsiadami, wezwała hydraulika, ale nikt inny niczego nie czuł, a hydraulik przeczyścił wszystkie rury, lecz nie znalazł żadnego problemu i nie zlikwidował zapachu.

W ostatnim czasie wydawało jej się, że smrodek czuć było również w całej reszcie mieszkania, a nocami śniła o zgniłych liściach, studniach ze stojącą wodą i szczurach, które pływały w sieci kanalizacyjnej i czaiły się czasem na dnie sedesu.

Odkąd Hanne, jako dziesięcioletnia, wyprowadziła się od rodziców, mieszkała w dziewięciu różnych miejscach i miała za sobą jakieś szesnaście czy siedemnaście związków, nie licząc znajomości na jedną noc. Z początku każde nowe mieszkanie, podobnie jak każdy nowy mężczyzna, budziło w niej pokusę i fascynację z powodu swojej nowości, ale nim zdążyła się zorientować, zrywała z facetem albo znajdowała nowy lokal. Każde zerwanie i każda wyprowadzka zaczynały się od jakiegoś poirytowania nic nieznaczącą sprawą – sposobem chodzenia, skłonnością do powtarzania określonych słów, zapachem pleśni na klatce schodowej lub hałaśliwymi dziećmi sąsiadów, czy, tak jak teraz, smrodem z łazienki, który przejął władanie nad całym mieszkaniem, wciskając się nawet do jej snów.

Kiedyś zerwała z mężczyzną, bo miał krzywe nogi i stawiał stopy na zewnątrz, innym znów razem rzuciła faceta, ponieważ cały czas używał słowa *dosyc*, na przykład w zdaniach typu:

W weekend była dosyć paskudna pogoda. Wyprowadziła się z mieszkania, bo ściany na klatce schodowej zostały pomalowane na czerwono, a ten konkretny odcień przywodził jej na myśl zakrzepłą krew, inny lokal miał z kolei balkon, który wyglądał, jakby miał się zaraz zarwać, co przyprawiało ją o lęk wysokości. Kilka kwartałów od jeszcze innego jej mieszkania leżała ruchliwa szosa, a gdy już zwróciła uwagę na dochodzące stamtąd odgłosy, hałas zaczął przybierać na sile i wdzierać się w jej życie, aż w końcu myślała, że zwariuje. Posłuchaj tylko tego huku, mówiła do ludzi, którzy ją tam odwiedzali. Na tej samej zasadzie pytała teraz gości, czy czują zapach z łazienki.

Ale nikt nie słyszał ani nie czuł tego, co ona słyszała i czuła, a to z kolei budziło w niej podejrzenia, że ma halucynacje, że wszystkie te wrażenia to objawy tej czy innej choroby, dlatego czasami próbowała wziąć się w garść. Ale im bardziej usiłowała zdusić w sobie irytację, tym bardziej ona wzbierała, i dlatego każde rozstanie i każda przeprowadzka wydawały się w końcu krokiem nie do uniknięcia. Po wszystkich czuła się tak, jakby miała za sobą sztorm. I siedziała tak, już po sztormie, pośród kartonów ze swoim dobytkiem albo sama, uwolniona od kolejnego partnera, i próbowała sobie przypomnieć, co się właściwie stało, czemu znów tu siedzi w takiej sytuacji. Ale wtedy nie była już w stanie tego sprecyzować, bo po czasie także mężczyźni, tak jak i mieszkania, odzyskiwali blask, który towarzyszył im na początku, no ale po czasie było już, rzecz jasna, za późno. Mieszkanie z wałącym się balkonem zostało sprzedane, facet o krzywych nogach znalazł sobie inną, a Hanne widziała oczami duszy, jak jacyś obcy ludzie siedzą szczęśliwi i rozluźnieni na jej dawnym balkonie lub leżą wtuleni w faceta o krzywych nogach, ludzie potrafiący docenić to, co im zsyłał łaskawy los. Ale samo zrozumienie zasad działania tego mechanizmu w niczym nie pomagało. Było zupełnie tak, jakby żyła, nosząc w sobie jakąś małpę, która wżarła się w jej wnętrze i mieszkała gdzieś tam w środku, wysysając z niej substancje odżywcze i pożytkując całą jej inteligencję oraz wszystkie siły, by tylko spełnić swoje zachcianki. Po wszystkich Hanne zawsze cofała się w czasie myślami, próbowała prześledzić każdy swój krok po to, by następnym razem przynajmniej spróbować przechrzyć tę małpę, tak cwana i posiadającą nad nią taką władzę. Ale to małpa pociągała za wszystkie wajchy i potrafiła sprawić, że Hanne traciła zainteresowanie mężczyzną przez jakiś szczegół bez znaczenia albo nie spała przez odgłosy ruchu ulicznego, na które kilka dni wcześniej nawet nie zwracała uwagi.

Weszła do salonu i usiadła w fotelu. Zbliżały się święta. Pokój oświetlał tylko wpadający przez okna blask ulicznych latarni, pod którymi, w strugach czarnego deszczu, przejeżdżały kolejne samochody. Na podłodze wałały się ubrania, na stole piętrzyły gazety i talerze ze starymi resztkami jedzenia. Hanne wiedziała, że ten zapach z łazienki to tylko wymówka, fortel obmyślony przez jej wewnętrzną małpę, by zmusić ją, żeby pognała dalej, znalazła nowe mieszkanie, a potem jeszcze jedno, i tak będzie dopóty, dopóki nie znajdzie w sobie siły, by gdzieś zostać, wytrzymać w bezruchu, uspokoić się.

Wokół niej szumiały rury, w całym budynku ludzie brali prysznic, zmywali, spuszczaali wodę w toalecie, a z sąsiedniego mieszkania dobiegały głosy i dziecięcy śmiech. Nikt z żyjących tu ludzi nie pozwalał, by na jego decyzjach zaważyły jakieś szczegóły, dlatego wszyscy gawędzili i śmiali się ze swoimi bliskimi.

Hanne siedem lat wcześniej dokonała aborcji i co najmniej raz dziennie myślała o tym, jak duże byłoby teraz to dziecko – zarodek, któremu nie pozwolono się rozwinąć, bo jego ojciec

miał zbyt wysoki głos. Oficjalną przyczyną było oczywiście to, że za bardzo się od siebie różnili, a ona nie była gotowa się wiązać czy coś w tym rodzaju – nie pamiętała do końca, co wtedy naprędce wymyśliła, zawsze miała przygotowanych kilka wymówek na wypadek kolejnego zerwania – ale prawdziwym powodem był ten jego głos. Wiedziała, że nie da rady żyć z tym głosem na co dzień, z takim głosem wołała nie mieć dziecka. I tak się stało. Taka już była.

Kierowana impulsem odnalazła piskliwego faceta na Facebooku. Nosił imię Håvard, mieli trzynastu wspólnych znajomych i Hanne wysłała mu zaproszenie, które przyjął po dwóch minutach. Nie znalazła na jego profilu żadnych informacji sugerujących, że jest z kimś w związku, dlatego napisała wiadomość z pytaniem, co u niego, i szybko otrzymała miłą, lecz przy tym neutralną odpowiedź. Wysłała kolejną wiadomość z sugestią, że mogliby się spotkać. Wtedy, przed siedmioma laty, Håvard odprowadził ją do szpitala. Zaczekał, aż będzie po wszystkim i opiekował się nią przez pierwszą dobę po zabiegu. Więc chyba teraz mogli się spotkać na kawę. Ale on odmówił. I tu nadeszło uderzenie:

Niedługo zostanę tatą, latem planujemy ślub i mamy mnóstwo spraw na głowie, pisał. Ale to bardzo miło, że się odezwałaś :-)

Dlaczego nie powiedział jej tego od razu? Zwabił ją na kruchy lód tylko po to, by ją odepchnąć? Håvard stał wtedy w poczekalni i spoglądał na nią swoimi brązowymi oczami. A potem zawiózł ją do domu i przyniósł jedzenie z chińskiej knajpy, położonej na parterze kamienicy w Torshov, gdzie wtedy mieszkała. Obejrzelili razem film i zasnęli na kanapie. A gdy później dzwonił i wysyłał esemesy, ona nie odbierała ani nie odpisywała, nie otworzyła mu też, gdy w końcu przyszedł do niej i zaczął pukać do drzwi.

I co z tego, że miał zbyt wysoki głos, nikt przecież nie jest idealny, ona także, zwłaszcza ona, ze swoimi wiecznymi przeprowadzkami i niemożnością znalezienia sobie miejsca. Resztę wieczora poświęciła na ustalenie, gdzie on mieszka i pracuje. Znalazła w sieci zdjęcia jego partnerki, blondynki o wielkich zębach. Uśmiechała się na tych zdjęciach tak szeroko, że widać było całe dziąsła, a Hanne pomyślała o rybach pływających z całym czas rozdziawionymi pyskami, by pozyskać w ten sposób jak najwięcej pożywienia. Blondynka wyglądała na kogoś, kto czerpie z życia pełnymi garściami. I z całą pewnością nie sprawiała wrażenia osoby dającej się powstrzymać bzdurnym i bagatelnym szczegółom.

Następnego poranka Hanne nadłożyła drogi, by przejść obok kancelarii adwokackiej, w której pracował Håvard. Przez kilka kolejnych dni chadzała tą trasą do pracy i z powrotem. Takie nadkładanie drogi w konkretnym celu przepełniało ją ekscytacją trochę podobną do tej, jaką czuła, oglądając nowe mieszkania, i chodząc tak ulicami, rozmyślała o wszystkim, co mogło się wtedy stać, o Håvardzie i dziecku, którego płci nie знаła, ale które miałyby teraz sześć lat. Może postaraliby się o braciszka albo siostrzyczkę dla tego dziecka, może mieszkaliby w szeregowcu lub jednym z tych wielorodzinnych domów w Sogn albo Tåsen, gdzie przeprowadziło się wiele jej koleżanek z pracy i znajomych. Może mieliby kota albo psa.

Tak się jej przyjemnie spacerowało tymi ulicami, że już zaczęła mieć nadzieję, iż się na niego nie natknie. Ale w piątkowe popołudnie zobaczyła, jak idzie w jej kierunku ulicą Pilestredet. Prawie go nie poznała i nie musiała nawet udawać zaskoczenia. Uścisnęli się na powitanie, Håvard pogładził ją po plecach. Zapuścił brodę. Wydawał się wyższy. Przez te wszystkie lata stało się z nim coś jeszcze, w pierwszej chwili nie była w stanie określić, co to takiego.

– Hanne – powiedział Håvard. – Jak się miewasz?

Wciąż miał ten sam pełen zaangażowania sposób mówienia, jakby naprawdę interesowała go odpowiedź na tego typu pytania. Hanne przypomniała sobie, że z początku ją to pociągało, a potem zaczęło irytować. Ale dawna irytacja była teraz gdzieś bardzo daleko. Nie odrywając wzroku od skoncentrowanej, zaszuchanej twarzy Håvarda, paplała w najlepsze, że pracuje w tym samym miejscu, ale mieszka gdzie indziej. Nie wspomniała, ile razy od ich ostatniego spotkania zdążyła się przeprowadzić i gdy tak sobie gawędzili, nagle doszła do tego, co się zmieniło: głos Håvarda był zupełnie normalny. W ogóle nie wysoki ani nie piskliwy, może zresztą nigdy taki nie był. W dodatku zwróciła uwagę na fakt, że bije od niego jakaś spokojna pewność siebie, że ma swobodną, otwartą postawę, której wcześniej u niego nie dostrzegала. Stał oto przed nią ubrany ze smakiem prawnik z wypielęgowaną brodą i błyskiem w oku, człowiek, z którym nie chciała mieć dziecka i któremu w końcu nie chciała otworzyć drzwi. A mógłby być teraz jej mężem. Mógłby być ojcem jej dziecka, gdyby tylko chwilę zaczekała, była kimś innym, była normalna.

Uśmiechała się i śmiała z jego słów, po dłuższej chwili Håvard zapytał, czy miałyby czas na kawę, pytanie wykielkowało może z tego, że stała przed nim, mizdrząc się na środku ulicy, a może z poczucia winy, które udało jej się w nim obudzić albo po prostu zadał je, bo mieli niedaleko do kawiarni Sjakk Matt, w której w swoim czasie się umawiali. To ja tu decyduję, pomyślała Hanne, gdy stanęli na progu starego dobrego Sjakk Matt, a Håvard przytrzymał przed nią drzwi. Chciałam, żebyśmy porozmawiali, napili się kawy i proszę, wchodzimy sobie teraz do knajpy w tym właśnie celu.

Już przy stoliku powiedziała mu, że myśli o tamtej aborcji każdego dnia. Nie użyła przy tym słowa „aborcja”, rzuciła tylko: „Myślę o tym każdego dnia”. Håvard skinął głową i spojrzał jej w oczy, ona zaś poczuła, jaki w tym leży ładunek intymności, mogli rozmawiać takimi aluzjami, jakby nadal byli parą, i poczuła, jak jakieś ciepło rozlewa się w jej piersi. Dodała:

– Myślę o tym, ile on miałby lat. Albo ona.

– A ja się staram nie myśleć o tym zbyt wiele – odrzekł Håvard.

– Jak ci się to udaje?

– Takie rzeczy trzeba zostawiać za sobą. Inaczej potrafią człowieka zniszczyć.

Miał łagodny, nieco smutny wyraz twarzy, bardzo stosowny dla mężczyzny siedzącego w kawiarni ze swoją byłą, która przez niego przerwała ciążę, pomyślała Hanne. Na tej samej zasadzie jego broda była bardzo stosowna dla nowoczesnego prawnika, chociaż jeszcze pięć lat wcześniej wydawałaby się dziwaczna.

Czekała, aż on powie coś więcej, ale gdy to się nie stało, zaczęła go wypytywać. Pytała o to wszystko, co już doskonale wiedziała, na przykład gdzie mieszka (na Grünerløkka), kiedy ma się urodzić dziecko (lada dzień), gdzie pracuje jego partnerka (w ubezpieczeniach), a on odpowiadał, tyle że krótko i konkretnie, nie dając pola do rozwijania wątków; rozmowa jakoś się nie kleiła i gdy Hanne skończyły się pytania, zapadła cisza.

Håvard zapłacił za nich oboje. Co ci zamówić, zapytał, gdy stali w kolejce. Podwójne cortado, odpowiedziała i zaczęła szukać w torebce portfela. Ale wtedy Håvard powiedział: „Nie, ja zapłacę, ty lepiej idź zająć nam stolik”, i Hanne przypomniała sobie, jak to było żyć we dwoje – jedno płaciło, drugie zajmowało stolik – i że musi istnieć możliwość, by nauczyć się patrzeć

przez palce na wszystkie wady i złe nawyki, by tylko móc tak właśnie z kimś żyć.

Hanne nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć. Niczego nie planowała, po prostu wyszła z założenia, że kiedy się spotkają, wszystko będzie jak dawniej. Mieszkała w niej jakaś pewność, że nie tylko Håvard, ale i inni, których przez te wszystkie lata porzuciła, siedzą spokojnie, czekając tylko, aż się do nich odezwie. Dopiero teraz zaczynało jej świtać, że było wręcz przeciwnie, że byli partnerzy żyli dalej swoim własnym życiem, zupełnie od niej niezależnym, i świadomość ta obudziła w niej uczucie spadania w jakąś otchłań bez dna.

Håvard zmierzył ją wzrokiem.

– Hanne, czego ode mnie chcesz po tych wszystkich latach, czemu akurat teraz się do mnie odezwałaś?

Uderzyła ją intymność tej sytuacji, została przejrzana, zdemaskowana, obnażona: Håvard był jedynym człowiekiem, który ją *znał*, jedynym z nich wszystkich, z którym naprawdę miała jakąś szansę. Była z nim nawet w ciąży, nosiła w sobie wąty materiał genetyczny Håvarda. Poczowała, że łyzy cisną jej się do oczu.

– Nie wiem. Nie miałam żadnego planu. Chciałam tylko z tobą pomówić. To, co się stało, dla ciebie może nie miało wielkiego znaczenia, ale dla mnie przesądziło o całym życiu. Jestem sama, od tamtego czasu nie byłam w żadnym poważnym związku.

Håvard potrząsnął głową.

– Jak możesz tak mówić? Ja też oczywiście myślałam o tym, co się stało. Z tego, co pamiętam, wiele razy próbowałam się z tobą kontaktować, przyszedłem nawet do ciebie do domu, stałem na klatce i pukałem do drzwi. Ale ty nie odpowiedziałaś, nie otworzyłaś. I w porządku, to znaczy, wtedy to wcale nie było dla mnie w porządku, ale minęło wiele lat, a życie biegnie dalej, jeśli mogę tak to ująć.

Jeśli mogę to tak ująć. Hanne przypomniawszy sobie, że swego czasu to także nie dawało jej spokoju: wszystkie te jego wyświechtane powiedzonka. Spróbowała przywołać w sobie dawną irytację, ale nadaremno. Spróbowała odnaleźć w pamięci Håvarda z tamtych dni, nieco bezbarwnego faceta, którego nie mogła znieść, ale Håvard z tamtych dni został wyparty przez Håvarda obecnego, a ten promieniował pewnością siebie i nosił modną brodę.

Oddychał teraz ciężko czerwony na twarzy. Uniósł filiżankę, stwierdził, że jest pusta, i odstawił ją z hukiem.

– Byliśmy razem zaledwie kilka miesięcy, a mimo to czułem się gotowy, by mieć z tobą to dziecko. I doskonale o tym wiesz. To ty nie chciałaś. A teraz siedzisz tu i opowiadasz, że nie jesteś w stanie zbudować nowego związku, jakby to była moja wina.

Hanne powiedziała:

– Jak miło, że zostawiłeś to wszystko za sobą. Dobrze, że przynajmniej jednemu z nas udało się ta sztuka, *jeśli mogę to tak ująć.*

Håvard poczerwieniał jeszcze bardziej. Jego permanentny rumieniec też ją wtedy irytował. Ale teraz było mu z nim do twarzy. Teraz Hanne była głodna czułości, bliskości, wszystkiego tego, co on chciał jej wtedy dać i co odrzuciła; teraz tego pragnęła. Jego wilgotnych brązowych oczu, w które spoglądała, wychodząc z gabinetu po zabiegu. Ale teraz było już za późno. Teraz Håvard musiał wracać do domu, do swojej narzeczonej. Może czekała na niego z obiadem,

a może to on miał coś kupić po drodze. Jedzenie dla ciężarnej narzeczonej, nagroda za to, że wysiaduje jajo z jego pisklakiem. Dwa ptaki we wspólnie zbudowanym gnieździe.

Hanne wstała.

– Trzymaj się, miło było cię spotkać. Powodzenia we wszystkim.

Håvard patrzył na nią z otwartymi ustami.

To ja tu decyduję, powtórzyła w myślach, krocząc po chodniku. To ja decyduję, kiedy ta rozmowa ma dobiec końca, nie ty. Ze swoją brodą i głupimi powiedzonkami. Masz ich tyle, że mogłyby się wziąć za ręce i zbudować całą rozmowę złożoną z samych tylko powiedzonek. *Cóż, narzekać nie mogę. Może już się kładźmy, jutro też jest dzień. Pogoda w weekend była dosyć dobra, jeśli mogę to tak ująć.*

Ulice roily się od wystrojonych ludzi w drodze na firmowe imprezy opłatkowe. Hanne nie miała żadnych planów, z każdym krokiem szło jej się coraz trudniej. Co ona właśnie zrobiła? Håvard nigdy nie był wobec niej nie w porządku, nie zrobił jej żadnej krzywdy. To ona w swoim czasie go skrzywdziła. A teraz zrobiła to znowu. A ponieważ krzywdziła ludzi, była teraz zupełnie sama. Prosta logika.

Håvard będzie niedługo w domu u osoby, która z niedowierzaniem pokręci głową, słuchając o jego niezrównoważonej eks, i może ta właśnie rozmowa jeszcze bardziej ich do siebie zbliży. Tymczasem niezrównoważona eks wdrapie się po ciemnych i wąskich schodach do siebie i spędzi piątkowy wieczór w swojej śmierdzącej norze. Hanne patrzyła na ludzi spieszących do swoich spraw i myślała: nigdzie się nie wybieram, nie mam nikogo *wokół siebie*. Wszyscy mają swoje życie, wszyscy są daleko, gdzieś zniknęli.

W jej torebce zawibrował telefon. *Spotkamy się kiedyś?* Wiadomość od Stalkera albo Czubka, jak go nazywała, byli razem bardzo krótko, od tego czasu minęło już wiele lat, ale nadal dostawała od niego kilka esemesów w tygodniu. Czyli jednak nie była zupełnie sama, miała przecież Czubka. Czubek gdzieś na nią czekał, Czubek nie dorobił się nowego życia. Nadal jej pragnął, a gdyby zadzwoniła do niego teraz, stojąc na ulicy rojącej się od ludzi w drodze na spotkania opłatkowe, na pewno by przyszedł. Wszędzie by do niej przyszedł. Gotów rozniecić przygasły płomień, zacząć w miejscu, w którym ostatnio skończyli, przyjechałby swoim zgrabnym sportowym autkiem, ze złotymi kartami w kieszeni i nawigacją ustawioną na najdroższe restauracje.

O jej rozstaniu z tym człowiekiem przesądziło dla odmiany coś poważniejszego niż określony sposób mówienia czy chodu. Za pierwszym razem, gdy byli u znajomych, Czubek wstał i wyszedł po niecałych trzydziestu minutach. Hanne ruszyła za nim i została na ulicy zwymyślana. Czubek zezował wytrzeszczonymi oczami i z pianą w kącikach ust nazwał ją pizdą i dziwką, bo jego zdaniem przesadnie flirtowała z innymi mężczyznami. Hanne wróciła na imprezę roztrzęsiona i powiedziała, że jej partner nagle źle się poczuł, a gdy przyszła do domu, jeden za drugim zaczęły nadchodzić esemesy, które spływały z niezwykłą regularnością przez całą noc. Nie odpowiedziała na żaden z nich, a następnego dnia Czubek przysłał jej kwiaty, zarówno do pracy, jak i na adres domowy, bukiety z bilecikami, na których pisał, że jeśli ona go zostawi, to on się zabije. *Będiesz miała na rękach moją krew*. Wszelkie symptomy się zgadzały, objawy psychozy, poważnego zaburzenia osobowości, o tym wszystkim można przeczytać w internecie, ale mimo to po tygodniu zgodziła się znów z nim spotkać. Nie wiedziała właściwie

dłaczego. Może dlatego, że w dobrych momentach było im razem tak dobrze. Przez kilka tygodni wszystko szło gładko, rozbijali się po mieście jego sportowym autkiem i jadali w restauracjach. Aż któregoś dnia siedziała w samochodzie i uśmiechnęła się nagle do jakiejś swojej myśli, właśnie wracali do domu z Huk i zanim zdążyła wyjaśnić, o czym pomyślała, Czubek wysadził ją na poboczu i odjechał, przekonany, że się z niego naśmiewała.

Po tym zdarzeniu nie odpowiadała na jego esemesy przez kilka miesięcy, lecz jednego wieczora nudziła się tak bardzo, że mu odpisała, i mimo że jej wiadomość brzmiała: *Nie kontaktuj się ze mną, nie chcę mieć z tobą nic wspólnego*, doszło w końcu do tego, że jakoś się umówili, ale tym razem w środku dnia i tylko na kawę. *Jestem teraz dużo spokojniejszy*, napisał. *Poszedłem na terapię, bo musisz wiedzieć, że jestem gotów na wszystko, byle tylko Cię odzyskać*. Była sobota, rozmawiali spokojnie i przyjaźnie, a na koniec się uścisnęli i Hanne czuła ulgę, idąc do domu, bo zawsze nieprzyjemnie jest mieć wrogów, w domu zaś odblokowała go na Facebooku i odpowiedziała na zaproszenie do grona znajomych, które wysłał jej niemal w tej samej chwili.

Jeszcze tego wieczora zadzwonił do niej z pytaniem, czy chciałaby z nim polecieć do Paryża, zupełnie bez zobowiązań, będą mieszkać w osobnych pokojach, a on za wszystko zapłaci. Gdy mu odmówiła, znów eksplodował, a ona w ciągu tej nocy dostała ponad sto wiadomości z groźbami, wyznaniem miłości, a potem znów nowymi groźbami – *Od teraz oglądaj się za siebie; Nigdy nie kochałem nikogo tak jak Ciebie; Wszyscy mówią, że jesteś ordynarna i szpetna; Jesteś miłością mojego życia; Zniszczę Cię* – dopiero wtedy zrozumiała, że nie może mu odpowiadać w absolutnie żaden sposób i że *Nie kontaktuj się ze mną* dla niego zawierało w sobie ukryte znaczenie przeciwne. Lecz mimo to, w tej właśnie chwili, na spowitej adwentowymi ciemnościami ulicy rojącej się od ludzi, czuła jakąś pociechę na myśl, że jest choć jedna osoba – co prawda szalona, ale zawsze – gotowa rzucić dla niej wszystko. A te jego napady... Czy naprawdę były tak fatalne, jak je zapamiętała? Może stanowiły tylko przejaw wielkiego uczucia, a problemy w ich związku wynikały z różnic temperamentów i wystarczyłoby tylko...

Hanne schowała telefon do torebki i zrobiła głęboki wdech. Co ona też sobie roi? Oto i ostateczny dowód jej desperacji. Powinna się nad sobą zastanowić.

Poza tym to nieprawda, że nie miała żadnych planów. Dostała na ten piątkowy wieczór całe mnóstwo zaproszeń. Gdyby tylko chciała, mogłaby przejść suchą stopą z jednej imprezy na drugą. Z weekendowego piwa z kolegami z pracy (wykręciła się w nadziei, że spotka Håvarda) na urodziny, jeszcze jedne urodziny i w końcu gwiazdkowy koncert w Månefisker. Nie przyjęła zaproszenia na żadną z tych imprez, bo uroiła sobie, że gdy spotka Håvarda, to coś się wydarzy, nie była pewna co, ale coś z pewnością, i szła teraz ulicą Grensen, kolejny raz zachodząc w głowę, co jest z nią nie tak. Wstała wcześniej rano, by umyć włosy i ogolić nogi, stała w swojej śmierdzącej łazience z przecuciem, że ma przed sobą coś dobrego.

Minęła restaurację Stortorvets Gjæstgiveri, za zaporowanymi szybami tańczyły cienie i przez sekundę pomyślała, że mogłaby wejść, ale była w takim stanie, że nie chciała ryzykować, siadając samotnie przy stole. Ale nie mogła też wrócić do domu. Nie była także w stanie zdecydować się na żadną z imprez, na które ją zaproszono. Z przyzwyczajenia skręciła w lewo, w Møllergata, a tam, przed barem Justisen, stała grupka palących papierosy mężczyzn. Jeden z nich, dawny kolega, zawołał ją po imieniu, a ona do nich dołączyła. Byli już pijani i się przekrzykiwali, w końcu wypalili papierosy i zaprosili ją do środka.

Została usadzona w łoży pod ścianą, ktoś postawił przed nią piwo. Przysłuchiwała się rozmowie, zadowolona, że jest jedyną kobietą przy stole, czuła ciepło bijące od mężczyzny, który siedział obok niej, pracę jego mięśni, gdy gestykulował, jego zapach: mieszankę papierosowego dymu, piwa, potu i wody po goleniu. Wystarczyło położyć dłoń na jego udzie. Siedziała przy ścianie, nikt by nie zwrócił uwagi. Ale pora była jeszcze za wczesna, w lokalu było za jasno, ona nie była wystarczająco pijana.

Ileż to litrów piwa tu wypija. To tu świętowano piątki, urodziny, uchwalone budżety, skończone raporty rządowe. W ostatnich latach zaczęto chodzić także do innych knajp: Sosialen, Internasjonalen, Stopp Pressen, Kulturhuset, ale prędzej czy później zawsze wracało się do Justisen. Tak więc istniało w jej życiu coś stałego, Hanne nie powinna zapominać, że pomimo całego przepełniającego ją niepokoju i potrzeby zmian nadal miała tę samą pracę, którą rozpoczęła zaraz po obronie dyplomu z politologii na Blindern. Dzięki Bogu, że coś w jej życiu było takie jak zawsze i dzięki Bogu za Justisen. Hanne odetchnęła nieco spokojniej. Wokół stolika siedziało dwóch czy nawet trzech mężczyzn, zarówno zabawniejszych, jak i bardziej pociągających od Håvarda. Lecz mimo to brakowało im czegoś, co miał on, a co ona określała w myślach jako *powagę* lub *ciężar*. Mężczyźni przy stoliku mówili językiem, który znała na wylot, byli w związkach małżeńskich albo partnerskich. Tak jak wszyscy na tym świecie. Więc czemu nie ona?

Jestem sama, od tamtego czasu nie byłam w żadnym poważnym związku. Jak ona się zachowała! I to wobec człowieka, który miał zostać ojcem. Ale tu, w Justisen, było jej miejsce, czuła to, przysłuchując się z lubością hermetycznemu językowi biurokratów, który był także jej językiem. Siedzieli przed nią z rozszerzonymi nozdrzami i ze snusem wciśniętym pod wargi, dwaj z nich mieli też brody i, podobnie zresztą jak Håvard, byli za starzy na taki zarost starego dziada, który pasuje tylko chłopakom krótko po dwudziestce. Cały sens brody starego dziada polega na tym, że zapuszczający ją mężczyźni są młodzi, pomyślała Hanne, pijąc piwo, i poczuła, jak całe zajście z Håvardem przesuwają się na coraz dalszy i dalszy plan.

Na stół wjechały kolejne piwa. Hanne obserwowała przeciskających się między stolikami kelnerów i żałowała, że nie jest jednym z nich, nie przebywa teraz w pracy i nie ma przed sobą jasno określonych zadań: piwa do podania, pustych kufli do uprzątnięcia. Pracowała na studiach jako kelnerka we Frognerparken Café, czekała niecierpliwie, by móc odejść z tego miejsca, a potem co rok do niego tęskniła: do prostej fizycznej pracy, bycia trzeźwą w morzu pijanych ludzi, do poczucia kontroli nad sytuacją, jasnych nocy po godzinach zamknięcia, kiedy siedziała z resztą załogi i trzymając nogi na stole, podliczała napiwki.

W drugim końcu lokalu siedziało kilku polityków, których twarze rozpoznała. Byli z różnych partii, ale świetnie się ze sobą bawili i Hanne przypominała sobie epizod z czasów, kiedy dopiero zaczynała pracę w ministerstwie, a cała jej sekcja wybrała się do Justisen, by świętować zakończenie pracy nad projektem budżetu. Pod koniec wieczora zagiął na nią parol młody polityk, co skończyło się tak, że wrócił z nią do domu i spędził u niej noc. Następnego dnia Hanne, chcąc się go pozbyć, musiała udawać, że umówiła się z koleżanką na spacer w lesie, a kilka dni później dostała od niego esemesa, na którego nie odpowiedziała. Mówiła sobie, że to dlatego, że facet jest zbyt śliski, taki typ padalca, poza tym miał w sobie coś takiego – może chodziło o jego szerokie usta i wąskie wargi – co przypominało jej zabawkę z czasów dzieciństwa, pluszową żabkę, którą uszyła dla niej matka i która nadal siedziała na łóżku w jej rodzinnym domu w Kjelsås.

Było to jeszcze w czasach, gdy mogła przebierać w mężczyznach jak w ulegawkach, teraz to rozumiała. Nadal była w stanie zabrać ze sobą na noc prawie każdego, kogo chciała, nie o to chodziło, po prostu po wszystkim nie mogła się już spodziewać tylu telefonów co kiedyś. Tamtego wieczora fakt, że wszyscy faceci przy stoliku ją adorują, ona zaś łaskawie wybiera sobie Żabę i zabiera go do domu, wydawał jej się największą oczywistością. A mimo to stała wtedy przed lustrem w toalecie Justisen i myślała, że wygląda staro – sto lat i milion jednostek alkoholu wcześniej.

A teraz ona znów tu była, a z Żabą sprawy potoczyły się podobnie jak z Håvardem, zrobił karierę, został ministrem i występował obecnie we wszystkich mediach na wszystkich dostępnych platformach, a na dodatek się ożenił, doczekał dzieci. Hanne przegapiła okienko dostępności Żaby, otwarte dosłownie na kilka chwil, wpełzła w nie szybko jakaś inna kobieta, węsząc dobrą okazję, a okienko się zamknęło i zatrzasnęło. A to Hanne mogłaby teraz siedzieć przy białym podłużnym stoliku w mieszkaniu w Ullevål Hageby i udzielać wywiadu do najnowszego numeru „Dagbladet Magasinet” – u boku swego obecnie sławnego i kontrowersyjnego ministra, z dzieciątkiem na kolanach. Hanne przeczytała ten wywiad chyba ze sto razy. Jakiś czas temu brała udział w spotkaniu z Żabą, który był nie tylko ministrem, ale i szefem tego właśnie ministerstwa, w którym pracowała. Spotkanie dotyczyło projektu dożywiania dzieci w szkołach, tematu, nad którym spędziła sporo czasu, dlatego też poproszono ją o przygotowanie prezentacji. Hanne długo ćwiczyła swoje wystąpienie i kupiła sobie zamszowe kozaczki na wysokim obcasie, ale gdy przyszło do powitań i wszyscy się sobie nawzajem przedstawili, Żaba tylko na nią spojrział, rozciągnął swoje szerokie usta w uśmiechu i powiedział: „Ach, *my* się już poznaliśmy”. Stwierdził to tak po prostu, bez owijania w bawełnę i niedopowiedzeń, jakby chodzili do jednej klasy w liceum, i dlatego Hanne nie miała się czego złapać i czego dalej rozgrywać. Stała przed nim i wygłaszała swoją krótką prezentację, opanowaną tak doskonale, że mówiąc, była równocześnie w stanie irytować się na kozaczki za cztery tysiące koron oraz, dodatkowo, na biały podłużny stół w Ullevål Hageby, o którym nie mogła przestać myśleć.

Ale właściwie o co jej chodziło? Żaba wysłał jej w swoim czasie krótkiego esemesa, a ona nie odpisała. Nie było przecież tak, że ją odrzucił, a ona pragnęła w nim obudzić poczucie winy. Teraz przecież też go nie chciała. W głębi duszy marzyła, by do niej przybiegł, tylko po to, żeby mogła znów go od siebie odepchnąć – *a potem znów i znów, i znów*.

Hanne fantazjowała, że idzie do lekarza. Taki lekarz zleca jej różne badania, a w końcu drapie się po głowie i mówi: jakim cudem pani w ogóle jeszcze funkcjonuje? Ludzie z pani chorobą potrzebują tego oto konkretnego lekarstwa. A żeby być w stanie sformułować jakąkolwiek myśl bądź podjąć jakiegokolwiek działanie, które nie jest wewnętrznie sprzeczne, musi pani łykać trzy takie tabletki dziennie. Po czym wypisuje jej receptę i wszystko tym samym naprawia.

Tylko że to tak nie działa. Zamiast tego musiała posuwać się po omacku, rozwiązując zagadki, nigdzie nie było lekarstwa ani gotowych odpowiedzi.

Wokół stołu zapanowało poruszenie. Jej towarzysze ruszali dalej, na koncert w Månefisken.

– Chodź z nami – odezwał się ten, obok którego siedziała. – Mają grać jacyś starzy rockmeni, będzie fajnie.

Jego kolega dodał:

– Podstarzali biurokraci witający Gwiazdkę koncertem rockowym, cóż lepiej nas wprowadzi w świąteczny nastrój.

3

Jan stał na środku parkietu, symulując grę na gitarze. Był piątkowy wieczór, a jemu, posiwiąłemu naczelnikowi wydziału, nawet nie bardzo szumiało w głowie. Rolf, kolega ze szkolnej ławy, przywołał go gestem na scenę i już po chwili obaj wrzeszczeli do mikrofonu *come on baby, light my fire*, dwaj podstarzali biurokraci. Jan poczuł, jak wzbiera w nim dobrze znane uczucie tremy, ale było już za późno, stał na scenie ramię w ramię z Rolfem i gdy usłyszał, że zaczyna mu się łamać głos, wydarł się jeszcze głośniejszym, chcąc przekrzyknąć nerwy. W klasie muzycznej liceum Hartvig Nissen siedział za perkusją, ale teraz chwycił mikrofon, odepchnął Rolfa – zwanego w ogólniaku muzycznym żandarmem, bo publicznie twierdził, że wypada słuchać wyłącznie jazzu oraz Led Zeppelin – i dośpiewał piosenkę do końca, głosem, którego nigdy wcześniej nie słyszał, zupełnie jakby udało mu się odmienić stary strach, wydobyć go z głębi i przerobić na to, co płynęło teraz z jego gardła; była w tym jakaś czernść, ciężar, charakter, coś, od czego sala się zagotowała, a publiczność zaczęła szaleć. Jan kręcił biodrami, jeden ruch gonił drugi bez chwili przerwy ani wahania, był zmartwychwstałym Jimem Morrisonem, a jego głos przeszedł w falset. Pod sceną stało kilka kobiet z jego sekcji i wyciągało do niego ręce. Zespół grał dalej repertuar Doorsów, *Break on Through*, bardzo stosownie, bo sam właśnie to zrobił, przebił się przez wszystko, co stare, na drugą stronę. Tylko dlaczego nie zrobił tego wcześniej, nie napawał się dźwiękiem własnego głosu płynącym ze wzmacniaczy; dlaczego ludzie nie robili tego cały czas?

Utwór dobiegł końca. Jan chciał śpiewać dalej, ale Rolf oświadczył, że zespół musi sobie teraz zrobić przerwę. Publiczność zaczęła protestować, Jan kurczowo ścisnął mikrofon, odmawiając oddania go, chciał więcej, rozpoznał to uczucie z czasów, gdy był mały i płakał, że nie chce iść spać. Dopiero gdy zobaczył, że reszta zespołu odkłada instrumenty, zszedł ze sceny, a wtedy publiczność rozstała się przed nim, wszyscy klaskali i wznosili na jego cześć okrzyki.

Chwilę potem siedział już przy barze, a Rolf grał swój popisowy numer, *Beat it* Michaela Jacksona, kawałek akceptowany przez muzyczną żandarmerię tylko dlatego, że wyprodukował go Quincy Jones, a na gitarze grał Van Halen – teraz bowiem Rolf miał zamiar odbić scenę. Ale ty też nie zostałeś muzykiem, myślał Jan, tylko szarym urzędnikiem, tak jak ja, i stoisz tu teraz w swoim czarnym T-shircie, odgrywając Van Halena, zupełnie jak przed trzydziestoma laty. Pewnie ćwiczysz w garażu swojego domu w Jar, żeby nie wyjść z wprawy – ale co z tego?

Rolf obchodził się z gitarą jak ze swoim własnym organem płciowym, na twarzy miał grymas typowy dla mężczyzn grających na tym instrumencie: jakby miał zaraz dojść. Ciekawe, czy twarz układa im się tak mimowolnie, a może robią to świadomie, uprawiając coś w rodzaju publicznego obnażania się lub masturbacji? Gdy tylko Jan zdążył dokończyć tę myśl, podeszła do niego Hanne. Znał ją, pracowała w jego sekcji, a chwilę wcześniej stała we wrzeszczącej grupce pod sceną. Powiedziała coś, czego nie usłyszał, nachylił się nad nią.

– Co mówiłaś?

– Nie wiedziałam, że taki z ciebie rockandrollowiec.

Hanne należała do młodszych i popularniejszych pracowników sekcji, tych, którzy zawsze mieli o wszystkich najświeższe plotki, a jednocześnie można było na niej polegać w sytuacjach kryzysowych, na przykład gdy coś się działo w mediach, a minister musiał się wytłumaczyć w wiadomościach o osiemnastej. Została zatrudniona zaraz po studiach, wybrana spośród setek kandydatów, a mimo to miała w sobie jakąś leniwą arogancję, jakby ta praca ją nudziła, była czymś, co robiła lewą ręką.

– Aha?

Na tyle tylko było go stać. Jan poczuł, że twarz układa mu się w minę, którą robił zawsze, gdy flirtowały z nim młodsze kobiety, co tej jesieni zdarzało mu się zresztą dość często: jakiś na wpół ojcowski wyraz pobłażliwego rozbawienia, mającego zamaskować przerażenie wywołane faktem, że podchodzi do niego kobieta ponadprzeciętnie piękna, a Hanne należała do tej kategorii. Trudno było patrzeć na nią bez onieśmienia, na te ciemne oczy, pełne wargi, białe zęby, urocze piegi.

Przysunęła się do niego, a on poczuł na przedramieniu ten wyjątkowy dotyk. Jak to się dzieje, że mężczyzna zawsze rozpoznaje dotyk kobiecej piersi, nawet ten najbardziej przypadkowy, na przykład w tłumie, próbował się zastanawiać, by uruchomić mózg, rozpocząć proces myślowy, uzyskać skądś pomoc. Hanne przekrzywiła głowę i zmierzyła go wzrokiem, zupełnie rozluźniona. Jan spojrział w kierunku sceny, udając, że słucha muzyki, zaschło mu w ustach i chciał się jeszcze napić, ale butelka była już pusta. Podenerwowanie wzbierało, a w takt z nim pewne zażenowanie, tuż za nim zaś potrzeba, by je zdławić, zdusić czymś innym, co musiał szybko znaleźć. Wszystko to było mu doskonale znane, zupełnie jak trema sprzed kilku chwil. Ale przeszedłem przecież przemianę i takie rzeczy już mnie nie przerażają, pomyślał Jan, stawiając sobie na kolanach butelkę po piwie i przytrzymując ją dłońmi. Było zbyt ciemno, by ona to dojrzała. O co w ogóle chodzi? Czemu ona nie przestaje, czemu wciąż na niego napiera, po co to wszystko? Takie zachowanie wobec szefa uchodzi płazem chyba tylko w Norwegii. O nocnego stróża nigdy by się tak nie ocierała. Poza tym on już nie powinien pić i wydzierać się do mikrofonu ze współpracownikami, te czasy dawno minęły.

Hanne skinęła głową w stronę sceny.

– Spójrz na tego faceta. Ciągłe jęczy, że jego prawdziwym powołaniem jest kariera muzyka, a teraz stoi tam w T-shircie mającym dowodzić, że był na tym czy innym magicznym nocnym koncercie Milesa Davisa. Ale potrafi tylko udawać i naśladować innych, sam nie ma od siebie nic do dodania.

Jan znów się do niej odwrócił, ale stała zbyt blisko, a on nie miał okularów. Musiał się nieco odchylić, by ujrzeć ją wyraźnie.

– Skąd wiesz o tym koncercie? Mogłaś mieć wtedy najwyżej parę lat. O ile w ogóle byłaś na świecie.

– Mój tato jest jednym z tych starych miłośników jazzu, wychowywałam się, słuchając Milesa Davisa, Charliego Parkera, tych wszystkich gości. Tato ma całą ścianę z winylami, tylko z nich słucha muzyki.

– Ja też byłem na tym magicznym nocnym koncercie. I też mam całą ścianę winyli.

- No to będziecie mieli dużo wspólnych tematów, kiedy się spotkacie.
- A niby kiedy mielibyśmy się spotkać?
- Na naszym weselu.

Jan zademonstrował jej swoją obrączkę.

- Mam już żonę. Wkrótce świętujemy srebrne gody.

Hanne wycelowała w niego palec wskazujący, muskając nim jego nos.

– Jesteś towarem wysokiej jakości. A nikt nie miał o tym pojęcia. W każdym razie nie ja. Muszę się jeszcze napić piwa, ty też chcesz?

Podeszła do barmana, wróciła z dwiema butelkami, wskoczyła na sąsiedni stół i usiadła, zwracając się do niego twarzą. Jan nachylił się nad nią, uspokojony dystansem, który nagle między nimi wyrósł.

– Mogłabyś rozwinąć temat? – poprosił, opierając dłonie na jej udach. – Uważasz mnie za towar wysokiej jakości?

W jego zamyśle miał to być gest oznaczający coś w rodzaju *bądź poważna*, tak jak wtedy, gdy kładzie się komuś ręce na ramionach i delikatnie nim potrząsa, ale zorientował się, że jego dłonie wylądowały zbyt daleko. Jego wielkie łapska o rozcapierzonych palcach znalazły się w zupełnie niestosownym miejscu, ale nie mógł ich teraz stamtąd zabrać, bo byłoby to przyznaniem się do błędu.

– Chciałbym usłyszeć więcej – powiedział cienkim głosem, próbując być zabawny. – Opowiedz, jaki jestem wspaniały.

Lecz zegar odliczał kolejne sekundy, a Hanne nie odpowiadała, wpatrywała się tylko w niego. A on ją obmacywał jak jakiś stary knur. *Był* zresztą starym knurem, jaka niby miałyby być różnica pomiędzy nim i wszystkimi innymi starymi knurami tego świata? Żadna. Właściwie jak bardzo był pijany? Spróbował się roześmiać, zignorować żar palący jego ręce, mięśnie ud pod jego dłońmi i Hanne, pochyłoną na barowym stolku i patrzącą w jego oczy. Co to miało być, przecież zupełnie nie o to mu chodziło. Wystraszył się, ale w chwili, gdy chciał cofnąć ręce i wyprostować plecy, ona chwyciła jego dłoń i wzięła do ust jego palec wskazujący, wsuwała go powoli i wysuwała. Pieściła go językiem, przymknęła oczy, wysunęła palec z ust i zaczęła oblizywać z góry na dół. Włożyła go z powrotem, zaraz po nim jeszcze drugi palec i wreszcie także trzeci. Cały czas nie spuszczała z niego wzroku, a Jan chciał się roześmiać, to było groteskowe, musiało stanowić żart albo jakąś formę ironii, której nie rozumiał. Ale miał zupełnie sucho w ustach i zamiast śmiechu wydobył z siebie krótkie charknięcie. Cmoknął, przełknął ślinę i chciał cofnąć rękę, jego palce były w ustach współpracownicy młodszej od niego o co najmniej półtorej dekady i należało to przerwać. Lecz mimo to trwał w bezruchu i nie był w stanie przypomnieć sobie, kiedy ostatnio miał taką erekcję, zapomniał, że erekcje tych gabarytów w ogóle są możliwe. Tymczasem tak właśnie mogło być w życiu, niepojęte, że o tym zapomniał. Hanne jęknęła z jego palcami w ustach, palce były teraz całe mokre od jej śliny. Jan usłyszał za plecami chrząknięcie barmana, z perspektywy czasu myślał potem o tym chrząknięciu jako ostatnim dźwięku, który usłyszał w swoim dawnym życiu, czymś w rodzaju próby wyciągnięcia go na brzeg przez człowieka, który dostrzegł, że prąd zaczyna nieść go na pełne morze.

Już po chwili wyszli z lokalu i stanęli na dworze. Ruszyli w górę brukowanej ulicy, wyszli na

jakąś większą arterię i poszli przed siebie, rozglądając się za wolną taksówką. Nie rozmawiali ze sobą ani na siebie nie patrzyli, biegli tylko truchtem po oblodzonym chodniku, pozwalając się mijać kolejnym autom. W końcu podjechała taksówka, rzucili się do niej przez śniegowe zasy, nie mieli chwili do stracenia, a Jan doszedł potem do wniosku, że ten pośpiech nie wynikał z samego pożądanego, a raczej ze strachu, że pożądanego nagle się skończy, wypali i zgaśnie, że dotrze do nich, co właściwie robią. Ale w tamtym momencie ulżyło mu, że może wsiąść do rozgrzanego auta ze świadomością, iż za chwilę będzie leżał w łóżku z kobietą, która siedziała obok niego, tłumacząc kierowcy, gdzie ma ich zawieźć. Jechali rzecz jasna do niej, tak po prostu było i nie mieli innego wyboru. Jan był w stanie myśleć o Ingrid wyłącznie w kategoriach bytu przebywającego w innej galaktyce, razem z ich domem, synami, ministerstwem, rodzicami, przyjaciółmi oraz wszystkim innym, nieciekawym i pozostającym bez związku z jego sytuacją. I wszyscy inni musieli ustąpić miejsca temu, co się właśnie działo, bo oto tu, na tylnym siedzeniu taksówki, Hanne wzięła jego członek do ust i zaledwie po jakichś dziesięciu czy dwudziestu sekundach spokojnie połknęła to, co z niego wytrysnęło, a Jan był pewien, że za moment stanie mu serce. I wcale mu to nie przeszkadzało, mógł umierać, bo czuł się tak, jak się czuł, jak zdążył zapomnieć, że czuć się można. O czym jeszcze zapomniał?

Dojechali pod właściwy adres. Drżącą dłonią podał kierowcy swoją kartę, dostał ją z powrotem, wszystko działo się jak na zwolnionym filmie albo jakby byli pod wodą. Potem wysiedli, potem ona otworzyła bramę i weszli na podwórze, pokonali kolejne drzwi i niezliczone stopnie schodów. Żadne z nich się nie odzywało, w milczeniu uparcie kroczyli do celu. Szedł za nią, dyszał i sapał od przepełniającego go pożądanego i wypitego piwa. Szwankował mu słuch, zupełnie jakby miał w uszach watę.

Po kilku chwilach byli już w sypialni i Janowi znowu przypomniano, jak to było, wiele lat temu, na początku z Ingrid i z tylu innymi przed nią. To, co się zdarzyło tam, w łóżku Hanne, a raczej na materacu na podłodze, w pokoju z oprawionymi plakatami stojącymi wzdłuż ścian i ubraniami rzuconymi bezładnie na wieszak, po prostu musiało się zdarzyć. Hanne wyzwoliła w nim coś brutalnego, pozbawionego zahamowań, coś, co sprawiło, że chwycił ją za biodra i posiadł, złapał ją mocno za kark i unieruchomił, podporządkował ją sobie. Obudziły się w nim nowe impulsy, podobne do tych, które towarzyszyły mu, gdy przed zaledwie kilkoma godzinami stał na scenie, i po raz kolejny poddał się im, kierował się nimi, pozwolił im prowadzić. Nie poznawał się. Wkroczył w nowy czas.

Po wszystkim, już nad ranem, siedzieli w łóżku, pijąc whisky i jedząc czekoladę. Potem wypalili na spółkę jointa, a Jan zaczął już widzieć oczami duszy gazetowe nagłówki: *Naczelnik wydziału w orgii narkotyków i brutalnego seksu*. Pomyślał, że najpewniej śpi, że tak naprawdę leży w swoim łóżku obok Ingrid. Bolało go całe krocze.

– To tak się teraz zabawiacie – powiedział.

– Co za wy?

– No wy, w wielkim świecie.

– Jakim świecie?

Po całym pokoju walały się ubrania. Wyglądało to tak, jakby właśnie się tu wprowadziła albo miała się zaraz wyprowadzać.

– Tym tutaj, wielkim świecie wielkich spraw.

- Tutaj widzisz te wielkie sprawy?
- Owszem, to klasyczne miejsce, w którym dzieją się wielkie sprawy.
- A ja uważam, że jest odwrotnie. Że to ty żyjesz w wielkim świecie, a tu jest jakieś inne miejsce, położone gdzieś daleko poza nim.
- Jestem żonaty od ponad dwudziestu lat. Wkrótce mamy świętować srebrne gody. Nic podobnego nigdy wcześniej mi się nie zdarzyło.
- Ale to tutaj to tylko pętla czasoprzestrzenna, wszystko jest tu dozwolone, bo to miejsce poza wielkim światem.
- Siedzimy tu sobie, dwa małe trybiki w biurokratycznej maszynerii, i palimy zioło. Sex, drugs and rock'n'roll.
- *Yeah, bro.*
- *Bro?* Tak się teraz mówi? Nie paliłem zioła od liceum. W tamtych czasach mówiło się zresztą *marycha*.

Jan faktycznie nigdy wcześniej nie był niewierny, jeśli nie liczyć niewinnego obściskiwania w tańcu tu i tam. Do czegoś więcej doszło tylko jeden jedyny raz, w czasie proszonego obiadu, Ingrid była wtedy chora i została w domu, a Jan i gospodyni mieli zejść do piwnicy po więcej wina i to tam doszło do czegoś, co Jan zaraz przerwał, po czym pobiegł do domu i złożył Ingrid pełen raport, potem zaś przytaczał cały ten piwniczny epizod jako dowód na to, że jeśli coś się działo, nieważne co, to Ingrid *zawsze była informowana jako pierwsza*. Co prawda na potrzeby Ingrid swoją rolę w całym zajściu przedstawił jako nieco bardziej pasywną niż w rzeczywistości, ale to było białe kłamstewko w typie tych, które trzeba mówić, by chronić przed upadkiem potężne imperia, a ich małżeństwo takim właśnie imperium było, za wszelką cenę należało je chronić, Jan naczytał się dość statystyk i raportów, by wiedzieć, jak ważne jest dbanie o związek. Nie tylko dla uniknięcia konieczności dzielenia się dziećmi, majątkiem i przyjaciółmi, ale także przez wzgląd na siebie samego, własny dobrostan i osobiste szczęście. Dlatego też siedział w taksówce w drodze do domu ze wzrokiem wbitym w drzwi auta i już wiedział, że niezależnie od tego, jak silna jest w nim chora potrzeba wkroczenia do sypialni, obudzenia Ingrid i opowiedzenia jej o całym tym nieprawdopodobnym zajściu, musiał ją w sobie stłumić. Sam fakt, że rozważał inną możliwość, świadczył o tym, jak bardzo upośledzona była jego umiejętność oceny sytuacji i stanowił dowód, że wciąż jest naćpany. Czy zresztą sam chciałby się o wszystkim dowiedzieć, gdyby to Ingrid poszła do łóżka z innym mężczyzną i wróciła do domu, tak jak on w tej chwili, pełna nowych wrażeń? Nie, oczywiście, że nie. Jan zacisnął pięści na tylnym siedzeniu taksówki, która zaparkowała właśnie przed domem na Solveien. Na dobre i na złe, pomyślał, już drugi raz tej nocy płacąc za taksówkę. Pomyślał, że pomimo promili we krwi i zaawansowanego wieku przeżył właśnie cztery orgazmy w ciągu takiej samej liczby godzin. Mimo że był to fakt obiektywnie interesujący, nie mógł się z tego zwierzyć Ingrid. Po raz pierwszy w życiu będzie zmuszony ukryć przed nią coś naprawdę wielkiego. A kiedy tylko zamroczenie alkoholowe zacznie mijać, pojawią się wyrzuty sumienia. Co on najlepszego zrobił? Będzie musiał wytrzymać, nie mówiąc o tym Ingrid, i dodatkowo znosić cierpienie w związku z faktem, że niczego podobnego już nigdy nie przeżyje.

Jan wszedł do swojego domu, starając się spokojnie oddychać. Dotarł w życiu do takiego punktu, że mógł się trochę rozluźnić. Za piętnaście lat będą z Ingrid mieli przepracowane

w aparacie państwowym i gminie dwa razy po cztery dekady, bez żadnych przerw. Przy założeniu, że do tego czasu fundusz naftowy się nie wyczerpie, a państwo dobrobytu nie zbankrutuje, każde z nich otrzyma solidną emeryturę, którą będą mogli przepuszczać na egzotyczne podróże i obiady w ekskluzywnych restauracjach. Jan wyobrażał sobie, że będzie otwierał wina kosztujące co najmniej dwieście koron za butelkę, smażył steki z krów, które się masuje i karmi wonnymi ziołami, a następnego dnia odwiedzą ich wnuki i pójdą razem karmić kaczki w Ekeberg. Widział oczami duszy mniejsze kopie swoich synów, może również dziewczynkę, rzucających kawałki chleba kaczkom i zanoszących się śmiechem, tak jak chłopcy, gdy byli jeszcze mali. Widział, jak jeździ z Ingrid po Europie, każde z nich z lekkim plecakiem na ramionach. O tym wszystkim rozmawiali wieczorami – przynajmniej dawniej tak było – podkreślając, że na takie wyprawy nie trzeba wcale zabierać dużego bagażu, że wszystkie niezbędne rzeczy mieszczą się w niewielkim plecaczku, i planowali, jak będą jeździć kuszetką między wszystkimi miastami Europy, budząc się co rano w nowej stolicy. O tym wszystkim musiał teraz pamiętać, przy tym wszystkim musiał obstawać.

Kilka miesięcy przed tymi zdarzeniami, w pewne poniedziałkowe przedpołudnie pod koniec sierpnia, Jan odebrał telefon z informacją, że został przyjęty na stanowisko naczelnika wydziału. Zgłosił swoją kandydaturę na tę posadę wyłącznie dla zabawy, chciał zobaczyć, jak wysoko uplasuje się na liście. Gdyby naprawdę wierzył, że ma jakieś szanse, nie wysłałby dokumentów. Ale teraz już się stało.

– Członkowie komisji nie mogli się dogadać, o mały włos nie rozpoczęli całego procesu na nowo – powiedziała mu Julie. Była kierowniczką innej sekcji i brała udział w procesie rekrutacyjnym. – Ale ja powiedziałam, że masz zdolności przywódcze, znasz całą swoją sekcję na wylot, że nigdy nie mieszałeś się w konflikty personalne i chyba w końcu się ze mną zgodzili, z czystego lenistwa.

– A co się stało z tą babką, która tu była i miała zostać nowym naczelnikiem, tą, co tu zaglądała kilka tygodni temu? – zapytał Jan. Kobieta była działaczką Konfederacji Norweskich Przedsiębiorców, stanęła przed nimi na wysokich obcasach i zaczęła opowiadać, że jest prawniczką, ma męża i dwie córki, uprawia jogę oraz biegi narciarskie i nie może się doczekać, by zacząć z nimi pracować. Roztaczała wokół siebie aurę sektora prywatnego, nie tylko za sprawą butów na obcasie i szarego kostiumu, było też coś szczególnego w jej doborze słów oraz wysokim tonie głosu i Jan zaczął się zastanawiać, ile czasu minie, zanim ta babka – nie mógł sobie przypomnieć, jak się nazywała – trochę się rozluźni i da sobie spokój, i z głosem, i ze sposobem ubierania. A potem już o niej nie myślał. Wrócił do swojego pokoju i podjął pracę, którą musiał przerwać na czas spotkania. O fakcie, że i on w swoim czasie zgłosił swoją kandydaturę na to stanowisko, zdążył zupełnie zapomnieć.

– Dowiedziała się właśnie, że zostały jej trzy miesiące życia. Poza tym była druga na liście.

– Co?

– Dowiedziała się w piątek. Jakaś agresywna forma raka.

– To przecież straszne.

– Tak, to straszne. Nie ma nawet czterdziestki. Ale teraz trzeba się spieszyć, przygotować dokumenty i przesłać je do KPRM, decyzję musisz podjąć dzisiaj, bo sprawę trzeba załatwić na posiedzeniu rządu, a to już w piątek.

KPRM, pomyślał Jan. Kancelaria Prezesa Rady Ministrów. Posiedzenie rządu z udziałem króla. A potem zapytał, bo nie mógł się powstrzymać:

– A kto był pierwszy na liście?

– Czekaj, niech się zastanowię. A tak, taki jeden, co w końcu przyjął funkcję ambasadora w Belgradzie.

Jan był wobec tego na tym samym poziomie co ambasador. Odsunął nieco komórkę od ust, by Julie nie usłyszała jego ciężkiego oddechu.

– Muszę to skonsultować z moją małżonką – powiedział, już przybierając nowy sposób mówienia: z *małżonką*. – I zaraz do ciebie oddzwonię.

Kilka godzin później siedział w tramwaju w drodze do domu. Nie mógł się doczekać, by opowiedzieć o wszystkim chłopcom i rodzicom. Wyliczył, że będą mogli szybciej spłacić kredyt. I w środku tych obliczeń zerknął przypadkiem na swoje odbicie w szybie, siedział nad telefonem, zgarbiony i z wyciągniętą szyją, przypominając nieco sępa. Wyprostował się i schował komórkę do kieszeni.

Będę naczelnikiem wydziału, pomyślał. Aha, odparł sam sobie. No i co z tego? Dawno temu miał zostać muzykiem, grał na instrumentach perkusyjnych, dostał się nawet do Konserwatorium Muzycznego w Oslo. Ale gdy stanął w kuchni domu rodziców i przeczytał im list z uczelni, jego ojciec, chirurg, oświadczył, że jeśli chce się zarabiać na życie jako artysta, to trzeba mieć zarówno talent, jak i dyscyplinę, przy czym talent ma wielu, dyscyplinę zaś – jedynie nieliczni. Ojciec siedział przy kuchennym stole i czytał gazetę, było sobotnie przedpołudnie, a jego chłodna konstatacja poruszyła Jana, który wiedział o sobie tyle, że jest leniwy, wygodnicki i gotów na wszystko, by tylko uniknąć bólu i dyskomfortu. To z kolei prowadziło do wniosku, że życie muzyka jest nie dla niego, mimo że wszystkim wokół, a także sobie samemu, zdołał wmówić, że tego właśnie pragnie najbardziej na świecie. A teraz ojciec *odebrał mu jego marzenie*. Ale ojciec powiedział tylko na głos to, co wiedzieli wszyscy wokół i co dawało się dostrzec już w czasach, gdy Jan był jeszcze pulchniutkim pełzającym półtorarocznym berbeciem.

Jan zrezygnował wobec tego z konserwatorium i zaczął studia na Blindern. Podążał tam wytyczoną wcześniej i przetartą trasą, było prawie tak, jakby wsiadł do pociągu i siedział w nim spokojnie, aż do stacji o nazwie magisterium. Potem dostał pracę w ministerstwie i przesiadł się do kolejnego pociągu. I wystarczyło odpowiednio długo posiedzieć w tym wagonie, lub, jak to ujęła Julie, *nie mieszać się w konflikty*, a prędzej czy później i tu dojeżdżało się do stacji, tym razem o nazwie Naczelnik Wydziału. Tyle że stąd już dalej nie jeździły pociągi. Dalsza droga – do stanowiska dyrektora departamentu lub sekretarza stanu – nie była już tak jasno wytyczona, nie położono na niej szyn, nie pobudowano stacji i pod tym względem droga ta trochę przypominała karierę muzyka, innymi słowy: życie wymagające pomysłowości, wysiłku i wyrzeczeń, los, na który nie był gotowy.

Przez wiele lat powtarzał sobie, że najważniejsze to być dobrym ojcem i małżonkiem, a mimo to miał przecucie, że gdzieś istnieje jakaś inna wersja jego samego, w jakimś równoległym wszechświecie, w którym gra w kapeli jazzowej muzykę tak ambitną, że żyje wyłącznie ze stypendiów i dotacji, zaś przez większość roku mieszka w busie dowożącym go na koncerty. Ledwie wiąże koniec z końcem, a wieczory spędza w ciasnych ciemnych lokalach, gdzie z pałeczkami w dłoni improwizuje przed nieliczną, lecz obdarzoną wyszukany gustem publicznością. Nie ma dzieci, żony, domu ani kredytu i pije każdego wieczora. Siedzi za

perkusją spocony, blade i szczęśliwy. Bo to właśnie szczęście jest najważniejsze, myślał Jan, siedząc w tramwaju i spoglądając na kartę dostępu, którą miał na szyi; widniał na niej napis *Starszy specjalista*, w miejsce którego wkrótce miało się pojawić *Naczelnik wydziału*. Nie zapominaj o tym.

W pierwszych dniach ludzie dziwnie na niego patrzyli, koledzy składali mu gratulacje, nawet nie próbując ukryć zaskoczenia. O rany, mówili nierzadko na wstępie, patrzcie państwo, wszyscy na liście przed tobą poumierali czy co? Gdy wyszło na jaw, że kobieta, która początkowo miała dostać stanowisko, naprawdę niedługo umrze, przestali to powtarzać. Janowi, praktycznie z dnia na dzień, przydzielono własny gabinet, został wysłany na szkolenie dla kadry kierowniczej, zaczął spędzać całe dni na spotkaniach i nagle stał się osobą, która decydowała, co mają odpowiedzieć na wybrane zapytania i nad jakimi projektami mają pracować. I ani on sam, ani nikt inny nie miał czasu przyzwyczać się do tej nowej sytuacji, dlatego też Julie została jego samozwańczą mentorką.

– Teraz to wóz albo przewóz – mówiła, gdy przychodziła do niego, co w pierwszym gorączkowym okresie robiła niemal codziennie. Zamykała za sobą drzwi, zrzucała buty i kładła się na sofie, jak się okazało rozkładanej, którą wstawił do gabinetu poprzednik Jana. – Dobrze, że masz dzieci, bo odpowiedzialność za personel bardzo przypomina odpowiedzialność rodzicielską. Musisz się zdecydować, czy będziesz kumplem, czy ojcem, czy będą cię lubić, czy szanować. Nie można mieć jednocześnie tego i tego.

Jan położył nogi na stole, by nie odbiegać przesadnie od swobodnej pozycji, jaką przyjęła Julie. Odchylił się do tyłu i splótł dłonie na karku.

A ona ciągnęła:

– I tu może wyniknąć problem, bo jesteś z tych, co chcą, żeby ich lubiano.

– Co?

– Ależ owszem, nawet nie próbuj zaprzeczać. Widać to na kilometr.

– A czy nie wszyscy tego chcą?

– Niewykluczone, ale u ciebie to jakby przyćmiewa wszystko inne.

– Nie wiem, czy mogę się z tobą zgodzić. I nie jest przecież tak, że zawsze przytakuję przedmówcy. To znaczy, nie boję się artykułować swojego zdania, problem w tym, że cały czas to zdanie zmieniam.

Jan wyobrażał sobie, że jest wypełniony trocinami, że w środku wygląda jak szmaciana lalka, którą bawił się jako mały chłopiec. Siedząc na spotkaniach i kiwając głową w takt słów każdego, kto się odzywał, myślał o tamtej lalce oraz jej trocinowym wnętrzu i ogarniało go przerażenie, bo może faktycznie nie miał w sobie żadnego rdzenia, żadnej własnej wolnej woli ani istoty.

– Ale to przecież wszystko jedno. Jako naczelnik musisz się przyzwyczać do kwestionowania cudzych opinii, a także do tego, że ludzie cię nie lubią. I kropka. Nie możesz jednocześnie zjeść ciastka i mieć ciastka.

Jan pokiwał głową, ale pomyślał, że w tym sformułowaniu jest jakiś dramatyzm, zupełnie niepasujący tak do sekcji, którą znał i w której pracował, jak i do całego aparatu urzędniczego. Chociaż, z drugiej strony, teraz nie mógł już po prostu stać w kącie z głupawym uśmiechem na ustach. Musiał się wspinać na mównicę i prawić, głośno i wyraźnie, o kluczowych wartościach,

określonych i sformułowanych w ministerstwie na drodze niezliczonych warsztatów i szkoleń z wykorzystaniem zasobów wewnętrznych oraz zewnętrznych, a wartościami tymi były: *Profesjonalizm*, *Otwartość* oraz *Efektywność*. I jest, rzecz jasna, *lepiej, gdy jest dobrze*. Swego czasu Jan śmiał się z tego z kolegami w piątkowe wieczory spędzane w Internasjonalen. Nie wspominając już o tym, że *cieplej jest w słońcu niż w cieniu*. Ale teraz takie frazesy musiał wygłaszać sam, z największym przekonaniem, udając jednocześnie, że nie dostrzega głupawych uśmiezków na końcu sali. Zagrożona śmiercią kobieta z Konfederacji Norweskich Przedsiębiorców nie byłaby nawet świadoma problemu, wychowała się przecież w sektorze prywatnym, ojczyźnie pustych frazesów.

– Masz przed sobą solidny kawał pracy. Ja przynajmniej przyszedłem z zewnątrz, a ty będziesz musiał kierować ludźmi, z którymi wcześniej byliście równi. Wszyscy gadają o demokratyzacji struktur zarządzania. I owszem, kiedyś dyrektorzy departamentów byli niemal jak królowie, wydający nam zaszyfrowane rozkazy, a my, ich pokorni poddani, musieliśmy je odkodowywać. To się zmieniło. Ze wszystkimi dobrymi i złymi tego konsekwencjami.

Jan powiedział:

– Tak, zauważyłem na przykład, że od jakiegoś czasu łatwiej mi forsować moją *idée fixe*, czyli rozdział urzędu i polityki. Mówić, że trzeba pilnować długofalowych interesów sektora i nie dopuścić do przenikania się tych dwu sfer, bo mimo że mamy być czymś w rodzaju sekretariatu dla kierownictwa politycznego, to nie możemy dać zrobić z siebie sztabu wyborczego; i teraz dużo łatwiej jest mówić ludziom to wszystko prosto w twarz niż jeszcze dziesięć lat temu.

Potwierdzając jej ostatnie słowa, Jan sam usłyszał, że brzmi jak uczeń, który chce się popisać przed nauczycielką swoim niezwykłym darem formułowania własnych opinii, pokazać, że wcale mu nie zależy na byciu lubianym.

Lecz Julie ani na niego nie spojrzała, ani nie skomentowała tej wypowiedzi. Zamiast tego stwierdziła:

– Ale ta zwiększona demokratyzacja uderzy teraz i ciebie, *prosto w twarz*, że zacytuję twoje własne słowa.

Przeciągnęła się. Wcześniej rzadko ze sobą rozmawiali, a teraz leżała przed nim na bosaka. Spódnica podjechała jej do góry, Jan dostrzegł pod nią coś, co mogło być halką. Julie ubierała się inaczej niż większość kobiet w ministerstwie, bardziej biznesowo, jak ta biedaczka z Konfederacji Norweskich Przedsiębiorców. Styl ubierania się wśród urzędników, a przynajmniej tych, z którymi pracował, był swobodny, zdaniem Jana może nawet trochę zbyt swobodny, widział coś niestosownego w stawieniu się na spotkanie z ministrem w wyciągniętym swetrze i dżinsach, zwłaszcza kiedy minister, ich *przełożony*, występował przed nimi w białej koszuli z krawatem albo eleganckim kostiumie, jeśli była to kobieta. Jan miał osobiście ochotę zacząć przychodzić do pracy w garniturze, gdy tylko został naczelnikiem wydziału, ale się na to nie zdecydował. Bo może byłby to niewłaściwy sygnał, ludzie mogliby się zastanawiać, za kogo on się właściwie ma, przecież wszyscy jechali na jednym wózku, w tym samym kierunku. A szef – czy też naczelnik – był wyłącznie kimś w rodzaju koordynatora, brygadzysty. Lecz mimo wszystko, myślał Jan, spoglądając na Julie, która leżała przed nim w pończochach, na jej obcisłą spódnicę, bluzkę, buty na obcasie, które zrzuciła, jak dobrze byłoby móc wdziać podobny mundur, porządne ubranie, takie jak to. Sam miał na sobie dżinsy i sweter, spod którego

wychodziły poły koszuli. Czyż nie było jakiejś kokieterii w ubieraniu się tak jak wszyscy inni, mimo że z czysto technicznego punktu widzenia stał wyżej niż oni, czy nie powinien posłuchać instynktu i zacząć chodzić w garniturze?

– Zwiększona demokratyzacja jest pewnie świetna dla wszystkich, którzy nie ponoszą żadnej odpowiedzialności, mogą wtedy marudzić i biadolić bez ograniczeń. Bo niby czemu mieliby się hamować? Grymaszą i narzekają, wcale nie dostrzegając szerszego kontekstu. Chociaż z drugiej strony – obejmujesz stanowisko po człowieku, który, z tego co zdążyłam zrozumieć, nie był zbyt popularny, a to zawsze bardzo wdzięczny punkt wyjścia.

– No właśnie! – wykrzyknął Jan, pochylając się na krześle. Chciał o tym porozmawiać. Ale przypomniał sobie coś, co gdzieś przeczytał: *Jeśli wydaje ci się, że będzie ci przyjemnie o czymś mówić, to o tym nie mów*. Teraz czuł potrzebę rozwinięcia tematu swojego poprzednika, człowieka o beznadziejnych umiejętnościach kierowniczych, którego nigdy nie było, który niechętnie udzielał informacji zwrotnych, a czasem wręcz przypisywał sobie cudze zasługi. Kiedyś w takiej chwili rozmowy jak ta poszedłby po dolewkę kawy i z radością oddałby się tej niewinnej rozrywce, przerwie w pracy, kiedy to można się było wzajemnie nakręcać w swojej frustracji, zgodnie potrząsać głowami. Ale teraz z powrotem odchylił się do tyłu i skinął głową do Julie, jakby chciał powiedzieć: tak – i co? Co jeszcze? Co dalej?

– Proponuję, byś sobie przypomniał wszystko, co robił ten człowiek, i postępował na odwrót. Po prostu.

W kolejnych tygodniach Jan bardzo uważał, by każdą, najbliższą nawet sprawę wpisywać do terminarza, szybko odpowiadał na wszystkie wiadomości i jadł lunch we wspólnej kantynie tak często, jak tylko był w stanie. Przyjął za oczywistość, że w wyznaczone dni nadal będzie pełnił dyżury w kuchni, także w odróżnieniu od swojego poprzednika, który wypadł z grafiku już na samym początku. Zdarzało się nawet, że Jan, gdy przychodził jego tydzień, pod koniec długiego dnia wypełnionego spotkaniami na mieście wpadał do wydziału tylko po to, by opróżnić i załadować na nowo zmywarkę, wyczyścić ekspres do kawy i wytrzeć blaty w ich niewielkim aneksie kuchennym.

Wszystkie pozytywne komentarze ze spotkań z kierownictwem przekazywał zarówno pojedynczym osobom, których dotyczyły, jak i całemu zespołowi. Gdy ktoś przychodził do jego gabinetu, pozwalał mu się wygadać – wcześniej miał skłonność do wchodzenia ludziom w słowo, ale teraz bardzo się pilnował, gdy zaś odpowiadał, zmuszał się, by mówić powoli. Zrozumiał w tym okresie, jak bolesna potrafi być szczerłość, o ile przyjemniej jest kłamać albo zatajać fakty, jak również to, że do kłamstw i zatajania faktów człowiek ucieka się zawsze przez wzgląd na samego siebie. Nawet jeśli udajemy, że to dla dobra innych, kłamstwo nieodmiennie ma w założeniu chronić tylko nas.

W chwilach, gdy czegoś nie był pewien, myślał o swojej nowej zasadzie: *Jeśli wydaje ci się, że będzie ci przyjemnie o czymś mówić, to o tym nie mów*. Jeżeli natomiast coś wydawało się trudne, należało się nad tym pochylić i niezwłocznie poświęcić się tej kwestii.

Ale już wkrótce Jan odkrył, że wcale nie musi się wysilać ani obmyślać strategii. Wystarczyło poczekać, a rzeczy działały się zupełnie same z siebie. Stanowisko, które niemal samo wpadło mu w ręce, zostało w dużej mierze stworzone przez ludzi wokół niego, przez ich oczekiwania i projekcję ich ambicji. Żył własnym życiem, jak coś w rodzaju zaczarowanego kostiumu, który musiał tylko włożyć i już po kilku tygodniach jego głos zaczął nieść się w zupełnie inny sposób.

Nieść się daleko poza ten punkt, w którym Jan wcześniej zmieniał zdanie, raz za razem, w zależności od tego, z kim ostatnio rozmawiał albo jaki artykuł ostatnio czytał. Teraz obstawał przy swoim, może dlatego, że słuchano go w całkiem nowy sposób, a to podtrzymywało jego słowa i niosło je jeszcze dalej, dawało mu pewność siebie, która z niego emanowała, słuchano go w jeszcze większym skupieniu i w ten sposób jedno napędzało drugie. Patrzył na siebie w lustrze i widział, że promienieje, zupełnie jakby tchnięto w niego nowe siły, i każdego tygodnia odkrywał kolejne oznaki swego nowego statusu. Wcześniej, gdy zdarzało mu się ziewać albo tracić zainteresowanie na spotkaniach lub przerywać mówcom, bywał za to upominany, czy to uniesieniem brwi, czy też ostentacyjnym odwróceniem wzroku. Ale teraz, jeśli się zapomniał i zaczynał ziewać albo błędzić wzrokiem po sali, działo się coś innego: mówcy przechodzili do rzeczy, milkli lub zadawali mu pytanie. Brak skupienia Jana, podobnie jak inne jego niefortunne zachowania, były od niego przejmowane i wypychane na środek sali, gdzie martwić musieli się nimi pozostali.

Wobec tego Jan przerywał mówcom i ziewał, gdy tylko uznał to za stosowne, ale tylko na zebraniach swojej własnej sekcji. Spotkania z innymi naczelnikami lub dyrektorem departamentu – nie wspominając już o sekretarzu stanu i innym kierownictwie politycznym – spędzał wyprostowany jak struna i nigdy nie przyszłoby mu do głowy kłaść nogi na stole albo ziewać. Wszystko to mogli natomiast robić dyrektor departamentu czy sekretarz stanu i jego świta, mogli być bezceremonialni i naginać zasady, sekretarz stanu któregoś dnia przyprowadził nawet ze sobą zasmarkaną dwulatkę, bo zamknięto przedszkole, a matka dziecka wyjechała. Dziewczynka biegała po sali, wypytując ojca o to i owo, a ojciec, sekretarz stanu, odpowiadał jej szczegółowo, wszyscy inni zaś uśmiechali się i myśleli: coś takiego nie przeszłoby w żadnym innym kraju.

Dziecko kasłało na wszystkich przy stole, nie zasłaniając buzi, i trzy dni później rozchorował się Jan, a po kolejnych trzech dniach – reszta jego rodziny. Sekretarz stanu miał wielu ludzi, do których mógł zadzwonić, w każdym razie na pewno miał możliwość umieszczenia dwulatki w sąsiednim pokoju, gdzie pilnowałaby jej ta czy inna urzędniczka. Lecz mimo to przybył na spotkanie z chorym dzieckiem, jak z jakimś trofeum – patrzcie na mnie, rozmnożyłem się, nikt inny w historii świata wcześniej tego nie dokonał – a potem przez resztę dnia minister chodził z dziewczynką za rączkę. I żaden z tych szczegółów nie miał charakteru przypadkowego, nie chodziło tu o zamknięte przedszkole ani żonę w podróży, za tym wszystkim kryła się walka o władzę, zresztą tak jak zawsze, bo zawsze chodziło o to, komu co i kiedy wolno. A gdy wszyscy przekrzywiali głowę, uśmiechając się do zasmarkanego dziecka, które biegało po sali i wszystkim przeszkadzało, był to w rzeczywistości akt legitymizacji nowego prawa – bo to zaczynało obowiązywać już wszędzie, pozostając jednocześnie w sferze niedopowiedzenia i objawiając się raz jako jedno, raz jako drugie. Niebawem i minister przybył na spotkanie, niosąc swoją córeczkę na barana, wkrótce Jan spacerował po korytarzach swojego miejsca pracy, które nagle wydało mu się zupełnie nowe, jakby przekroczył jakiś niewidzialny próg. Za tym progiem świat był diametralnie inny, życie nie miało już tak ostrych kantów, a wszyscy stali się dla niego miłsi i bardziej go lubili. Już w okolicach Bożego Narodzenia nie był w stanie sobie przypomnieć, jak to było wcześniej, w jaki sposób wtedy żył.

Jan nigdy nie był niezadowolony ze swojego małżeństwa i nigdy niczego mu w nim nie brakowało. Wręcz przeciwnie. Patrząc, jak z biegiem lat rozwodzą się kolejne pary ich znajomych, doszli z Ingrid do wniosku, że są szczęściarzami. Tak nam razem dobrze, mamrotała

mu Ingrid do ucha po tym, jak kończyli się kochać, a dochodziło do tego parę razy w miesiącu. Niespecjalnie często, lecz jednocześnie nierzadko jak na parę pięćdziesięciolatków. Wystarczyło, że nadal trzymali się razem, stanowiąc nienaruszoną komórkę społeczną. O tak, jest nam dobrze, odpowiadał jej wtedy Jan. A mimo to po zaledwie kilku dniach od piątkowego wieczoru w Månefisken wysłał esemesa do Hanne. Był wtorkowy poranek. Cały poniedziałek przesiedział na spotkaniach, więc nie widzieli się od chwili, gdy on, potykając się, schodził po wąskich schodach klatki na Tøyengata, a ona stała w drzwiach, chichocząc, bo oboje byli jeszcze solidnie naćpani.

Kawa i pogawędka? – napisał, bo z jakiegoś powodu najbardziej nie dawała mu spokoju właśnie potrzeba, by *porozmawiać* o tym, co zaszło, a z Ingrid mówić o tym przecież nie mógł, zresztą doszedł do wniosku, że nie może o tym rozmawiać z nikim innym. Hanne należała poza tym do grona jego bezpośrednich podwładnych i to, co się wydarzyło, było niewłaściwe na więcej niż jednej płaszczyźnie, potrzebny był więc *debriefing*. Mieli nadal razem pracować, dlatego ważne było, by postawić ostatnią kropkę, doprowadzić do *zamknięcia sprawy*. Jan nie należał do mężczyzn, którzy wychodzą cichcem nad ranem, a potem udają, że nic się nie stało.

Umówili się w Stockfleths na Prinsens gate, a gdy po zakończonej pracy Jan zszedł do kawiarnianej piwniczki i zobaczył ją, jak siedzi na sofie i czyta coś na ekranie komórki, drgnął, jakby nagle przeszył go prąd. Uznał to za zły znak. Podszedł do niej i usiadł. Odłożyła telefon, uśmiechając się do niego.

– Co u ciebie? – spytała. – A tak w ogóle to dzięki za miłe spotkanie.

– Nie możemy być razem. Rozumiesz to, prawda?

Jej uśmiech stał się jeszcze szerszy. Rozejrzała się dokoła, po czym znów przeniosła na niego wzrok, jakby chciała zademonstrować pozostałym gościom swoje rozbawienie.

– Tylko tyle chciałeś mi powiedzieć?

– Nie doświadczyłem nigdy czegoś podobnego.

– Ja też nie.

– Byłem taki narąbany.

– Ja też.

Rozmawiali ściszonymi głosami. Jan wybrał Stockfleths właśnie dlatego, że był to lokal uczęszczany przez pracowników ministerstwa, a zatem miejsce o charakterze oficjalnym, przyzwoite miejsce. Przy sąsiednim stoliku siedzieli ludzie z sekcji Julie, zwrócił na nich uwagę i postanowił udawać, że wpadł tu na Hanne przypadkiem. Całe to skradanie się i tajemniczość, podobało mu się to, pociągało go. Wyjął z teczki plik papierów.

– Jak to dobrze, że cię widzę. Tu jest ta sprawa, o której rozmawialiśmy – powiedział głośno, a Hanne zaczęła przeglądać dokumenty. Były to jakieś zupełnie przypadkowe papiery, wydrukował je, bo chciał się z nimi zapoznać w tramwaju do domu, wolał to od czytania z ekranu.

Hanne nadal je przeglądała, od czasu do czasu kiwając głową i mrużąc *hm*.

Patrzył, jak ona czyta. Nie możemy tutaj siedzieć, pomyślał, i skończyło się na tym, że poszli do twierdzy Akershus. Tak się jakoś złożyło, że i tak szli w tym samym kierunku, i niecałą godzinę po tym, jak Jan zszedł po schodkach Stockfleths, stali w zacisznym kąciku pośród

murów twierdzy, błędząc dłońmi pod swoimi ubraniami.

Pewnego ranka Jan powiedział:

– Tak nie można. To się musi skończyć.

Pierwszy raz spędził u Hanne całą noc, nie myśląc w ogóle o tym, co ma robić później, jak się zachować w domu, wieczorem wysłał tylko Ingrid esemesa z informacją, że musi przenocować w biurze, co zdarzało mu się od czasu do czasu, kiedy miał mnóstwo pracy albo wyszedł z kolegami na miasto i nie zdążył na ostatni tramwaj. Ingrid nie zareagowała, zresztą czemu miałyby to zrobić.

– Biedactwo, ta praca cię wykończy – mamrotała, gdy wracał do domu w środku nocy i kładł się obok niej po upojnych godzinach z Hanne.

Ale teraz przenocował u kochanki, mimo że jeszcze nawet nie nadeszły święta, a oni mieli przed sobą dzień pracy. Jan stał w kuchni na Tøyengata i zmywał naczynia, Hanne wyszła właśnie spod prysznica. Przychodząc do jej mieszkania, czuł się zawsze, jakby przekraczał granicę egzotycznego kraju. Ciasne zagracone pokoje, okna z widokiem na ulicę, stary piecyk w kuchni, kawiarka, fakt, że wszystkie kuchenne sprzęty i zastawa wisiały na ścianach albo stały na otwartych półkach, że lodówka była wiekowa, zardzewiała i hałaśliwa – wszystko to przypominało mu jakiś południowy kraj albo mieszkanie na St. Hanshaugen, gdzie wprowadzili się z Ingrid w latach dziewięćdziesiątych.

– Pomyśleć, że dorobiłam się gosposi.

– Nie pojmuję, jak możesz żyć w takim bałaganie. Przecież nawet nie wyrzucasz śmieci.

Hanne chwyciła go za biodra i zaczęła się do niego rytmicznie przyciskać, zupełnie tak, jak on do niej przed chwilą w sypialni.

– Kupię ci taki fikuśny fartuszek, będziesz go zakładał w kuchni. Fartuszek i nic więcej. Będzie ci do twarzy.

– Chciałem tylko zrobić kawę, ale w tym bałaganie się nie da.

Jan spakował puste butelki do foliowych toreb i pomyślał, że resztą zajmie się następnym razem. Jeśli, rzecz jasna, będzie jakiś następny raz. Przecież nie planował jeszcze tu wracać.

Ale zaledwie godzinę później, w drodze do ministerstwa – pilnowali z Hanne, by pojawiać się w pracy o różnych porach, nadchodząc z różnych kierunków – poczuł, że bardzo chce wrócić.

Może chodziło właśnie o to jej zabałaganione mieszkanie, o lekkość i beztroskę, o to, że zdawała się nie brać niczego na poważnie. A on tęsknił do tego wszystkiego, nie będąc nawet tego świadom, w momencie zaś, gdy sam przed sobą przyznał się do tej tęsknoty, napłynęły jeszcze inne myśli. Na przykład refleksja, że przez wiele lat czuł się *wprawiony* w życie Ingrid, zdominowany przez jej strachy i potrzebę kontroli. Zupełnie jakby to zostało przez nich uchwalone na samym początku, niczym jakiś zestaw podstawowych zasad i przepisów. Osierocona Ingrid była wychowywana przez dwoje starych ludzi, zbyt starych, by zajmować się dzieckiem, a przed tym jeszcze spadła na nią dramatyczna śmierć obojga rodziców, takie przeżycia potrafiły zdominować wszystko inne, były niczym atutowe karty, których Ingrid nie musiała nawet zagrywać, wystarczyło, że trzymała je w ręce.

Ta jej potrzeba kontroli, ta zacięta powaga, z którą podchodziła do każdej kwestii, zupełny

brak *radości życia*. Na przykład wtedy, gdy pojechali na urlop do ciepłych krajów. Udało im się rozluźnić i czuć swobodnie tylko przez jedną krótką chwilę, pewnego dnia, kiedy siedzieli na plaży, pijąc piwo, i wszystko jak gdyby nagle wokół nich ucichło. Na pół godziny. Wszystko przedtem i potem tonęło w napięciu i stresie, głównie przez potrzebę Ingrid, by być jak wszyscy inni i robić wszystko jak należy; i to napięcie na jej twarzy, gdy patrzyła na inne rodziny. Jan widział jej strach o to, że nie są jak oni, strach, że coś pominęli, coś źle zrobili.

A pomimo tego wszystkiego czuł się czasem w ich życiu zbędny, jakby miał tylko spełniać różne funkcje: ojca, małżonka. Przy Hanne znów mógł być po prostu Janem, leżeć na materacu i brzdąkać na gitarze z brakującą struną. Mógł palić marychę, albo *zioło*, jak mawiała Hanne, a potem pożreć kilogram czekoladek i popić czterema puszkami coli, siedząc koło niej w pościeli i oglądając na jej MacBooku *Grę o tron*.

Przez pierwsze pół roku nie wspomniał o Hanne nikomu. Pewnego lipcowego dnia, gdy ich sekretny związek trwał już – z przerwami – jakieś siedem miesięcy, stał akurat w kuchni u swoich rodziców.

– Jak się miewasz, synku? – zapytała Ulla i pogładziła go po plecach, a Jan zaczął płakać. Pochylał się nad kuchennym blatem, miał sobie nalać kawy, ale musiał odstawić czajnik, tak mu się zaczęły trząść ręce. – Ależ kochany! Źle się czujesz?

Jan opadł na krzesło i starał się spokojnie oddychać, ale drżał na całym ciele, a łzy nie przestawały płynąć. Ulla też się rozpląkała. Zaledwie minutę wcześniej wszystko było jak zawsze, a teraz oboje bezceli.

– Coś z chłopcami? Z Ingrid?

Na dźwięk imienia żony Jan zaczął łkać, co mu się nie zdarzało, odkąd był małym chłopcem.

– Chodzi o Ingrid? Rozwodzicie się?

– Nie – zdołał w końcu wyszlochać.

A potem opowiedział całą historię. Przyniosło mu to ulgę, niczym wypróżnienie po dłuższym okresie obstrukcji. Mógł wreszcie mówić o Hanne i poczuł się tym odurzony, musiał się bardzo starać, by to ukryć.

Ulla słuchała go bez słowa. Odezwała się dopiero, gdy skończył.

– Musisz przestać się spotykać z tą kobietą.

– Ona ma na imię Hanne. Pracujemy razem. Nie mogę tak po prostu przestać.

Ulla potrząsnęła głową.

– Stracisz rodzinę. I dom. Będziesz musiał się stąd wyprowadzić. A ta, jak jej tam, Hanne na pewno będzie chciała mieć własne dzieci.

Potrząsnął głową, czując jednocześnie, jak na wargi wypełza mu uśmiech.

– Nikt tu nie mówi o dzieciach.

– Będziecie się gnieździć w ciasnym mieszkaniu z wrzeszczącym po nocach maluchem. Zacznie wam brakować pieniędzy, a ciebie zamęczą wyrzuty sumienia.

– Zdaje się, że bardzo przesadzasz. Nikt nie mówi przecież o zamieszkaniu razem ani o dzieciach. Sam wiem tylko tyle, że przechodzę właśnie najgorszy kryzys mojego życia.

– Kryzys? Zbyt wiele masz. I to jest twój problem. Nie możesz zatrzymać wszystkiego, musisz dokonać wyboru. To wcale nie jest skomplikowane. Nie mówię, że to łatwa sprawa, ale kryzysem na pewno bym tego nie nazwała.

Cała jej łagodność gdzieś się ulotniła, Ulla walnęła pięścią w stół, jej wykrzywiona twarz i chropowaty niski głos przypomniały Janowi o chwilach, w których jako dziecko bał się swojej matki. Wściekła Ulla była zawsze zupełnie spokojna, chłodna, Jan pamiętał, jak go to przerażało. Mówiła teraz do niego, on zaś myślał o czasach, gdy jego ojciec miał romans z jakąś pielęgniarką. Ulla nie podjęła w związku z tym żadnych kroków, siedziała tylko w piwnicy nad swoimi krosnami, pozwalając Jørgenowi się wyszaleć, tak jak pozwalała wyszaleć się Janowi na placu zabaw, i w końcu Jørgen wrócił do domu, pokiereszowany i wycieńczony jak stary kocur, ale tak czy inaczej wrócił, a potem wszyscy podziwiali Ullę za to, że zachowała zimną krew, ratując małżeństwo i rodzinę.

Ale wcale nie o to ci chodziło, myślał teraz Jan. Po prostu nie chciałaś stracić domu, ziemi i majątku. Dlatego tak się zachowałaś, bo wiesz, czego chcesz i jak to zdobyć, oraz, co nie bez znaczenia, jak tego nie stracić. Ponieważ jesteś bezwzględna i wyrachowaną istotą.

Jan nigdy wcześniej nie myślał tak o własnej matce, poza tym tęsknił za Hanne. Wszystko, co robił, sprawiało, że tęsknił za Hanne. Jak na przykład wtedy, gdy próbował objąć Ingrid, a ona się spinała, zajęta, krążąca po domu; kiedy tylko jej dotknął, to napięcie przeniosło się z niej na niego: ostre, bolesne, kłujące. Albo gdy próbował rozmawiać z chłopcami, a oni wstawali i wychodzili lub odpowiadali monosylabami, jakby naprawdę chcieli powiedzieć: „Skończyłeś już? Mogę już iść?”.

Ulla, Jørgen, Ingrid, Jonas, Martin – oni wszyscy go nie potrzebowali albo potrzebowali go wyłącznie do swoich celów. Lecz gdy się orientowali, że chce od nich uciec, wzbierała w nich panika. Tak było i z Ullą, która właśnie nad nim stała, zsyłając na niego gromy. Ale co ona mogła wiedzieć. Co mogli wiedzieć oni wszyscy.

4

Gdy pewnego dnia na początku maja Ingrid wróciła z pracy i zobaczyła, że Jan siedzi w kuchni i chyba chce jej coś powiedzieć, poczuła się, jakby doświadczyła tego już wcześniej, a teraz musiała przeżyć to drugi, trzeci albo nawet czwarty raz. Czuła zupełnie to samo co wtedy, gdy miała siedem lat, a babcia stanęła w drzwiach jej pokoju i powiedziała, że stało się coś bardzo smutnego, albo kiedy rodziła Jonasa i trzeba było natychmiast zrobić cesarkę i pielęgniarki w panicznym pośpiechu pchały ją na łóżku przez szpitalne korytarze: miała oto uczucie *powtórki* – świadomość, że coś takiego już kiedyś się zdarzyło, w jakichś odległych początkach, a potem było tylko raz za razem odtwarzane.

Ach, to *tu* zabrnęliśmy. *To* ma się teraz wydarzyć, pomyślała, a cały miniony rok uporządkował się nagle w jej głowie i wszystkie niewiele znaczące zdarzenia, które spychała na bok i chowała w ciemnym kącie własnej świadomości, wybiegły nagle na pierwszy plan.

– Poznałeś kogoś – powiedziała.

Jego twarz drgnęła, jakby próbował powstrzymać uśmiech. A może nawet rehot. Przełknął ślinę. I powiedział:

– Tak.

Do chwili, kiedy kilka godzin później wyszedł z wypchaną ubraniami i kosmetykami sportową torbą, Ingrid siedziała na swoim miejscu przy stole i wszystko obserwowała, zachowując się tak, jak jej zdaniem należało się zachować w takich sytuacjach. Pytała, co poszło nie tak. Czemu odchodzi od niej teraz, gdy dzieci są już dorosłe.

– Nie wiem – odparł Jan. – Nie zrobiłaś niczego źle. Poza tym nie planuję od ciebie odejść.

– Co masz na myśli, mówiąc, że nie wiesz? – spytała Ingrid.

– Nie sądzisz, że gdybym wiedział, co mam powiedzieć, to udzieliłbym ci odpowiedzi? Ale wiem tylko tyle, że już nie mam siły. Nie chcę już dłużej takiej walki.

– Walki? – powtórzyła Ingrid. – Przecież ze sobą nie walczymy. Nie klócimy się nawet.

– Nie o to mi chodziło.

– A co masz na myśli, mówiąc, że nie planujesz ode mnie odejść?

– Potrzebuję tylko chwili przerwy, by móc się zastanowić.

– Kim ona jest?

– Nie znasz jej. Koleżanka z pracy.

– Jak ma na imię?

– Hanne.

– Ile ma lat?

– Trzydzieści pięć.

– Jak długo to trwa?

– Zależy, jak liczyć. Półtora roku, z przerwami. Próbowałem to skończyć. Byłem nawet u psychologa. Ale teraz doszedłem do takiego punktu, że coś musi się stać, jedno z dwojga, a to jedno, przestać ją widywać, próbowałem zrobić już tyle razy, że musiałem się poddać. Teraz chcę wypróbować drugie rozwiązanie. Albo to, albo pozostanie mi się zabić.

Ingrid poczuła, jak coś się w niej obrywa i odpływa gdzieś w dal. Nie płakała, w odróżnieniu od Jana. Jego twarz była purpurowa i nienaturalnie wykrzywiona, łzy płynęły mu po policzkach, raz za razem wycierał nos.

– Poszedłeś do psychologa? Czemu wcześniej nic nie mówiłeś?

– Byłem taki zrozpaczony. Ale ma się przecież tylko to jedno życie. Muszę znaleźć jakiś wyjście z tej sytuacji, jestem to winien sam sobie.

Jan ukrył twarz w dłoniach.

– Wszystko, o co proszę, to trochę czasu. Żebym mógł ustalić, czym to coś właściwie jest. Nie wiem przecież, jak to jest żyć z Hanne na co dzień.

Ingrid szukała właściwych słów, ale zniknęły, zanim zdążyła je pochwycić. Wiedziała, że w tym przedstawieniu ona także ma swoją rolę. Poczuła, jak coś w niej drga, jak budzi się jakiś odruch, wspomnienie, była to tylko jedna z sytuacji, w których miała swoją funkcję i stały zestaw kwestii do wygłoszenia.

Jan krzyknął: „Powiedz coś, nie siedź w milczeniu!”. Ingrid spróbowała wymówić pełne zdanie, z podmiotem, orzeczeniem i dopełnieniem, ale słowa zniknęły bez śladu; jedyne, co kołatało się w jej czaszce, to gorączkowa myśl: gdzie jest to zdanie, które popchnie tę sytuację dalej, do następnej, a potem następnej sytuacji? Gdzie jest klamka? Bo ona nie może znaleźć wyjścia.

A potem on poszedł. Ingrid wstała z krzesła, bo nie miała pojęcia, co innego miałyby zrobić. Wiedziała tylko, że nie może siedzieć. Ale nie mogła także chodzić. Straciła równowagę i musiała się czegoś przytrzymać, wytoczyła się do przedpokoju i chwiejnym krokiem ruszyła do schodów, do poręczy, o której piętnaście lat wcześniej mówili, że przyda im się, gdy będą starsi. Poręczy przytwierdzonej do ściany domu, wciąż nazywanego przez nią w myślach *nowym domem*, zbudowanego tak, by przetrwał ich starość, a potem przeszedł w ręce kolejnego i jeszcze kolejnego pokolenia. Ingrid z trudem wspięła się po schodach i dotarła do łazienki. Przez chwilę gapiła się na kafelki z morskimi motywami, które sama wybrała wtedy, w latach dziewięćdziesiątych. Jaki był sens tych kafelków z muszlami i rozgwiazdami, co one miały oznaczać? Cóż chciała nimi przekazać? Cóż człowiek pragnie przekazać, dokonując takich wyborów, gdy stoi w sklepie z kafelkami, zastanawia się i porównuje? Co ludzie sobie wtedy wyobrażają?

Ingrid pochyliła się nad umywalką. Drżała na całym ciele, trzęsło się całe jej jestestwo, skóra, mięśnie, szkielet.

Oto i katastrofa, na którą czekała. Chłopcy, wszystkie te kilogramy materiału biologicznego, który został z niej wykrojony i wyciśnięty i który potem żywiła, spali w najlepsze w swoich pokojach. Po bólach wzrostowych, wypadnięciu mleczaków, poroście włosów i niezliczonych podziałach komórkowych leżeli teraz w jej domu, pocąc się, oddychając i zajmując miejsce, lecz

wkrótce i oni przyłożą rękę do produktu krajowego brutto. Wkrótce kogoś poznają, wezmą ślub i spłodzą dzieci, może i oni będą kiedyś stać w swoich sypialniach, wpychając ubrania, szczoteczki do zębów i dezodoranty do czerwonych nylonowych toreb z białym napisem SWIX, by potem porzucić swoje mieszkanie na rzecz innego mieszkania, w czasie gdy ich własny materiał biologiczny będzie spał w najlepsze, i tak dalej, i tak dalej w nieskończoność.

Poszła do sypialni i położyła się na zasłanym łóżku. Słała je codziennie. Był to jej sposób na rozpoczęcie dnia, na nadanie mu jakiegoś porządku. Coś w rodzaju teorii stłuczonej szyby: przymykając oko na małe przestępstwa, jednocześnie toruje się drogę tym większym, a pozwalając sobie na bałagan w domu, można równie dobrze przestać płacić rachunki, a potem się myć, dlatego właśnie należy pamiętać o ładowaniu elektrycznej szczoteczki do zębów po każdym użyciu, słaniu łóżek i wstawianiu brudnych naczyń do zmywarki.

Lecz pomimo tych wszystkich środków bezpieczeństwa pewnego dnia wszystko może po prostu runąć i już nic nie da się z tym zrobić. Wydaje ci się, że to wszystko przychodzi nagle, myślała Ingrid, patrząc na sufit, a konkretnie na drogą lampę kupioną w ekskluzywnym butikiu na Bygdøy allé. Ale to tylko dlatego, że nie dostrzegałaś stada robaków, które przez lata podgryzały fundamenty tego, kim jesteś.

Była przekonana, że zdołała się przygotować na wszystko. Na to, że chłopców dotknie depresja, narkomania, że staną się ofiarami bądź sprawcami gwałtu, nie poradzą sobie w szkole, że wykorzysta ich seksualnie ich trener, że ona sama albo Jan umrą na raka, ktoś ukradnie ich tożsamość, że spadnie samolot, chłopców ktoś przejedzie, pobije albo osiągnie ich śmierć łóżeczkowa lub zapalenie opon mózgowych. Ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że Jan może zechcieć dać nogę. I dlatego właśnie zdarzyło się dokładnie to. Bo atak zawsze przeprowadzany jest na miejsca, których zapomniano się ufortyfikować, a fortyfikacją były w tym wypadku wyobrażenia o wszystkim, co mogło się stać, katastroficzne myśli, którymi zamęczała się regularnie, by stało się zadość prawu uchwalonemu przez nią u zarania dziejów: *To, co jestem w stanie sobie wyobrazić, na pewno mnie nie spotka.*

Ingrid zawsze żywiła przekonanie, że jeśli komuś miało odbić, jeśli ktoś miał zrobić coś nieobliczalnego, to będzie to ona. To ona była zmienną, Jan zaś stanowił wartość stałą. Z ich dwojga to on promieniał spokojem i pewnością siebie, bez odrobiny neurotyzmu. To Jan pocieszał ją, gdy Jonas był noworodkiem, a Ingrid sądziła, że prędzej czy później pewnie wyrzuci go przez okno. Nie dlatego, że chciała, ale po prostu *mogła*, bo wystarczyło tylko otworzyć okno i położyć maleńkie zawiniątko na zewnętrznym parapecie, a cała reszta stanie się już sama z siebie.

– Nie zrobisz tego – mówił jej wtedy Jan.

– Ale to takie proste, śmierć jest tak blisko, czuję ją tu, w pokoju, katastrofa nad nami wisi, dzieli nas od niej tylko kilka drobnych, zupełnie niewinnych ruchów. A Jonas jest tylko tym małym zawiniątkiem, tą grudką ciała, poza którą nie istnieje.

– Nie zrobisz tego – powtórzył wtedy Jan. I poprosił Ullę, żeby przyszła do nich na St. Hanshaugen, gdzie wtedy mieszkali, i zajęła się Jonaszem, by Ingrid mogła się wyspać.

Na to też musi być jakaś procedura, myślała Ingrid, leżąc w pełni ubrana na łóżku. Mężczyzna zostawia kobietę po niemal dwudziestu pięciu latach pożycia, mężczyzna zostawia kobietę dla młodszej kobiety, przecież to nic nowego, trzeba po prostu znaleźć instrukcję postępowania przy *tym* wydarzeniu, bo także i tu istnieją wydeptane ścieżki, wyasfaltowana

droga, normy i zasady, podręczniki precyzujące, co robić i czego nie robić *w tej sytuacji*.

Następnego ranka zadzwoniła do Jana.

– To prawda, że odszedłeś ode mnie wczoraj wieczorem, czy tylko mi się to przyśniło?

– Prawdą jest to, że potrzebuję przerwy, by pewne rzeczy poukładać sobie w głowie, ale *nie odszedłem* od ciebie.

– Jak mogłeś podjąć taką decyzję i wcześniej ze mną o tym nie porozmawiać?

W połowie tego zdania zaczęła płakać. Nareszcie płakała. Ulżyło jej, a po głosie Jana poznała, że i on odczuł ulgę, bo w końcu reagowała normalnie i zgodnie z planem, tym planem, który obmyślił za jej plecami, kiedy to siedział i wyobrażał sobie jej reakcję, może nawet rozmawiał o tym z tą, jak jej tam, *Hanne*, omawiał z nią możliwe scenariusze. Ingrid czuła się, jakby leżała na chodniku z zamkniętymi oczami, a obcy ludzie grzebali w jej wnętrznościach. Długie śliskie palce kieszonkowców gmerały w jej wnętrzu, opróżniając je ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość.

– Ingrid, wiem, że to jest dla ciebie straszne, ale nie miałem wyboru. Zakochałem się. Zupełnie mnie to zaskoczyło. Jedyne, o co proszę, to trochę czasu.

Ingrid nie mogła odpowiedzieć, nagły atak bólu zgiął ją wpół. Próbowwała mówić, ale nie dobył się z niej żaden dźwięk.

– Gdzie jesteś, mam do ciebie przyjechać?

Stała z dłońmi na udach. Wstrząsnęły nią torsje. Telefon spadł na ziemię, dochodziły z niego przytłumione dźwięki. Co to za dźwięki? Mały ptaszek, jakiś owad. Chciała się schować za krzakiem.

– Nie – zdołała w końcu wyjęczeć.

Siedziała w pokoju nauczycielskim, patrząc na rękę trzymającą kubek z kawą, która już nie drżała. Ostrożnie odstawiła kubek na stół, myśląc, iż ludzie, którzy teraz na nią patrzą, są przekonani, że to dla niej dzień jak każdy inny.

Podszedł do niej Gunnar.

– Mogę tu usiąść?

– Nie – odrzekła Ingrid.

– Co?

– Nie, nie możesz, chcę siedzieć sama.

Gunnar wydał z siebie dźwięk przypominający czknięcie, po czym się oddalił. Siedzący przy sąsiednim stole Leif posłał jej uśmiech, a Ingrid pomyślała: teraz mogę iść do łóżka z Leifem. Dowiedzieć się, jak to jest pójść do łóżka z Leifem. Przypomniała sobie o wyrośniętym chłopaku, tym, który wysłał jej wtedy esemesa, mogła go odszukać i z nim też iść do łóżka, od wielu lat jest już dorosły i pewnie ma żonę i dzieci, może nawet zdążył się nimi znudzić i jest gotów na przygodę z dawną nauczycielką, na którą kiedyś miał taką chrapkę.

Mogła się dosiąść do innego stolika i powiedzieć: mój mąż mnie zostawił. Tak mówiły niezliczone osoby w tysiącach przeczytanych przez nią książek, nie wspominając już o obejrzanych filmach i serialach. Teraz mogła powiedzieć to sama i stać się bohaterką dnia.

Wreszcie coś się zdarzyło.

Ale nie, musiała przecież zachować rytm, codzienność, normalność. Trzymać się mocno w tych publicznych lokalach, gdzie było jej miejsce, i trzymać się mocno w domu. Dopilnować, by wszystko nadal działało, pralka, zamrażarka, niedługo trzeba będzie pociągnąć bejcą deski na tarasie, musiała wpasować to w swoje plany, doprowadzić do porządku ogród i wywieźć śmieci. Umówili się na weekend z rodzicami Jana na wspólne prace w ogrodzie. A potem mieli zjeść u nich sushi. Taki był plan. Mieli zamówić sushi z małej knajpki w Holtet, Ingrid zebrała tam wszystkie naklejki na karcie stałego klienta i mogli dzięki temu dostać w tę sobotę cały zestaw rodzinny zupełnie za darmo.

Wysłała Janowi esemesa: *Co ze sprzątnięciem ogrodu w ten weekend? Przyjedziesz?*

Odpowiedź nadeszła po dziesięciu sekundach: *Tak, jeśli Ci to nie przeszkadza. Ale obiad chyba sobie odpuszczę.*

OK, odpisała. Patrzyła na swoje palce wystukujące wiadomość na klawiaturze, jedna litera, potem jeszcze jedna i ogarnęło ją poczucie nieważkości, jakby wszystko oderwało się od swojej podstawy i zaczęło krążyć dokoła. Nadal gapiła się na swoje palce, chcąc się chwycić czegoś stałego. Palce były jej częścią, wyrastały z niej, były zadbane i ozdobione biżuterią: ślubną obrączką i paroma pierścionkami, których nigdy nie zdejmowała. Czemu właściwie je nosiła i czegoż to nie robiła, by dbać o te dłonie, wmasowywała w nie krem do rąk, obcinała i piłowała paznokcie, malowała je bezbarwnym lakierem; wszystko to było częścią procedury, podobnie jak ślanie łożka i wpinanie w uszy każdego dnia małych złotych kolczyków. Ta maszynieria, która ją stanowiła, ta postać, która żyła, chodziła i wykonywała wszystkie codzienne czynności przez te wszystkie lata – kto to właściwie był? Miała wrażenie, że znajduje się tylko na górze, w swojej głowie, i stamtąd patrzyła na resztę ciała, które tu siedziało, które zajęło tutaj miejsce z tego czy innego powodu, tylko właściwie dlaczego? Co zdarzyło się do tego momentu? Czuli się, jakby jej część przeleżała gdzieś we śnie całe lata, może całe życie, i dopiero teraz obudziła się, rozejrzała dokoła i zadawała pytania: Kim jestem? Gdzie jestem? Jak tu wylądowałam? Co teraz będzie?

Weszła do toalety dla niepełnosprawnych i zadzwoniła do Jana.

– Chcesz mi powiedzieć, że mam zostać w domu? Zajmować się chłopcami, domem, ogrodem i twoimi rodzicami, czekając na ciebie? O to teraz chodzi?

Ingrid starała się mówić powoli i spokojnie, cichym głosem, by go nie wystraszyć, nie tylko po to, żeby jej powiedział, co naprawdę myśli i sądzi, lecz również dlatego, że miała przeczucie, iż sama powinna oszczędzać siły.

– Ingrid, nie mam pojęcia. Musimy o tym wszystkim porozmawiać.

– A kiedy miałbyś czas na taką rozmowę?

– Wiem, jak bardzo jesteś związana z domem, więc myślałem...

Ingrid przerwała mu głosem, który ze słowa na słowo stawał się coraz wyższy:

– Tak, ty miałeś dużo czasu na rozmyślanie. Ale dla mnie cała ta sytuacja jest dość nowa, że tak to łagodnie ujmę. Tę małą wiadomość, która całe moje życie postawi na głowie, raczyłeś mi przekazać dopiero przed kilkoma godzinami, podczas gdy sam wiedziałeś o wszystkim od półtora roku. *Innymi słowy, masz nade mną półtora roku przewagi.* I co też wymyśliłeś? Chociaż powinnam raczej zapytać, co wy wymyśliлиście. Nie trzymaj mnie w niepewności! Opowiadaj!

– Ingrid, kochana Ingrid, to nie jest tak, że planowałem to od półtora roku. I, przede wszystkim, nie jest powiedziane, że to postawi twoje życie na głowie. Sytuacja się rozwijała i w pewnym momencie straciłem nad nią kontrolę. Jestem tak samo zszokowany jak ty i gdyby przed rokiem ktoś mi powiedział, że...

– Cicho. Przestań gadać. Niedobrze mi się od tego robi. I to nie jest przenośnia. Zwymiotowałam w czasie naszej ostatniej rozmowy. Stałam w naszym domu i wymiotowałam, to było dzisiaj rano. Zanim poszłam do pracy. Pomyśleć, że poszłam do pracy. Mój mąż mnie zostawia, a ja idę do pracy. To przecież zboczzone.

– Ingrid, nie zostawiłem cię. Proszę tylko o trochę czasu do namysłu. Jesteśmy razem od tak dawna. Wszyscy, którzy przeżyli ze sobą tyle lat...

Ingrid rozłączyła się i znów zwymiotowała. Ale ponieważ nic w ciągu dnia nie jadła, zdołała wrzygać tylko trochę kawy, a potem stała, wstrząsana torsjami, przekonana, że zaraz się udławi.

Po dwóch dniach nieobecności Jana Ingrid odkryła, że gdy jest w ruchu, niepokój ustaje. Natrętne myśli, wzbierające często w kakofonii oskarżeń przeciwko Janowi, niej samej oraz reszcie świata uspokajały się, kiedy tylko wychodziła z domu i zaczynała iść przed siebie. Była w stanie myśleć w miarę jasno wyłącznie w drodze z jednego punktu do drugiego, czuła wtedy nieśmiałą nadzieję, że jeśli wyjdzie z domu albo do niego wróci, że jeśli wstanie i jeśli się położy, to może nastąpi kolejna zima, wiosna, lato, jesień, kolejny wieczór, poranek, noc, dzień, pora ciepła i pora zimna, słońce i deszcz.

Ingrid zaczęła chodzić pieszo do pracy i wracać do domu w ten sam sposób, zajmowało jej to godzinę w jedną stronę. Szła wzdłuż Kongsveien, spoglądając na miasto i myśląc o wszystkich, których zawiodła: rodzicach, dziadkach, synach, Janie i o tym, jak wszystko prześlizgnęło się jej przez palce i gdzieś uciekło. Myślała o swoim dziadku, który umarł na atak astmy pewnego ranka krótko po jej wyprowadzce i o kolejnych latach, gdy babcia mieszkała sama, a Ingrid odwiedzała ją trzy, cztery razy w tygodniu. Babcia dostała w końcu miejsce w domu opieki w Hovseter i z każdym dniem stawała się coraz bardziej nieobecna. Pod koniec już tylko siedziała w fotelu, gapiąc się przed siebie. Lecz mimo to Ingrid nadal ją odwiedzała, załatwiła jej specjalny materac, prosiła lekarzy o zmianę dawki leków, gdy wydawała się bardziej otepiała niż zazwyczaj, prowadziła rozmowy, w których babcia właściwie nie uczestniczyła, pytała pielęgniarki, co ich podopieczna jadła i czy się wypróżniała. Wozila babcie na wózku po dzielnicy, w której sama dorastała, w okolicach bloku dla seniorów, gdzie zamieszkali dziadkowie po wyprowadzce z domu w Røa. Cieszyli się na myśl o perspektywie spokojnej, prostej starości, lecz zamiast tego musieli wychowywać wnuczkę. I teraz ta wnuczka wozila swoją babcie. Próbując odpracować zaciągnięty dług, wnuczka pociła się, wpychając na kolejne wzgórza wózek z drzemiącą staruszką.

Babcia zmarła mniej więcej wtedy, gdy jej synowie przestali mówić, i Ingrid zachodziła w głowę, gdzie się podziały te wszystkie godziny, dni i tygodnie w Hovseter, cały ten czas, gdy karmiła babcie ryżem na mleku, pchała ją na wózku między blokami i pokazywała jej pierwsze kwiatki podbiału. Gdzie się teraz podziała cała ta praca i całe to zaangażowanie? Może w urnie z prochami babci, pochowanej w ziemi na cmentarzu Vestre gravlund, gdzie Ingrid stawiała się w każdą Wigilię, by zapalić świeczkę. Na tym samym cmentarzu leżała jej matka, a zaledwie kilka metrów dalej – ojciec. Ingrid chodziła wokół grobów w grudniowych ciemnościach

i zapalała świece, podobnie jak w urodziny rodziców i dzień Wszystkich Świętych, a te czynności spokrewnione były ze słaniem łóżka i wymianą żarówek: trzeba je było wykonywać, bo miało się poczucie, że jeśli się je zaniedba, to władzę przejmie chaos i zatryumfuje zło. Tak jak zatryumfowało w życiu rodziców, a może był to diabeł, Ingrid lubiła myśleć o tym w ten sposób, manewrując między nagrobkami, z których odczytywała znamienite nazwiska i tytuły, i myśląc o swoich rodzicach, którzy mieli takie same jak ci wszyscy ludzie możliwości, a mimo to poszli na dno, *zmarowali się*. Ona zaś chodziła dokoła tego wszystkiego ze swoimi świeczkami, próbując to jakoś połączyć, co było zresztą niemożliwe, ale mimo to nie przestawała, bo jedyne ukojenie leżało w tych ciągłych próbach.

Lecz nic nie pomogło, wszystko wyslizgnęło jej się z rąk i z tym, co działo się teraz, też nie była w stanie nic zrobić.

Jonas zmierzył ją wzrokiem.

– Co się stanie z domem? Będziemy się musieli wyprowadzić?

Ingrid próbowała skontaktować się także z Martinem, ale młodszy syn nie odbierał od niej telefonów, więc siedziała teraz w kuchni z Jonaszem, którego właśnie poinformowała, że Jan wyprowadził się do koleżanki z pracy, swojej nowej partnerki.

– Nie wiem. Nie wybiegam na razie myślami tak daleko w przyszłość. Na razie zostanę tutaj, ale nie mam pojęcia, czy uda mi się utrzymać dom z jednej pensji.

Po policzkach Jonasa potoczyły się łzy, Ingrid położyła rękę na jego ramieniu.

– Obaj jesteście dorośli. Niedługo i tak będziecie się wyprowadzili. Poza tym niewykluczone, że on wróci, że to tylko jakiś kryzys, z którym musi sobie poradzić.

Jonas strząsnął z siebie jej dłoń.

– Zrywam kontakty z tatą. Nie chcę już nigdy więcej z nim rozmawiać.

Nigdy, w żadnej z alternatywnych wersji przyszłości, Jonas nie woziłby Ingrid w wózku i nie pokazywałby jej pierwszych kwiatków podbiału. Ale czy nie tego właśnie chciałaś? – powiedziała Ingrid do siebie. Zresztą czy ona sama – w swojej wiecznej pogoni za zbawieniem czy jak by tam nazwać niesprecyzowany cel wszystkich jej działań – była tak dużo lepsza od nich, gdy zaciskając zęby, rok po roku próbowała spłacić długi za innych, którzy zawiedli? Czy nie było to przypadkiem od początku do końca wielkie nieporozumienie? Przekonanie, że trzeba coś naprawiać, wierzyć w sprawiedliwość, było jak próby osłonięcia się przed huraganem małą dziecięcą parasolką lub jak krycie się pod stołem, gdy wybucha bomba atomowa. A mimo to ciągnęła to dalej, dzień po dniu, jak narkomanka albo alkoholiczka, jak jej ojciec, tyle tylko, że w tym swoim nadużywaniu samej siebie była szczerą i uczciwą.

Nie chciała, żeby synowie wozili ją jakimś wózkiem. Życzyła sobie, by gdy nadejdzie czas, zajął się nią profesjonalny personel, ludzie w bieli, z którymi nic jej nie łączyło, ludzie kształceni w sprawowaniu opieki, opieki fachowej i uprzejmej, ale powściągliwej, tak jak pielęgniarze u babci. Ingrid pamiętała, jak klękali obok wózka, przemawiając do niej spokojnie i wyraźnie, jakby chcieli dla niej jak najlepiej, bo faktycznie tak było, i tego właśnie życzyła sobie dla siebie, gdy nadejdzie ten czas: chciała mieć własny pokój w takiej placówce, gdzie są przyciski alarmowe i ktoś zawsze pełni dyżur, gdzie zmieniają pościel, a w piątek jest na obiad ryba, w sobotę kasza na mleku, w niedzielę zaś pieczeń, i gdzie w świetlicy zawsze gra telewizor,

niczym ciepły kominek.

W następnych dniach pojawiły się wizje. Wizje stanowiące coś w rodzaju żywych obrazów. Najpierw na Karl Johan ścinano jakiegoś mężczyznę, zaraz przy restauracyjnym ogródku. Potem Ingrid poszła do sklepu i zobaczyła w ladzie chłodniczej półwiartowaną kobietę, upchniętą pomiędzy kawałkami porcjowanego mięsa. Widziała dziecko leżące pod kołami tramwaju. Siedziała w pokoju nauczycielskim i patrzyła, jak za oknem przelatuje mężczyzna, głową w dół. Za każdym razem mówiła sobie: to się nie dzieje. To nie jest naprawdę.

Pewnego dnia Leif zapytał, czy po pracy nie poszłaby z nim na piwo. Od odejścia Jana minął niemal miesiąc, zostało już tylko kilka tygodni do końca semestru. Ingrid chadzała do pracy pieszo, nie odzywała się do Gunnara i nie odbierała telefonu, nie rozmawiała z Janem oraz starała się ograniczać kontakty z Ullą i Jørgenem, nie gotowała obiadów ani nie usiłowała już szukać kontaktu z chłopcami lub zmuszać ich do mówienia. Ale oprócz tego wszystko było jak wcześniej i dlatego mogła pójść z Leifem do pubu na Majorstua, który zupełnym przypadkiem był tym samym pubem, gdzie pół wieku wcześniej przesiadywał jej ojciec; lokal nadal działał, do tego jeszcze pod tą samą nazwą. Opowiedziała o tym po drodze Leifowi, który słuchał z uwagą – z taką uwagą, z jaką słucha się kobiety, której się jeszcze nie spenetrowało, pomyślała Ingrid – a potem opowiedziała mu w skrócie również całą resztę historii swojego życia. Dramatyzowała tyle, ile należało, pieczołowicie dobierając słowa: moja matka popełniła samobójstwo, mój ojciec zapił się na śmierć, a pewnego dnia mój mąż wrócił do domu i powiedział, że... Leif słuchał w skupieniu, a gdy dotarli na miejsce, kupił im po piwie, ona zaś mówiła dalej. Potem kupił jeszcze jedno piwo i zaraz jeszcze jedno. Ingrid stwierdziła, że już nie chce piwa, ale stała przed nią pełna szklanka, więc wypła mimo to. Dała się przekonać. Zrozumiała, że Leif ma problem z alkoholem. Nigdy wcześniej nie zwróciła na to uwagi, lecz teraz patrzyła z bliska na jego rozszerzone pory wokół nosa i czerwoną twarz. Ale najwięcej dał jej do myślenia fakt, że tak niewiele było mu trzeba, by się upić, zaczął bełkotać już w połowie pierwszego piwa, jakby miał we krwi permanentne promile, którym wystarczyło dyskretnie przypomnieć, że tam są. Czy przypadkiem nie czeka na Ciebie nowa żona i małe dziecko, miała ochotę zapytać, ale nie chciała wracać do domu, jeszcze nie teraz. Pragnęła tu chwilę posiedzieć. Podobało jej się, że jest podchmielona w biały dzień w środku tygodnia. Poza tym mogła robić, na co tylko miała ochotę. Leif się przesiadł i zajął miejsce obok niej, po krótkiej chwili otoczył ją ramieniem, a ponieważ nie mieli innego miejsca, w które mogliby pójść, zostali w pubowej łoży i siedzieli tam, ocierając się o siebie. Jak dwa insekty, pomyślała Ingrid. Wiedziała, że Leifa pociąga jej tragedia, tak ta obecna, jak i tamta sprzed lat, i pomyślała: on ma w domu młodszą o dwadzieścia lat żonę, ale ona jest już stara, a ja jestem nowa, bo jeszcze nieobsłużona. Leif to mężczyzna, który obsługuje kobiety, czekając na każde ich skinienie.

– Między nami jest taka chemia, że aż... widzę, jak na mnie patrzysz w pokoju nauczycielskim, i nie wiem, co mam ze sobą zrobić.

Jego czerwona twarz, ciężki oddech, wyczuwalny wysiłek. Jakże oni wszyscy się zestarzel. Jakże ona sama się zestarzała. Ale tylko się uśmiechnęła.

– Wiem.

Leif zaliczył mniej więcej połowę kadry nauczycielskiej. *Widzę, jak na mnie patrzysz i nie wiem, co mam ze sobą zrobić* – Ingrid wiedziała skądinąd, że to samo powiedział co najmniej

dwóm jej koleżankom, była to stała kwestia w jego repertuarze, podobnie jak: *To my dwoje powinniśmy być razem*. Bo Leifowi nie wystarczyło proste bzyknięcie, musiał mieć wokół tego otoczkę, napięcie, potrzebował romantyzmu, nieważne, jak bardzo wysłużonego i jak głośno śmiali się ludzie za jego plecami.

To uczucie, gdy wyszli na ulicę zalaną ostrym światłem... Uczucie, że została oszukana, że dała się zwieść, jak pierwsza naiwna.

Ale dzień później i jeszcze kolejnego dnia Ingrid wróciła z nim do tego pubu na Majorstua, zaczynała się pocić, gdy tylko był w pobliżu, i to ten właśnie fakt uświadomił jej, że nie może brać na poważnie tego, co dzieje się w jej mózgu i reszcie organizmu, nie może ufać samej sobie, a już na pewno nie swojemu tak zwanemu instynktowi. To jakaś próba, szeptała sobie nocami, gdy nie dawało jej spać to, co nazywała w myślach *perwersyjną tęsknotą za Leifem*. To właśnie była jej wielka próba. Przy którymś kolejnym spotkaniu pojęła, że jest podzielona na dwoje i że jedna z tych jej dwu części ślini się na myśl o Leifie, alkoholowym zamroczeniu w ciemnych pubach, a druga bierze tę pierwszą, zaślinioną część pod rękę i każe jej podziękować za piąte piwo oraz powiedzieć: „Muszę chyba zbierać się do domu”; a potem wstać i wyjść na chodnik, na chodniku zaś oświadczyć: „Słuchaj, musimy z tym skończyć”.

I tak oto stała tam, uwięziona w swoim dyszącym worze mięsa i kości.

– Jesteś tego pewna? – spytał Leif, gładząc ją po ramieniu.

– Tak, jestem – odrzekła Ingrid, odchodząc w swoją stronę. Szła przed siebie, ciężka i wzdęta od piwa, a w uszach dźwięczał jej wysoki ton: zapowiedź nadchodzącego bólu głowy.

Ruszyła w drogę do domu, pokonywanie jej pieszo było sposobem na odwleczenie momentu przybycia na miejsce, a także na podtrzymanie poczucia, że dokądś się idzie. W ostatnim czasie nie była w stanie wsiąść do autobusu ani tramwaju, znaleźć się tak blisko obcych ludzi. Zeszła w dół Bogstadveien, przecięła park Zamkowy i zatrzymała się dopiero przy jednej z kawiarni na Starym Mieście. W ogródku siedziało hałaśliwe podpite towarzystwo. Ingrid weszła, kupiła kawę, wyszła i zajęła miejsce przy sąsiednim stole. Chciała wytrzeźwieć. Całe to piwo, które w siebie wlała, musowało w niej i fermentowało, ona zaś słuchała wrzasków siedzących obok pijaczków. To także sposób, by pójść w ślady poprzednich pokoleń: dorobić się opuchniętej, nalanej twarzy, która będzie się trząść i drzeć w takt jej śmiechów i bełkotów. To też jest jakiś pomysł na życie. Nie musi czekać, aż się zestarzeje. Mogłaby upijać się każdego dnia i w krótkim czasie stać się jedną z tych, za których inni muszą brać odpowiedzialność. Mogłaby się roztyć, zapaść na wszystkie powiązane z alkoholizmem choroby ze wszystkimi możliwymi powikłaniami, dostać swój własny elektryczny wózek inwalidzki. Pić i upadać coraz niżej, dbając przy tym o efektywność państwowego systemu wsparcia, o to, by personel Urzędu Pracy i Polityki Socjalnej miał co robić, by co robić miał barman w pubie, z którego niedawno wyszła, a także fizjoterapeuci, urzędnicy i bank, który będzie jej wypłacał zasiłek. Czy to w sumie tak bardzo różniło się od bycia nauczycielką, uczestniczenia w czynach społecznych, zasiadania w zarządzie szkolnej orkiestry, dbania o dłonie, należenia do klubu książki? I jedno, i drugie stanowiło przecież część tej samej gospodarki, w której każdy miał przypisane sobie zadanie i swoje miejsce.

A to życie, które czaiło się na nią w domu, czyż było o wiele lepsze od tego czekającego ją tutaj? Czy codzienność tych ludzi obok nie niosła więcej radości, więcej pociechy? Każdy dzień dawał im ulgę, obietnicę wyzwolenia w okolicach trzynastej, czternastej, gdy człowiek

wygrzebał się już ze swojego barłogu i rozpoczął pijacki monolog, każdy na swój własny temat, każdy przeplatany bełkotliwym refrenem. Kiedy mrużyła oczy, miała wrażenie, że patrzy na stoły w pokoju nauczycielskim. Czyżbyśmy byli tylko zwierzętami, które zbierają się przy ogniskach, by nie musieć spoglądać w ciemność, myślała Ingrid, popijając letnią kawę. I czy ma w ogóle jakieś znaczenie, jakie grupy wybieramy, skoro chodzi tylko o miejsce przy wspólnym stole czy wspólnym ognisku?

Na ulicy przystanąło dwóch muzykantów, jeden ze skrzypcami, drugi z akordeonem. Zagrali jakąś melodię, a gdy skończyli, Ingrid miała ochotę im zaklaskać, ale ponieważ brawa nie bił nikt inny – pijaczki nie reagowały, zajęte swoją paplaniną – zrezygnowała z tego pomysłu. Mimo to czuła, że postąpiła niewłaściwie. Kolejny utwór nagrodziła aplauzem, a odgłos jej klaszczących dłoni zadźwięczał samotnie w powietrzu. Muzykanci uśmiechnęli się i skłonili w jej stronę, po czym wrócili do gry, przesądzając w ten sposób wszystko. Jeśli teraz Ingrid nie będzie bić brawa po każdej kolejnej melodii, odbiorą to jako demonstrację: *już nie jest tak dobrze jak wcześniej*. Była zatem zmuszona nie przestawać klaskać. Będzie do tego musiała wrzucić jakieś pieniądze do kapelusza, który przed sobą postawili, a z którym zapewne za moment zaczną chodzić między ludźmi, ale Ingrid nie miała drobnych, wszystkie drobne wydała na kawę. Pijąc jej ostatnie łyki, zadała sobie pytanie, czemu czuła się zobowiązana bić brawo, skoro nie robił tego nikt inny. I czemu, gdyby jednak nie klaskała, zastanawiałaby się, czy powinna klaskać. A wreszcie: skąd to się brało, ta potrzeba zaganiania siebie samej w kozi róg, gdzie nie istniało żadne dobre wyjście, i cokolwiek by zrobiła, wszystko było błędem.

Ingrid wstała i ruszyła dalej, do domu, i chyba zawisło nad nią jakieś przekleństwo, bo gdy mijiała żebraczkę, pomarszczoną i naznaczoną życiem drobną kobietę, która siedziała pod ścianą jednego z budynków, mamrocząc *dzień dobry pani, dzień dobry pani*, wzrok jej padł na monetę, na leżącą na brudnym chodniku jednokoronówkę. Przystanęła i zamarła, bo mogła albo podnieść pieniądze, zetrzeć z niego brud i dać go żebraczce, albo też pójść dalej, nie podejmując żadnych dodatkowych działań, czy wreszcie podnieść pieniądze, zetrzeć z niego brud i wsunąć go do własnej kieszeni, na oczach żebraczki; wszystkie możliwości były tak samo niewłaściwe, dlatego też po prostu zamarła nad tą drobną kobietą powtarzającą swoje przymilne *dzień dobry pani*. To moneta stanowiła problem, leżąc tam i migocząc, mieniąc się wszystkimi tymi możliwościami, z których jedna była gorsza od drugiej. *Dzień dobry pani*, powtórzyła znów żebraczka, a Ingrid udała, że bierze pieniądze za kawałek metalu, może element puszki po napoju, i poszła dalej. Z każdym krokiem czuła się spokojniejsza, jakby maszerowała ku czemuś dobremu, co czeka na nią u celu. Była w drodze, na krzywej wznoszącej, wspięła się na wzgórze Ekeberg i już niedługo dotrze do domu, a wtedy wszystko się ułoży.

I w tej właśnie chwili odezwał się telefon. Jan, poinformował napis na wyświetlaczu. Dzwonił do niej każdego dnia, ona zaś przeważnie odrzucała połączenie. Ale tym razem odebrała, sama nie wiedząc dlaczego.

- Ingrid, jak miło, że chcesz ze mną rozmawiać. Jak się miewasz?
- Raz lepiej, raz gorzej.
- Martwię się o ciebie.
- Skoro tak się martwisz, to czemu odszedłeś?
- Ingrid, już o tym rozmawialiśmy. Nie przestałem się o ciebie troszczyć. Po prostu musiałem to zrobić. Byłem to sobie winien.

- Co za pierdoły. Tak dziwnie mówisz. Co się z tobą stało?
- Ingrid, proszę.
- Nie mam zamiaru się zabijać.
- Wcale cię o to nie podejrzewałem.
- To czemu dzwonisz?
- Dzwonię, bo się o ciebie troszczę.
- Chcę, żebyś przestał dzwonić. Nie chcę, żebyś dzwonił.
- Ale musimy o tym porozmawiać. Nie opuściłem cię. Nie wolno ci tak sądzić.
- Ja już nie rozumiem, co ty do mnie gadasz. Jakbyś mówił po chińsku. Kim jesteś i co zrobiłeś z Janem? Gdzie jest Jan?
- Ingrid. Chciałbym, żebyście się poznały z Hanne, myślę, że wtedy wszystko będzie łatwiejsze. Ona ma ogromną ochotę cię poznać.
- Ale dlaczego?
- Chce się dowiedzieć, kim jesteś, z kim przeżyłem większą część swojego życia. Dlatego.
- Słucham cię i zaczynam się bać. Nie mam pojęcia, kim ty jesteś. Byłeś taki cały czas, a ja tego wcześniej nie zauważyłam? Masz tu zamiar ustanowić jakieś wielożenstwo, nadal mieszkać z Hanne, będąc moim mężem?

Wypowiadanie imienia Hanne nie wiązało się już, jak na początku, z uczuciem zjadania odchodów.

- Czemu tak ciężko oddychasz?
- Bo jestem w drodze do domu.
- Z przystanku?
- Nie, z pracy. Zaczęłam chodzić na piechotę.
- Dlaczego?
- Bo nie jestem w stanie siedzieć w tramwaju blisko innych ludzi.
- A myślałaś, że może powinnaś z kimś porozmawiać?

Ingrid żałowała, że nie ma staromodnego telefonu, który dawał możliwość faktycznego rzucenia słuchawką. Naciśnięcie białego klawisza zestawu słuchawkowego przyniosło zaledwie nikłą część tej satysfakcji.

Jan nie był już Janem, tylko jakąś obcą istotą, która wypełzła spod skóry dawnego Jana. Jak w horrorach, gdzie ludzie nagle okazywali się robotami. A z tego robota płynęły słowa i zdania, których Ingrid nie poznawała, słowa, które chętnie powtórzyłaby Janowi – dawnemu Janowi – i mogliby się z nich razem pośmiać: słyszałeś kiedyś coś podobnego?, co za brednie. Tylko że to właśnie on siedział po drugiej stronie słuchawki i te brednie produkował, oczekując adekwatnych do nich odpowiedzi. I dopiero w tej chwili Ingrid pojęła, że on już odszedł.

Były wakacje, chłopcy wyjechali do domków letniskowych i za granicę, a Ingrid została sama w domu. Snuła się z pokoju do pokoju, wchodziła do kuchni, otwierała lodówkę, wchodziła do sypialni, próbowała czytać, rezygnowała, wyglądała przez okna. Od czasu do czasu pukała do

niej Ulla, ale ona nie otwierała drzwi. Znajdowała dziecięcą radość w udawaniu, że nie ma jej w domu. Nie, myślała, nie. Nie ma mnie.

Pewnego popołudnia Ulla otworzyła drzwi zapasowym kluczem i weszła do domu. Ingrid wślizgnęła się do sypialni i wpełzła pod łóżko. Ulla obeszła cały dom, na koniec wkroczyła także do sypialni, a Ingrid leżała pod łóżkiem, patrząc na jej buty. Kim była ta osoba i czemu stała w jej sypialni? Ingrid wstrzymała oddech. Jeśli Ulla zajrzy teraz pod łóżko, to co jej powie, co tu było do powiedzenia? Choć z drugiej strony – Ulla nigdy by się nie schyliła i nie zajrzała pod łóżko. Pochylenie się i zajrzenie pod łóżko byłoby dla Ulli taką samą porażką jak dla Ingrid zostanie odkrytą. Poza tym mogła udawać, że śpi. *Taka się poczułam zmęczona i po prostu tu przysnęłam.* Miała teraz w zasięgu ręki różne dziwne formy zachowania, nie musiała się z niczego tłumaczyć. Została porzucona. A porzucił ją syn Ulli, za którego Ulla była współodpowiedzialna.

Teściowa podeszła do szafy z ubraniami i otworzyła ją.

– Ingrid – powiedziała. – Gdzie ty się podziewasz?

A potem wysunęła szufladki nocnego stolika. Najpierw jedną, potem drugą.

Widzieć i słyszeć, jak Ulla myszkuje w jej mieszkaniu, było ulgą, Ulla pokazała bowiem twarz, której Ingrid wcześniej nie знаła. Objawiła jej się ciekawska, wścibska wersja Ulli, ciekawe, jaka jeszcze potrafiła być? – w mgnieniu oka rozlało się morze możliwości.

Ulla w końcu wyszła, ale Ingrid nie ruszyła się z miejsca. Coś w leżeniu pod łóżkiem działało na nią uspokajająco – świadomość, że jest z dala od wszystkiego, chowa się, nie wpisuje się w żaden kontekst – i w końcu zasnęła. Obudziła się dopiero późną nocą. Sztynna i obolała, wyczołgała się z kryjówki, położyła się w łóżku, a tam, na miękkim materacu, nie mogła już zmrużyć oka.

Ingrid nie miała planów na wakacje i nic nie robiła. Leżała w łóżku albo na sofie i drzemała, śniąc o tym, że stawia czoła jakimś przedsięwzięciom, umawia się z przyjaciółmi, dba o dom, kupuje jedzenie, planuje wyjazdy wakacyjne, trzyma się jak dawniej, a gdy się budziła, było zupełnie tak, jakby faktycznie rozmawiała z ludźmi, sprzątnęła dom albo była w sklepie; miała zakwasy od chodzenia i dźwigania toreb po schodach, a jej mięśnie twarzy były sztywne i obolałe po wyśnionych rozmowach.

Pożywiała się suchymi produktami z kuchennych szafek i rozmrażała artykuły z samego dna zamrażarki. Piła kawę późnym popołudniem i nocami nie mogła spać. Leżała w łóżku, słuchając bicia swojego serca i znajdując pocieszenie w myśli, że gdzieś zawsze ktoś nie śpi, nawet jeśli miało się to dotyczyć mikroorganizmów w jej własnym ciele. Pod powiekami, które próbowała zamknąć, ale które wciąż unosiły się same z siebie, wciąż wzbierały światło i dźwięki, dyskusje, hałas.

Którejś nocy, gdy leżała w łóżku, wpatrując się w ciemność, przyszła jej do głowy pewna myśl. *Skoro Jan robi to, na co ma ochotę, ja też mogę robić to, na co mam ochotę.*

Cały kłopot w tym, że nie miała ochoty na nic; wszystko, na co ewentualnie miałyby ochotę, poprzedzone było partykułą *nie*. Nie rozmawiać, nie pracować, nie czytać. W samym słowie *ochota* zapisane było coś irytującego, co za odpychające słowo, słowo dziecinne, podobnie zresztą jak *zasługiwać*. *Bo na to zasługujesz.* Nie, nic z tych rzeczy, powiedziała Ingrid głośno.

Nie zasługujesz absolutnie na nic. Nikt absolutnie na nic nie zasługuje, a ty powinnaś się cieszyć, że w ogóle się urodziłaś. Leżysz tu, pięćdziesięciodziesięcioletnia, masz dwa razy tyle lat co twoi rodzice w chwili śmierci, każdy kolejny dzień to premia.

Pewnego przedpołudnia siedziała w salonie, oglądając telewizję. Zrobiło na niej wrażenie zasłyszane przypadkiem zdanie: *To moje ostatnie dni, a ja tutaj siedzę*. Potrzęsnęła głową, ale zdanie nie chciało dać jej spokoju. Zaczęła skakać po kanałach, ale po krótkiej chwili nabrała przekonania, że nie zostało jej wiele czasu, że ta apatia stanowi formę zapowiedzi, sposób, w jaki jej ciało próbuje przygotować się na to, co nieuchronne.

Pewnego wieczora zadzwonił telefon. Po wyprowadzce Jana Ingrid zapisywała sobie numery telefonów, jeden po drugim, jako *Nie odbieraj 01*, *Nie odbieraj 02* i tak dalej, zaczęła to robić po którejś z kolei rozmowie, bo wydzwaniali do niej znajomi i krewni, i wszyscy mówili to samo, że to nie do wiary, że Ingrid i Jan to ostatnie małżeństwo, o którym by można pomyśleć, że... i tym podobne. Potem mówili jeszcze, że trzeba myśleć o dzieciach. Wypowiadając te słowa, ludzie przybierają uroczysty ton, trochę drży im głos, jakby byli wzruszeni samymi sobą. I to właśnie sprawiło, że Ingrid zaczęła zapisywać sobie ich numery jako *Nie odbieraj*. O jakich dzieciach, spytała za pierwszym razem, bo nie zrozumiała, o co chodzi. Potem dodała: to już nie są dzieci. Mogą się dziećmi wydawać, bo nadal mieszkają w domu. Ale to są dorośli. Mają włosy na całym ciele i inwestują w akcje.

Mimo że na wyświetlaczu pojawiło się *Nie odbieraj 13*, tego wieczora odebrała telefon, bo potrzebowała pomocy, innych ludzi, bo ktoś musiał jej pomóc.

– Kto mówi? – zawołała do słuchawki. Brzmiała już jak samotna starsza kobieta. Krzykliwa, wystraszona.

– Z tej strony Marianne. Jesteś w domu?

– Tak.

– Ale dlaczego? W samym środku wakacji? Nie masz żadnych planów?

– Nie.

Same odpowiedzi „tak” albo „nie” wymagały od niej dużej mobilizacji. Twarz miała sztywną jak tektura, musiała się wysilić, by wydobyć z siebie słowa.

– A nie mogłabyś nas odwiedzić? Dzieci wyjechały i zostaliśmy sami. Nie mogłabyś do nas dołączyć, bo my się tylko kłócimy i ja już nie mam na to siły.

– Nie.

– Ingrid, proszę cię.

Nie, po prostu nie, pomyślała Ingrid. Słuchaj, to diabeł do ciebie szept, to diabeł próbuje cię kusić.

– Ingrid, proszę, przyjedź. Tak tu teraz pięknie. A my potrzebujemy kogoś, kto by nas trzymał w ryzach. Jakiegoś powodu, by się porządnie zachowywać.

Ku swemu przerażeniu usłyszała, jak mówi:

– Okej.

Co ja zrobiłam, pomyślała, odłożywszy słuchawkę. Czemu jedziesz w odwiedziny do ludzi, których nie lubisz, rozważała, pakując się. Znacnie się od zarania dziejów i macie długą wspólną

historię, ale ty ich przecież nie lubisz. Choć ty już właściwie nie lubisz nikogo. Nawet swoich własnych dzieci. A głośno odpowiedziała sobie: nie wiem. Pakując się, znajdowała jakąś przyjemność w powtarzaniu: *nie wiem*. Mogła pozwolić, by to krótkie zdanie ją otuliło, zapaść się w nie, zrezygnować z szukania wyjaśnień.

Wynosząc bagaże do auta, tłumaczyła się przed pełnym zwątpienia słuchaczem, postacią bez twarzy, która, jak sobie wyobrażała, chodziła za nią ze skrzyżowanymi ramionami. Potrzebuję słońca i morza, usprawiedliwiała się. Muszę zmienić otoczenie. Trochę się poruszać. Nie mam siły dłużej tu siedzieć. Nie mam siły krążyć po domu i chować się przed Ullą, która przychodzi tu ze swoją smutną starą twarzą i chce rozmawiać. Chłopcy wyjechali w różne miejsca ze swoimi znajomymi, jeden z nich jest za granicą, nie pamiętam nawet gdzie. Mam wakacje. Czemu nie miałabym się trochę poruszać, jak wszyscy inni.

Gdy usiadła w końcu w aucie, była zdyszana.

Zatrzymała się w Drammen, by zatankować. Kupiła sobie kawę i gazetę, usiadła na przednim siedzeniu z otwartymi drzwiami. Niedługo miała jechać dalej, a gdyby tylko chciała, mogłaby spać w tym ogromnym aucie, służącym kiedyś do wożenia w różne miejsca chłopców i całego ich wyposażenia. Nie musiała wcale zatrzymać się w Kragerø, mogła jechać tak długo, aż poczuje się senna i będzie musiała zaparkować na poboczu, położyć się z tyłu. Mogła rozłożyć siedzenia i się wyciągnąć. Auto miało ponad dziesięć lat, ale przeszło ostatnio kontrolę i było w dobrym stanie.

W Kragerø znalazła miejsce parkingowe, a potem poszła do miasta kupić rzeczy z listy, którą Marianne przysłała jej esemesem. Zniosła ciężkie torby na prom, ale pragnęła tylko położyć się w samochodzie i przespać. Ta myśl nie dawała jej spokoju, odkąd wykiełkowała w jej głowie. Chciała się położyć i spać w aucie. Ale, jak zawsze, nie była to wcale kwestia ochoty. Mimo wszystko zdołała wykrzesać z siebie trochę radości, gdy stała na pokładzie, a prom sunął między wysepkami i szkierami. Tak jak pragnęła, by auto nadal toczyło się po drodze, chciała także, by prom ślizgał się po wodzie, ominął Jomfruland, wypłynął na cieśninę Skagerrak i dalej – na Morze Północne, na Atlantyk, by już nigdy nie przybił do brzegu.

Lecz on zamiast tego przycumował na przystani na Jomfruland, gdzie czekali Marianne i Steinar. Szczecina na policzkach Steinara była białawo-siwa, a Marianne podskakiwała, klaszcząc w dłonie.

– Ingrid, ach, Ingrid, tak się cieszę, że tu jesteś.

Naprawdę znów tu przyplłynęła. Pożałowała tego już w chwili, gdy ich ujrzała, bo tak było za każdym razem. A teraz na dodatek przyjechała tu bez Jana i będzie musiała się nimi irytować na własną rękę. Marianne i Steinar pomogli jej z bagażem przez te dziesięć minut, które zajęła droga z przystani do domku. Steinar otoczył ją ramieniem i mocno do siebie przycisnął, byli dwojgiem starych przyjaciół, a Ingrid poczuła ciepło jego ciała bijące przez T-shirt.

– Jak się miewasz?

– Dzięki, że pytasz. Nie jestem do końca pewna.

– Nikt nie pojmuje, co też ten Jan wyprawia. Naprawdę tak po prostu się wyprowadził, z dnia na dzień?

– Tak, w sumie to właśnie zrobił.

Oboje jej gospodarze westchnęli, kręcąc głowami. Ingrid już do tego przywykła, stanowiło to

część rytuału, przez który trzeba było przejść. Lecz za tym wszystkim była w stanie wyczuć klasyczną radość z faktu, że zdarzyło się coś niezwykłego, odczuwaną przez ludzi, którzy leżąc na sofie, wzdrygają się z rozkoszą na wieść o katastrofach na innych kontynentach, samolotach uderzających w wieżowce, powodziach zmywających z powierzchni ziemi całe społeczeństwa.

Pół godziny później położyli się obok siebie na przystani, by wyschnąć po kąpieli. Ingrid leżała pośrodku i odpowiadała na pytania. Hanne ma trzydzieści pięć lat, Jan spotykał się z nią potajemnie przez półtora roku. Nie, niczego nie podejrzewała. Chłopcy, co z nimi? Cóż, właściwie to ich to nie obchodzi. Udają, że są poruszeni, ale tylko po to, by wymusić od niego pieniądze, wykorzystać sytuację. Z początku mówili, że nie chcą z nim rozmawiać, ale przed kilkoma tygodniami poszli z nim łaskawie do Alex Sushi na Solli plass. Jan kupił im nowe komórki i tablety oraz zafundował Jonasowi wycieczkę do Londynu.

Jakież to przyjemne być tą, nad którą wszyscy się użalają. Zupełnie jak wtedy, gdy była mała i mówiła, że nie ma rodziców. Przyjemnie było również pływać w słonej wodzie, czuć zapach brunatnych wodorostów unoszących się przy skałach.

– To niewiarygodne, ponad dwadzieścia lat, a on tak po prostu sobie odchodzi. Nie jesteś wściekła?

– Sama nie wiem. Myślę o tym wszystkim, o tych wieczorach i nocach, kiedy on zniknął, i o wszystkim innym, na co wtedy nie zwracałam uwagi.

– Ale co z tym zrobisz? Musisz coś przecież zrobić, nie możesz się na to godzić.

– Co masz na myśli?

– Przecież on nie może cię tak po prostu zostawić z dnia na dzień.

Ingrid nabrała powietrza z nosem tuż nad deskami przystani, wciągnęła do płuc ciepły zapach smoły.

– Oczywiście, że może. Co niby miałabym z tym zrobić? Co ty byś zrobiła?

– Zabiłabym go. Zabiłabym ich oboje.

– Nie, nie zrobiłabyś tego, bo zabiłabyś wtedy również ojca swoich dzieci. A potem trafiłabyś do więzienia.

– Ale on nie może tak po prostu tego zrobić. Czemu o niego nie walczysz?

– Niby jak?

– Próbując go odzyskać, dowiedzieć się, czemu do tego doszło, idąc na terapię, robiąc coś, żeby znów się z nim zejść? Jak możesz tak po prostu się poddać, bez walki?

– Chcesz powiedzieć, że powinnam kupić sobie seksowną bieliznę i ugotować jego ulubione danie? Zaproponować mu stosunek analny, wyjazd do Nowego Jorku, takie rzeczy? W sytuacji, kiedy on ma *kogoś na boku*, jak to się ładnie mówi, kogoś, kto tak czy inaczej zawsze będzie bardziej interesujący ode mnie? Bo ona jest nowa, a ja stara, i to pod wieloma różnymi względami.

– Nie pojmuję, jak ty jesteś w stanie zachować taką kontrolę nad sobą.

– To nie ma nic wspólnego z kontrolą. Tu nie ma czego kontrolować. Jan mówi, że nie chce się rozwodzić. Ależ oczywiście, że tego nie chce. Rozwód to rzecz nieprzyjemna. Wiele razy wyobrażałam już sobie, że związek z Hanne się rozpada, a Jan wraca do mnie na kolanach. On

wciąż powtarza, że musi tylko jakoś to rozwiązać, że najprawdopodobniej do mnie wróci. Tylko ja nie chcę, żeby on wracał. Jak by to niby miało wyglądać? Chciałabym go nadal chcieć, bo wtedy byłaby jeszcze jakaś nadzieja. Najchętniej odzyskałabym swoje dawne życie, mimo że byłam z niego taka niezadowolona, idiotka, jak zresztą my wszyscy. Ale moje dawne życie przeminęło i już nigdy nie wróci.

Po jakimś czasie Marianne poszła do chaty, by rozpaścić grilla. Gdy była już poza zasięgiem słuchu, Steinar obrócił się na bok i spojrział na Ingrid.

– Chciałabym, żeby Marianne była bardziej jak ty. Patrząc, jak sobie z tym wszystkim radzisz, i nie mogę wyjść z podziwu. Jesteś taka silna.

– W ogóle nie jestem silna.

– Owszem, jesteś. Nie zrozumiem mnie teraz źle, ale gdyby Marianne była taka jak ty, mógłbym od niej odejść. Chociaż, z drugiej strony, gdyby była taka jak ty, to przecież bym z nią został, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Nie, nie rozumiem, co masz na myśli. Przecież z nią zostałeś.

– Zrobiła wreszcie prawo jazdy, w wieku pięćdziesięciu lat, ale zgadnij, kto nadal wszędzie ją wozi. I zgadnij, kto nadal siedzi na miejscu pasażera i dyryguje. Ale nie ma odwagi jeździć ani po autostradzie, ani po mieście, bo *na autostradzie wszyscy tak pędzą, a w mieście jest taki tłok*.

Ingrid przymknęła oczy i skoncentrowała się na zapachu smoły płynącym do jej nozdrzy z desek nabrzeża oraz zapachu skóry Steinara, potu, słonej wody, kremu do opalania i czegoś jeszcze, co się pod tym wszystkim skrywało, czegoś, co zapamiętała jako zapach Steinara, jego esencję. To właśnie pamiętała najlepiej, że tak ładnie pachniał. Wyobraziła sobie, że jakaś niewidzialna i wszechobecna osoba pokazuje jej teraz te zapachy, by udowodnić, że istnieje coś innego: inny świat, inne życie. Pomyślała: nie lubię ludzi. Na tym właśnie polega cały problem, w gruncie rzeczy ja po prostu nie lubię gatunku ludzkiego.

Steinar dźwignął się do pozycji siedzącej.

– Ale najbardziej ze wszystkiego mam dość jej ciągłego utrzymywania. Studiowała przez te wszystkie lata, ma ni mniej, ni więcej jak *trzy dyplomy magisterskie*, a mimo to przepracowała w swoim życiu łącznie tylko parę lat, gdyby zsumować to w jeden pełny etat, to wyjdzie najwyżej rok. Wiesz, czym ona jest? Pasożytem. Ale pasożyty to najinteligentniejsze organizmy. Z nas wszystkich tylko ona doszła do tego, jak się tak urządzić. Zaszła najdalej.

– Ale wciąż z nią jesteś, wasze małżeństwo nadal trwa, a ty gadasz tak jak teraz już od lat.

Steinar ciągnął:

– Żadne miejsce pracy nie jest dla niej wystarczająco dobre. Wiesz, co mi niedawno powiedziała, gdy spytałem, czy ma zamiar wykorzystać do czegoś całe to swoje wykształcenie, czy może zastanawiała się nad poszukaniem sobie pracy? Otóż powiedziała: „Jeśli miałabym siedzieć przed monitorem w jakimś biurze, to chyba bym *umarlaaa*”. A ja jej na to: „Ale przecież ja przepracowałem w biurze całe swoje dorosłe życie. Wszyscy teraz pracują w biurach, wszyscy siedzą przed monitorami. Czemu tobie ma się upiec? Czemu miałabyś być wyjątkowa?”. Wtedy zaczęła płakać i mówić, że musi wrócić na terapię, by się dowiedzieć, co sprawia, że nie jest w stanie znieść myśli o pracy, o byciu gdzieś zatrudnioną, robieniu czegoś poza przemeblowywaniem domu i mieszaniem się w życie dzieci albo obmyśleniem, co by tu jeszcze postudiować, którym jeszcze profesorom pozatruwać życie swoim wiecznym

marudzeniem.

Ingrid wstała. Steinar nadal siedział na deskach.

– A kiedy jej powiedziałem, że nie będę już płacił za jej terapię, bo chodziła na nią łącznie, kurwa, osiemnaście lat, to wiesz co sobie wymyśliła? Stwierdziła, że musi teraz wyjechać na dwa tygodnie na samotny urlop gdzieś do ciepłych krajów, żeby zebrać siły. *Żeby zebrać siły!*

– No to ją zostaw. To teraz przecież konwencjonalne rozwiązanie, ludzie się rozwodzą, zrywają ze sobą. Niedługo zaczniemy postrzegać jako buntowników tych, którzy się *nie* rozwodzą, wkrótce to utrzymanie związku będzie odstępstwem od normy.

Steinar dźwignął się z desek i stanął z nią twarzą w twarz.

– Ale na tym właśnie polega problem! Nie mogę jej zostawić! Dziesięć lat temu miałyby jeszcze szansę znaleźć pracę. Teraz przekroczyła pięćdziesiątkę i nigdy nigdzie nie pracowała, nie wyrobiła w życiu pełnej rocznej pensji. Kto miałby ją zatrudnić? Ja sam w życiu bym tego nie zrobił. Nie teraz, wcześniej zresztą też nie. Bo ona jest zupełnie, kurwa, bezużyteczna.

Ingrid zaczęła iść w kierunku chaty. Steinar ruszył za nią, nie przestając mówić. Słyszała, jaka w niego wstąpiła energia, mówił o Marianne z o wiele większym zaangażowaniem niż o czymkolwiek innym.

– Kiedyś miała przez rok pół etatu, jako asystent na uniwerku, i przez ten jeden rok wypracowała dwieście procent normy godzinowej. Nie dlatego, że była szczególnie pilna, po prostu robiła wszystko cztery razy wolniej niż przeciętny człowiek. Tak jest od zawsze. Bierze się za coś i to się straszne rozwleka. Dostaje jedno proste zadanie i zaczyna grzebać w archiwach, głębiej i głębiej, aż sama nie jest w stanie się odkopać, tapetuje ściany artykułami z gazet, całe dnie przesiaduje po bibliotekach i w internecie. I tak to wyglądało także wtedy, nigdy jej nie było, musiałem sam zajmować się domem i dziećmi, a wszystko, rzecz jasna, w dodatku do wszystkich tych nadgodzin, które musiałem wyrabiać, bo jej pół etatu było słabo płatne, pensja ledwie jej starczała na bilet miesięczny. Nie chcę się skarżyć, opowiadam ci tylko, jak to wyglądało. I wiesz co jeszcze?

Byli już przy samej chacie i Steinar przystanął. Wskazał Ingrid palcem, był czerwony na twarzy i dźgał powietrze dla podkreślenia każdego słowa.

– Po tym jednym roku była, kurwa, wypalona. *Wypalona!* Dwa miesiące przeleżała w łóżku przez to *wypalenie!*

– Tak, pamiętam – powiedziała Ingrid, by przypomnieć Steinarowi, że wszystko to, co teraz mówił, słyszała już wcześniej, nie tylko od niego samego, że poznała także wersję Marianne.

Chciała otworzyć bramę, ale Steinar położył rękę na jej dłoni, poczuła ciepło jego skóry i spojrzała na owłosione palce. Jednym z bardzo wielu zastrzeżeń Marianne do Steinara było to, że wszędzie ma włosy, także na plecach. Ingrid słyszała bzyczenie trzmieli i czuła zapach rosnących wzdłuż drogi kwiatów. Trzmielie i kwiaty, pomyślała. I ciepło dłoni Steinara.

– Ingrid, posłuchaj. Jak to możliwe, że przez te wszystkie lata pracujesz na pełen etat, że prowadzisz auto i zajmujesz się domem, a gdy Jan cię zostawia, przyjmujesz to ze stoickim spokojem? Spójrz tylko na siebie, wyglądasz lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. A Marianne poddaje się przy pierwszej najmniejszej przeszkodzie i wszystko jest dla niej problemem. Wiesz co? Właściwie to sam zaczynam się czuć trochę wypalony. Tak, chyba się położę i zacznę płakać i marudzić, tak jak Marianne. Co o tym sądzisz? Co?

Ingrid przeniosła wzrok z palców Steinara na jego twarz, patrzyła na porastającą policzki białą szczecinę, zakrzywiony nos, wpatrujące się w nią niebieskie oczy. A potem się do niego przytuliła, on objął ją ramionami i stali tak przez chwilę. To Steinar w końcu odchrząknął i zaczął wyswobadzać się z uścisku.

– Chyba Marianne na nas czeka.

Siedzieli na tarasie i pili drinki. Marianne powiedziała:

– Steinarze, przynieś nam więcej lodu.

Steinar spojrział na Ingrid.

– Widzisz, jak wygląda moje życie?

– Steinarze, proszę cię.

– Sama możesz sobie przynieść ten pierdolony lód. I nie myśl, że możesz mną pomiatać.

Zaczęli na siebie wrzeszczeć, w końcu Steinar wstał od stołu i sobie poszedł.

Marianne chwiejnym krokiem ruszyła do chaty i po chwili wróciła z lodem i tonikiem. Ingrid zaświeciła komórką niczym latarką, próbując zlokalizować szklanki pomiędzy pustymi kartonami po winie oraz talerzami z resztkami sosu i grillowanego mięsa, Marianne mieszała dla nich kolejne drinki i razem wzniosły toast. Ingrid siedziała okrakiem na ławce. Sukienka podjechała jej do góry, ciepłe drewno grzało wewnętrzną stronę jej ud. Było zupełnie ciemno i gorąco, a one siedziały w tych upalnych ciemnościach, pijąc i bełkocząc swoje standardowe kwestie, jak zawsze, gdy Steinar odchodził w złości. Marianne tradycyjnie skarżyła się, że mąż jej nie rozumie, nie daje jej niezbędnej przestrzeni i nie okazuje zaufania. Wylizowała wszystkie jego potknięcia i błędy z ostatnich lat, wszystkie przypadki, kiedy ją zawiódł, Ingrid zaś, podobnie jak wcześniej tego dnia, próbowała trzymać się wrażeń zmysłowych, skupić się na zapachu rozgrzanych świerkowych gałęzi, na tym, jak ciepło drewna między jej udami kontrastowało z zimnem szklanki w dłoni, słuchać podzwaniania kostek lodu. A potem wrócił Steinar. Wyłonił się z ciemności i usiadł okrakiem na ławce za Ingrid, objął ją i przycisnął się do niej, Marianne zdawała się nie zauważać faktu jego przybycia, mówiła dalej, a dłonie Steinara wędrowały w dół, wsunęły się pod sukienkę, a potem pod gumkę majtek i zanim Ingrid zdążyła się zorientować, miała w sobie dwa z jego palców. Wszystko to stało się, nim zdołała cokolwiek pomyśleć, a gdy proces myślowy wreszcie ruszył, było już za późno, by reagować, bo przesiedziała w spokoju zbyt długo, by reakcja była uzasadniona. Dlatego trwała w bezruchu, zaledwie metr od kobiety, której ten człowiek – trzymający obecnie dwa szerokie owłosione palce we wnętrzu jej ciała – był mężem, kobiety, którą Ingrid знаła od podstawówki. A zwykła była mawiać: *Mam od podstawówki tych samych znajomych i od zawsze słucham tej samej muzyki*; rozkoszowała się, wypowiadając to zdanie zarówno w myślach, jak i na głos, bo podkreślało ono solidność konstrukcji jej życia, jego niezmiennosć, będącą tym, co odróżniało ją od rodziców. Ale teraz siedziała tu ze ściśniętym gardłem i musiała się wysilać, by jakoś podtrzymać rozmowę. Czemu go nie odepchnęła, czemu nie wstała, nie zareagowała? Ale przecież byłam pijana, odpowiedziała sama sobie, już mówiła o tym w czasie przeszłym, broniąc się jakby przed pełnym zwątpienia słuchaczem. Wszyscy troje byliśmy narąbani. A co z nim? Ze Steinarem? Przecież w końcu to on to zrobił. Ja tylko tam siedziałam. I byłam...

Ale zanim zdążyła dokończyć tę myśl, palce się z niej wysunęły, a Steinar wstał i zniknął

w chacie.

– Steinar zawsze na ciebie leciał – stwierdziła Marianne.

Może dotarło do niej, co się właśnie stało, pomyślała Ingrid. I chce zobaczyć, co teraz zrobię. Może oboje to ukartowali, zawarli jakiś układ, może jestem owadem, któremu chcą oberwać skrzydełka dla rozrywki i zabicia nudy.

Wstała. Drżały jej nogi.

– Chyba pójdę się położyć.

Ingrid nie mogła zasnąć. Ulokowano ją w izdebce tak małej, że ledwie mieściło się w niej jednoosobowe łóżko. Nie dawała jej spokoju myśl, iż nie została stworzona do spania w łóżku w pokoju w jakimś domu, że ma dokoła siebie zbyt wiele warstw i nie może oddychać. Chciała wrócić na prom, do auta, chciała gdzieś jechać, chciała być sama.

Wstała i poszła do kuchni, napiła się wody. Wyrzała przez okno, na zagracony stół, przy którym wcześniej siedzieli. Musiała wrócić do domu. Ale była przecież na wyspie, nie mogła przebyć drogi wplaw, trzeba było poczekać na prom. Gdyby jej caravelle był tutaj, mogłaby się w nim położyć spać. Spakować swoje rzeczy, wsadzić je do auta, zablokować wszystkie drzwi i przespać się, aż wytrzeźwieje i będzie w stanie jechać dalej.

Ingrid weszła do sypialni gospodarzy bez pukania. Oboje byli pogrążeni w głębokim śnie. Usiadła na skraju łóżka. Potrząsnęła leżącym bliżej niej kształtem, spod kołdry wyłoniła się rozczochrana głowa.

– Marianne. Muszę ci coś powiedzieć.

Marianne usiadła na posłaniu.

– Co?

– Muszę ci coś powiedzieć o Steinarze.

– Co z nim?

Teraz także i on się obudził.

– Marianne – powtórzyła Ingrid. – Pamiętasz, jak siedziałyśmy przy stole, a Steinar sobie poszedł, ale zaraz potem wrócił?

Marianne potarła oczy.

– Usiadł za mną, pamiętasz?

– Tak...?

– Wsadził wtedy we mnie palce.

– Co?

– *Strzelił mi palcówkę*, jak to nazywałyśmy w dawnych czasach.

Steinar powiedział:

– Ingrid. Uspokój się.

Ingrid przeniosła na niego wzrok.

– Zaprzeczasz, że to miało miejsce, Steinarze? Twierdzisz, że nie usiadłeś za mną i że nie wsadziłeś we mnie swoich paluchów? To próbujesz powiedzieć?

– Nie mam pojęcia, o czym ona mówi. Rozumiesz coś z tego?

Ingrid powiedziała:

– Powąchaj jego palce.

Marianne nachyliła się nad Steinarem, który odskoczył, mówiąc:

– Obie do reszty oszalałyście? Ingrid, to chyba musiało ci się przyśnić. Zachowujesz się jak osoba niezrównoważona.

Ingrid wstała.

– Wyjeżdżam. Nie chcę was widzieć do końca mojego życia. A jeśli umrę przed wami, to nie życzę sobie, by którekolwiek z was przyszło na mój pogrzeb. Ja też na wasze nie przyjdę, jeśli umrzecie przede mną, na co zresztą mam szczerą nadzieję. Jan mnie właśnie zostawił, a wy myślicie tylko o sobie, bo jesteście opętani tym swoim żalnym dramatem chyba od dnia, w którym się poznaliście, i podczas gdy ty, Marianne, zamęczasz mnie wyznaniem, jaki to Steinar jest kiepski w łóżku i jaką to masz szaloną chciwą na tego czy innego wykładowcę, twój mąż przychodzi do mnie i wtyka we mnie palce. Aha, jeszcze jedno, prawie zapomniałam. Dziesięć lat temu Steinar wyznał mi, tutaj, na Jomfruland, że jest we mnie zakochany, pewnie dlatego, że się nudził i chciał, żeby coś zaczęło się dziać, po czym nawiązaliśmy romans. Nie jestem z tego dumna, ale inicjatywa wyszła od niego. Od ciebie, Steinarze. Jesteście kanibalami, traktujecie ludzi jak pokarm i paliwo i oboje zasługujecie na to, by się spalić w piekle.

W trakcie tego przemówienia Marianne i Steinar wydawali z siebie pomruki oburzenia i protestowali, ale trochę bez przekonania, jakby cieszyło ich to, co się dzieje, bo w końcu nie przywykli do patrzenia, jak Ingrid tak kompletnie odbija.

– O jakim wykładowcy ona mówiła? – odezwał się Steinar, gdy zamknęła za sobą drzwi.

Ingrid pakowała swoje rzeczy, słuchając przybierających na sile wrzasków z sypialni. Ruszyła w kierunku przystani i znów ogarnęło ją poczucie, że już kiedyś wszystko to przeżyła, że to tylko jedna z wielu powtórek. I teraz szła tędy znowu szutrową drogą. Wyjęła komórkę, by sprawdzić, kiedy odchodzi prom, ale bateria była rozładowana, wsunęła ją z powrotem do kieszeni i pomyślała: nie jestem martwa. Nie zdołają mnie zabić.

Zeszła na plażę koło przystani. Było już całkiem jasno, a ona zdjęła sandały i weszła do wody po kolana. Stała tam pochylona, ochlapując sobie twarz, dopóki nie poczuła, że zaczyna trzeźwieć.

5

– To jakieś szaleństwo – powtarzał Jan raz za razem, zbierając porozrzucone ubrania tamtej pierwszej nocy. Wcześniej wypalili jointa, wypili whisky i zjedli czekoladki, które znalazła w kuchennej szafce. – To się nie może powtórzyć – oświadczył, wciągając spodnie. – Niedługo świętujemy srebrne gody.

Stał przed nią, z siwymi włosami sterczącymi na wszystkie strony, i drżał.

– Spokojnie – odrzekła Hanne. – Weszła ci lekka paranoja. Wszystko się ułoży. Nie będę się przecież za tobą uganiać.

I słowa dotrzymała. To on wysłał jej wiadomość, zaledwie po kilku dniach, pytał, czy ma czas na krótką rozmowę. Chciał, na trzeźwo i w pełnym świetle dnia, omówić to, co między nimi zaszło, nad kawą w Stockfleths, jeśli rzecz jasna jej pasuje. Hanne to pasowało, a potem stali w ukrytym zakamarku twierdzy Akershus i wszystko się powtórzyło. Żadne z nich nie było w stanie tego wyjaśnić, bo w Stockfleths mówili właśnie o tym, jaki to był błąd i że nikt nie powinien się o niczym dowiedzieć. Ale wychodząc z kawiarni, doszli do wniosku, że nie skończyli jeszcze omawiać wydarzeń tamtej dziwnej nocy, chcieli się jeszcze trochę pośmiać z tego, jacy byli pijani i naćpani, Jan miał potrzebę powtórzyć, że nigdy wcześniej nic takiego mu się nie zdarzyło, więc, zamiast wrócić do ministerstwa, poszli dalej i wkrótce byli już za murami twierdzy Akershus i stali wciśnięci w ciemny kąt, ciasno ze sobą spleceni.

Było to niewłaściwe z wielu różnych powodów, wbrew regulaminowi, a mimo to doszło do tego ponownie, a potem raz jeszcze, i po zaledwie kilku tygodniach Hanne wyszła z pierwszym z wielu wniosków o wotum zaufania: albo on się rozwiedzie, albo to wszystko trzeba zakończyć. Daję ci tydzień na zdecydowanie, czego chcesz, powiedziała mu głośno i wyraźnie, bo wiedziała, że Jan nigdy się nie rozwiedzie i chciała się go w ten sposób pozbyć, sprawić, by przestał z nią szukać kontaktu.

Potem powtarzała to jeszcze wiele razy, ale coraz bardziej poważnie, siedząc na skraju łóżka ze zgarbionymi plecami, cicho i powoli: „Nie mam na to już dłużej siły. Albo się rozwiedziesz, albo to kończymy. Jestem dorosła, nie mogę tak żyć”. A potem mówiła jeszcze inne rzeczy, bo za każdym razem była przekonana, że powtarza to już ostatni raz. Jan zaś kiwał głową i stwierdzał: „Rozumiem, co masz na myśli. Cieszę się, że jesteś taka odpowiedzialna”.

A potem odchodził. Hanne brała parę dni chorobowego, leżała w łóżku, płakała i dochodziła do siebie; przecież go nie chciała, tego siwego żonatego ojca dwójki dzieci, a na to wszystko jeszcze swojego szefa. W końcu wstawiała z łóżka, piła kawę i brała prysznic. Wychodziła na długie spacerunki do lasu. Trzymała się z dala od alkoholu, znajomych, knajp, trzymała się również z dala od sieci, wieczory spędzała w domu, robiąc na drutach i słuchając radia lub audiobooków, i w końcu zaczynała przesypiać całe noce.

Po paru tygodniach takiego życia czuła się już na tyle dobrze, że odpowiadała na jeden

z wielu esemesów Jana. Ale nie jeden z tych, które wysyłał jej w drodze do domu z piątkowego piwa – *tesknie za toba*, bez wielkich liter ani kropki, tylko *tesknie za toba*. Przypuszczała, że wystukiwał te słowa na klawiaturze, siedząc w tramwaju, bo czasem wychodziło z tego *tseknie az toba*. Odpowiadała natomiast na jeden z esemesów pisanych w środku dnia, czasami podglądała ukradkiem przez uchylone drzwi gabinetu, jak Jan stuka palcami w telefon – *Brakuje mi Twojego głosu i wszystkich Twoich zabawnych historii, nie zaszkodzi pójść na kawę, możemy przecież być przyjaciółmi* – i jeszcze tego samego popołudnia lądowali w łóżku w hotelu albo w jej mieszkaniu, albo nawet na sofie w jego gabinecie, gdy wszyscy inni zdążyli już pójść do domu. Zdarzało się to wielokrotnie, a mimo to zawsze ich zaskakiwało, tak samo nowe i niespodziewane, jakby każdy raz był tym pierwszym.

– Będzie to ciągnął tak długo, jak mu na to pozwolisz – powtarzały jej przyjaciółki. – Chce zjeść ciastko i mieć ciastko, a teraz ma zarówno domową stabilizację, jak i dreszczyk emocji z tobą. Czemu niby miałyby chcieć to zmieniać?

Wycofywała się wtedy i nie odpowiadała na jego wiadomości, nie odbierała telefonu, unikała go na korytarzach w pracy, po to tylko, by czuć, jak śledzi ją wzrokiem, gdy nakłada sobie na tacę jedzenie w kantynie i idzie do kasy zapłacić. Była pochłonięta własnymi myślami, lecz mimo to dokładnie wiedziała, w którym miejscu lokalu on właśnie przebywa. Siedziała przy stoliku, udając, że czyta wiadomości w komórce, śmiała się do rozpuku. Z rozkoszą czuła, jak ciekawość i dezorientacja Jana pełzną po podłodze kantyny, jak jego niepokój zamienia się w jej spokój.

To Jan był tym zajęтым, tym żonatym, tym, który każdego popołudnia wracał do domu pełnego ludzi i życia, dlatego też to on miał władzę. Mógł postępować niedbale i przewidywalnie, nie miał potrzeby się skradać ani czaić, podczas gdy Hanne musiała manipulować, planować wiele ruchów z wyprzedzeniem i już po tygodniu czy dwóch takiej kuracji Jan przybiegał do niej w podskokach, gotów odwoływać spotkania i rodzinne obiady, gotów na wielkie ryzyko. Stał pod jej drzwiami i napierał na przycisk domofonu tak długo, aż go wreszcie wpuszczala na górę. Potem kochali się na kłującej macie kokosowej w przedpokoju. Równie dobrze mogliby iść do sypialni, ale w tej akurat sytuacji wypadało zrobić to na podłodze w przedpokoju, wzbogacając całość o gwałtowne ruchy i głośne jęki. Hanne wydawała z siebie dzikie powarkiwania, jak drapieżnik rozrywający swoją ofiarę na strzępy. Nie martwiła się, że ktoś ich usłyszy, wręcz przeciwnie, chciała być słyszana przez wszystkich sąsiadów, a zwłaszcza ojca malucha z mieszkania obok. Był singlem, a mimo to odrzucił jej awanse na wakacyjnej imprezie lokatorów poprzedniego lata. Leżąc na podłodze, Hanne wyobrażała sobie ojca malucha, jak zaledwie kilka metrów dalej próbuje wejść do swojego mieszkania, objuczony torbami pełnymi zakupów, z wrzeszczącym bachorem na rękach. Posłuchaj sobie, myślała, wstając, musiała oprzeć się o ścianę. I co ty na to, drogi panie?

Ale gdyby naprawdę mogła mieć Jana, gdyby stanął na jej progu z walizką – co wtedy? Jak wyglądałoby życie z Janem, nie zaś tylko godzinka od czasu do czasu, gdy pożądanie spowijało wszystko inne mgłą, ale każdy kolejny dzień, poranek, w świetle dnia, gdy już opadnie kurz? Pytanie to pojawiało się zawsze w jej głowie, gdy czuła się bezpieczna, kiedy on wgapiał się w nią w kantynie albo wynajdował coraz to nowsze powody, by krążyć wokół jej pokoju, zadawać jej pytania, które równie dobrze mógłby zadać innym, a ona była pewna, że to tylko kwestia czasu, nim znów do niej przybiegnie. I gdyby zostali parą, ze wszystkimi tego konsekwencjami, ile czasu potrzebowałyby jej wewnętrzna małpa, by wszystko zniszczyć? Która

z cech Jana urosłaby do rozmiarów monstualnych i wszystko wywróciła?

Z czasem Jan także był coraz bardziej milczący i zamyślony, gdy kończyli się kochać i leżeli obok siebie w łóżku. Hanne wiedziała, że to wtedy roztrząsa całą sytuację, wtedy nachodzą go myśli o Ingrid i chłopcach, domu z ogrodem i rodzicach, o wszystkim, co takim zachowaniem niszczył z każdym dniem trochę bardziej, i wtedy przychodziła jego kolej na wycofywanie się, na chrząkanie i mówienie, że jest coś, o czym powinni porozmawiać.

A potem ona przesiadywała w sieci, odpowiadała na wiadomości, spotykała się w kawiarniach z mężczyznami, próbując zmusić się do czegoś więcej. Tylko że te nowe znajomości nie chciały wystartować, rozwinąć się i stać się czymś, w czym mogłaby się zatracić. Mimo to zgodziła się na powtórne spotkanie z jednym z tych facetów. W kawiarni powiedział jej, że niedługo się rozwodzi i że jego małżeństwo było *nieporozumieniem od pierwszego dnia*, i dodał, iż żyje z żoną *jak brat z siostrą*. Hanne poinformowała go, że dobrze czuje się sama i nie szuka związku. Zbliżali się do siebie, kłamstwo za kłamstwem, każde od swojej strony, i po paru dniach w końcu się spotkali w mieszkaniu należącym do jego znajomego, gdzie Hanne znalazła parę brudnych majtek, wciśniętą między łóżko a ścianę, a kosz na śmieci w łazience był pełen zużytych kondomów.

Czy naprawdę zabrnęłam już tak daleko? – myślała w drodze do domu. Czy tego rodzaju obłeśne doświadczenia nie są raczej zarezerwowane dla kobiet o piętnaście lat od niej starszych? A ona była przecież młoda i płodna. Nie musiała się godzić na taki upadek.

Lecz następnego dnia najwyraźniej promieniała jakąś szczególną energią, bo ludzie wokół niej byli w stanie dostrzec, że ma za sobą akt parzenia. A ponieważ ci, którzy się parzą, wygrywają, a ci, których to nie spotyka, są przegrani, Jan znów zaczął na jej widok przystawać w korytarzach i znów słał jej spojrzenia przez całą szerokość kantyny, a ona śmiała się przy swoim stoliku, tym razem w otoczeniu kilkorga kolegów.

Wysłał jej esemesa: *Doprowadzasz mnie do szaleństwa.*

A potem poszedł jej śladem, gdy ruszyła do domu, wbiegł za nią po schodach, chwycił ją za ramię i powiedział: kocham cię. Nie mogę bez ciebie żyć. Spadło to na nich jak grom z jasnego nieba i mimo że oboje mieli w planach jakieś miejsca, gdzie powinni się stawić, jakichś ludzi, z którymi powinni się spotkać, to wynajęli pokój w pobliskim hotelu, a Hanne wiedziała, że karta, którą zapłacił Jan, przypisana była do *konta buforowego*; przeciągnął ją przez terminal z największą oczywistością, po czym poszli do windy i rzucili się na siebie, zanim jeszcze ta winda ruszyła.

– Nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczyłem – powiedział potem Jan, gdy leżeli w łóżku, pijąc białe wino z minibaru. Na wspólnych wyjazdach z Ingrid zawsze trzymali się z daleka od tych idiotycznie drogich buteleczek w hotelowych pokojach, ale z Hanne wszystko było inaczej. Wszystko się ułoży, mawiała Hanne, a teraz i Jan zaczął to powtarzać. *Wszystko się ułoży.*

– Ja też nie – odrzekła Hanne, co było rzecz jasna wielkim kłamstwem, i poczuła się stara, dużo starsza od Jana. Była prastarym emocjonalnym banałem, który się już dawno wysłużył, była jak szafka z bezpiecznikami, w której wysadziło wszystkie korki.

Gdy Jan chciał się dowiedzieć, z iloma mężczyznami przed nim spała – dziecinne pytanie, lecz mimo wszystko była nim wzruszona, bo tak to teraz między nimi wyglądało – podała liczbę

prawdopodobną według niej dla osoby, za którą jej zdaniem miał ją Jan: namiętnej, lecz stosunkowo niedoświadczonej kobiety, o jakiej, w ocenie Hanne, marzyli mężczyźni. A prawda była taka, że przestała liczyć już wiele lat temu.

A potem znów się rozstali. Czy tym razem to Hanne nie miała już dłużej siły tak żyć, czy też Jan nie chciał się rozwieść – nieważne, tak czy inaczej podjęli wspólną decyzję, że od siebie odpoczną.

I tak się to wszystko ciągnęło. W grudniu, rok po gwiazdkowym koncercie, Hanne dostrzegła, że Jan się zestarzał, że bruzdy biegnące po obu stronach jego twarzy od skrzydełek nosa do kącików ust stały się głębsze, że skóra pod oczami była bardziej wiotka. Starła się tym cieszyć, bo to powinno sprawić, że będzie mniej atrakcyjny i tym samym stanie się dla niej mniejszą pokusą, ale zamiast tego zaczęła chodzić za nim korytarzami i miała coraz większą ochotę pogłodzić go po policzku. Kilka wilgotnych od potu pasemek włosów na karku, blizna, to, że odrobinę zezował i że był od niej starszy, wszystkie jego wady i skazy działały na nią jak magnes. Patrzyła na niego w korytarzach, z daleka, i była zazdrosna o wszystkich, z którymi rozmawiał, chciała go chronić, opiekować się nim.

W styczniu, pewnego wieczora, gdy została w pracy po godzinach, przez drzwi niewielkiego pokoju, który dzieliła z trojgiem kolegów, usłyszała jego kroki, a gdy przechodził obok, uniosła wzrok, udając, że przerwano jej jakieś ważne zadanie. Ale on nawet na nią nie spojrział, poszedł tylko dalej, ona zaś odczuła to tak, jakby ktoś uderzył ją pięścią w brzuch. Ale szybko się pozbierała: to właśnie okoliczność, że na nią *nie* patrzył, była godna uwagi. Każdy inny człowiek by na nią spojrział, dostrzegł fakt jej egzystencji; dwoje ludzi, którzy jako jedyni z całego biura zostali w pracy, patrzą na siebie przecież, pozdrawiają się w przelocie skinieniem głowy. To, że na nią *nie spojrział*, musiało zatem stanowić znak. Hanne egzystowała w świecie znaków, gdzie wszystko miało swoje znaczenie. Całe jej życie składało się teraz ze znaków, a gdyby zniknęły, zapanowałaby pustka, nie byłoby się czego przytrzymać, nie byłoby na co czekać.

W tę drugą zimę zaczęła jeździć do pracy także w weekendy, wyciągała z lodówki resztki pizzy i popijała je kawą, czytała stare gazety, przeglądała raporty i pisała streszczenia, notatki, odpowiedzi na listy oraz sprawozdania. *Dziękujemy za sugestie, zostaną one wzięte pod uwagę.* Rejestrowała w elektronicznym systemie naliczania czasu pracy godzinę za godziną, zgłaszała się na ochotnika do każdego projektu. Informowano ją, że powinna sobie odpuścić, że to wbrew kodeksowi pracy, ale ona nic sobie z tego nie robiła, bo pragnęła tylko usłyszeć jego kroki na korytarzu, chciała, by nastał wieczór, a w biurze zostali tylko oni, i by on zapukał w futrynę jej drzwi, mówiąc „puk, puk”, i zapytał, czy jest głodna. A potem mogliby krążyć po ulicach, z błyszczącymi oczami i ściśniętym gardłem, by w końcu wejść do jakiejś knajpy i zamówić coś do jedzenia, lecz nie być w stanie przełknąć ani kęsa. I następnego dnia miałyby podrapaną brodę od jego kłującego zarostu.

Ale gdy spotykali się na korytarzu, on spuszczał wzrok, na zebraniach nie patrzył na nią ani jej nie słuchał, mimo iż ustalili, że będą przyjaciółmi. Czyżby o tym zapomniał? Czyżby zapomniał, co jej powiedział w czasie ich ostatniej rozmowy? *Bardzo bym chciał, żebyś została moją przyjaciółką.* Przez sekundę nawet się ucieszyła, że z jej życia znika osoba, którą stać na gadanie takich bzdur, ale już w następnej sekundzie było wręcz przeciwnie, bardzo jej się to podobało, fakt, że rozmawiali ze sobą w ten sposób, jakby ich słowa zostały oczyszczone ze śladów użytkowania i odzyskały swoje pierwotne znaczenie.

Hanne odpowiedziała, że oczywiście pozostaną przyjaciółmi. Ale wcale w to nie wierzyła. Postrzegała to jedynie jako jedno z wielu trudnych stadiów, przez które musieli przejść. Poczekaj na niego, to w końcu on położył dłonie na jej udach wtedy, na gwiazdkowym koncercie. Czyżby o tym także zapomniał? Zapomniał, że to on to wszystko zaczął? Mimo że utrzymywał potem, że to był tylko koleżeński gest, że przeżył szok, kiedy ona zaczęła ssać jego palce, on zaś z *miejsca doznał gwałtownej erekcji*? Oraz że *nie zdarzyło mu się to, odkąd był nastolatkiem*?

Nigdy wcześniej, nigdy wcześniej. Mantra zakochanych: coś takiego zdarza mi się pierwszy raz. Ale nie. Jan wystawiał czułki, orientował się w przestrzeni, bo podobnie jak wtórował śmiechem wszystkim innym widzom w kinie, wtórował również zdradą wszystkim ludziom tego świata; zaliczał obligatoryjny skok w bok, napędzany kryzysem wieku średniego, podobnie jak zaliczył egzaminy końcowe w liceum, studia, pracę i rodzinę – sumiennie i systematycznie, a po tym wszystkim zostanie mu jeszcze kilka nowych frazesów: *zbliżyło nas to do siebie, naszemu małżeństwu wyszło to na dobre, to mi otworzyło oczy, sprawiło, że pojąłem...*

Hanne chciało się wymiotować. Chciała sobie przynieść wiadro i narzygać do niego do pełna, potem przynieść kolejne i zrobić to samo. A potem wylać te wszystkie wymiociny na środek jego gabinetu.

Ale jego tam nie było. Udawał, że jest odpowiedzialnym za personel naczelnikiem wydziału, a ona starszym specjalistą, udawał, że nie leżał ani nie krzyczał, ani nie płakał, ani też nie miał jej prześcieradeł na Tøyengata, nie, zamiast krzyczeć i jęczeć, pisał teraz maile o tym, że system elektronicznej rejestracji czasu pracy zaraz się zawiesi od tych wszystkich nadgodzin i jeśli Hanne nie odbierze ich jako wolnego przed urlopem, to wtedy bla bla bla. Jej dobrze pojęty interes, wypalenie, choroby zawodowe, bla bla bla. Ciekawe, czy miał gotowy szablon, w który tylko wklejał właściwe imię, czy też pisał to specjalnie dla niej. Hanne miała czas, by się nad tym zastanawiać.

Czytała każdego maila po sto razy w poszukiwaniu ukrytych znaczeń. Odgadywała jego intencje – sądził pewnie, że jeśli będzie ją zadręczał tą gadaniną o nadgodzinach, zalewać ją swoją troską, to zyska sobie wolność. I święty spokój, by leżeć w tym swoim własnoręcznie zbudowanym domu, lecz między jego nogami wszystko będzie wiotkie i martwe. Oschły, odbyty bez przekonania stosunek, który był właśnie *stosunkiem* – takim, którego opis na szkolnych lekcjach wychowania seksualnego sprawił, że Hanne obiecała samej sobie, iż nigdy nie będzie tego robić, bo wyglądało to boleśnie i nudno – a potem dobranoc. Może i jakoś sobie radził, ale tylko dlatego, że myślał o Hanne, zmysłowej i namiętnej Hanne – *jesteś taka zmysłowa, taka namiętna, gdy jestem z tobą, to czuję, jakby życie nabierało kolorów i znów stawało się trójwymiarowe*.

A Hanne przegryzała się w skupieniu przez raporty i sprawozdania, była częścią fabryki demokracji, trybikiem w biurokratycznym systemie, szła do automatu z kawą i wybierała bardzo mocną, taką to była zachłanną i zmysłową kobietą, a potem naciskała klawisz raz jeszcze, by pokazać, jaka jest chciwa wrażeń i nienasycona. Gdy kawa kapała do kubeczka, przypominała sobie jedną z wielu rzeczy, które on jej mówił: że panuje u niej *cudowny bałagan*. Chciał znów zamieszkać bliżej centrum, w mieszkaniu. Wyciągał spod jej sofy brudne kubki po kawie i był nimi oczarowany, Hanne zaś umiała to wszystko przejrzeć, od początku do końca. A mimo to, siedząc w pracy w sobotnie popołudnia i poniedziałkowe wieczory, myślała: nieprawda, że to koniec. To tylko przerwa. Będziemy się jeszcze z tego śmiać. Opowiadać o tym po latach.

Wyobrażała sobie, jak Jan powtarza ich historię na weselu, jak muszą oczarować rodziny i przyjaciół, by zapomnieli o tych wszystkich ofiarach, których to ich wesele będzie wymagać. Ale dlatego właśnie pobiorą się w kościele, z wielką pompą, Hanne już zdecydowała, z pastorem i całym tym cyrklem. Jan i Ingrid wzięli ślub w ratuszu, a potem tylko zaprosili świadków na obiad. Dlatego właśnie Jan i Hanne pobiorą się w kościele, dlatego właśnie wykosztują się na ekstrawaganckie wesele, wynajmą drogi lokal, zamówią ekskluzywny catering i zaproszą absolutnie wszystkich, znieczulą ich jedzeniem, winem i przemowami, sprawią, by dostrzegli tę nową sytuację jako *właściwą* sytuację, *właściwy* tego *wszystkiego* cel.

Hanne nie była w stanie uwierzyć, że miałyby im się nie udać. Że zagrała tylko bohaterkę w głupawej historii, śmiechu wartym banale. Romans z żonatym współpracownikiem, z *szefem*, spotkania oplatkowe, seminaria, hotelowe łóżka. To, jak skradali się do siebie na konferencji w wysokogórskim hotelu zeszłej jesieni i aż ich mdliło z napięcia i podniecenia. Jak siedzieli w pociągu do Geilo, zachowując się jakby nigdy nic, pijąc piwo i wino z kartonowych kubeczków. Któregoś wieczora na tej konferencji usiadła mu na kolanach. Nikt nie dostrzegł niczego podejrzanego w fakcie, że usiadła mu na kolanach, właśnie przez fakt, że usiadła mu na kolanach, który rozbroił wszystkie ewentualne domysły. Powiedziała mu to późno w nocy, gdy w półgodzinnym odstępie od siebie wyszli z baru i zdołali dotrzeć do jej pokoju przez nikogo niedostrzeżeni, a on zapytał, jak ona mogła zrobić coś takiego, podjąć takie ryzyko, siadając mu przy wszystkich na kolanach.

– Podjąć takie ryzyko? Prędzej czy później to i tak wyjdzie na jaw.

– A niby kiedy? I co by niby miałyby wyjść?

I to wtedy, w pokoju hotelowym w Geilo, doszło do ich pierwszej kłótni. Jan powiedział, że w takim wypadku zmianie uległoby nie tylko jego życie. Hanne musiałyby poszukać sobie nowej pracy, zostałyby macochą dwóch niewiele od niej młodszych chłopców, a z dziećmi musieliby poczekać wiele lat, aż jego synowie przyzwyczają się do sytuacji, aż wszyscy przyzwyczają się do sytuacji.

Kiedyś, na samym początku, w pewien weekend, kiedy Hanne była pewna, że Jan z rodziną wyjechali i nie ma ich w domu, pojechała tramwajem do Nordstrand i przespacerowała się po okolicy. Przeszła z jednego końca Solveien na drugi, ale ponieważ bała się wpaść na rodziców Jana, minęła jego dom tylko jednokrotnie, ten brązowy dom, na który gapiała się na Street View w Google Maps tyle razy i pod tyloma różnymi kątami, że wrył jej się w pamięć, niczym miejsce kultu religijnego, w którym doszło do jakichś niezwykle istotnych, decydujących wydarzeń.

A więc w tej dzielnicy mieszkał. Tędy codziennie chadzał, między domem a przystankiem tramwajowym, jako jeden z wielu. W tym oto brązowym budynku żył z Ingrid od niemal dwudziestu lat, a zanim jeszcze ten dom zbudowano, żył z nią w dwupokojowym mieszkaniu na St. Hanshaugen. To tam urodził się Jonas, a Martin przyszedł na świat już po przeprowadzce do brązowego domu. Pobrali się w dziewięćdziesiątym drugim, po dwóch latach związku. Życie Jana było łamigłówką, której składanie nie przestawało jej fascynować.

Raz była nawet w tym domu, pewnego popołudnia w pierwsze ferie wielkanocne po tym, jak go poznała, kiedy wszyscy, łącznie z rodzicami Jana, pojechali do domku wakacyjnego w Ustaoset, a on miał do nich dojechać. Najpierw umówili się, że to on wpadnie do niej na Tøyengata i stamtąd pójdzie na pociąg, ale wyszło na to, że nie miał kiedy się spakować, między

innymi dlatego, że kilka wcześniejszych dni też spędził u niej, i w końcu doszli do wniosku, że równie dobrze to ona może wpaść na Solveien. Mieli nawet przygotowaną wymówkę na wypadek, gdyby nadziali się na kogoś z sąsiadów: Hanne przywiozła dokumenty, które Jan miał podpisać. On się pakował, ona zaś spacerowała po domu, podziwiała meble, oprawione grafiki na ścianach, rodzinne fotografie rozwieszane nad schodami na piętro.

Oglądała je właśnie, gdy Jan wyszedł z sypialni z plecakiem. Zapytała:

– Czy to zdjęcie z tamtego urlopu w Grecji? A to zrobiliście na Lanzarote?

Jan zmarszczył brwi, patrząc na fotografię.

– Hm. To jest na pewno z Grecji. To drugie chyba też?

– Nie, bo tu Martin jest już dużo większy, to musi być Lanzarote.

– O rany. Pamiętasz z mojego życia więcej niż ja sam.

Odwiedziny na Solveien obudziły w niej apetyt na więcej. Po przerwie wielkanocnej wybrała się do szkoły, w której uczyła Ingrid. Włoczyła się po korytarzach, aż w końcu zobaczyła Ingrid, którą rozpoznała ze zdjęć wiszących na Solveien oraz zamieszczonych na Facebooku i stronie internetowej szkoły. Szła w jej stronę, niosąc torbę pełną książek i papierów. Ingrid w rzeczywistości wyglądała lepiej niż na zdjęciach, miała na sobie szary sweterek, czarną spódnicę i brązowe kozaczki. Ciemna blondynka, szczupła, wzrostu Hanne, tyle że jakieś piętnaście lat od niej starsza, jak Jan. Hanne spytała ją, gdzie jest toaleta, na co padła uprzejma, niewymuszona odpowiedź Ingrid: „Trzeba pójść tutaj i zaraz w prawo”, a ona odrzekła: „Ach tak, dziękuję bardzo”. To krótkie zdarzenie, nietrwające dłużej niż jakieś dziesięć sekund, pochłonęło Hanne na wiele tygodni, a zafascynowało ją zwłaszcza to, co nazywała *spokojną uprzejmością w przestrzeni publicznej*, okazywaną przez Ingrid. Wyobrażała sobie, że Ingrid była tym wszystkim, czym nie była ona sama: osobą zrównoważoną, stabilną, pewną siebie. Taką, jaką Hanne chciałaby być, gdyby dane jej było wybierać. Normalną osobą, podchodzącą do świata z dostosowanym do okoliczności ciepłem lub chłodem, albo czymś pomiędzy, człowiekiem harmonijnym, bez śladu neurotyzmu. Kimś, kto nie cierpi na podstawowy defekt polegający na tym, że zawsze chce tego, czego nie ma lub mieć nie może. Hanne wysnuła całe życie i cały świat z tej krótkiej rozmowy z Ingrid, która interesowała ją nie tylko dlatego, że miała dostęp do Jana i każdej nocy leżała obok niego w łóżku, lecz także z tego powodu, że wydawała się taka obliczalna, taka stabilna, taka *normalna*.

Hanne wiedziała, na czym polega bycie normalnym. Bycie normalnym polegało na przykład na tym, że zaczynało się rozmowę z obcym człowiekiem, dajmy na to w pociągu, i rozmawiało się z nim w sposób niewymuszony, nie mówiąc zbyt wiele lub zbyt mało, doskonale wiedząc, o czym wypada rozmawiać z obcą osobą w pociągu i gdzie przebiega granica. Hanne brakowało takiego instynktownego wyczucia i przez to nie była w stanie zachować umiaru; albo mówiła zbyt wiele i o rzeczach zbyt intymnych, albo też milczała i nie mówiła nic w ogóle, obrażona, że ktoś śmie się do niej odzywać. Miała, ogólnie rzecz ujmując, problemy z zachowaniem równowagi, z trzymaniem się środka drogi – zawsze ją zносиło w stronę jednego czy drugiego rowu.

Najtrudniej było, gdy spotykała ludzi, których znała zbyt dobrze, by móc ich minąć bez słowa, lecz jednocześnie nie na tyle, by umieć porządnie z nimi porozmawiać; nie zdążyła jeszcze wypracować dobrego rozwiązania w takich sytuacjach i bywała w nich tak przytłoczona

ogromem możliwości, że czasem reagowała całkiem absurdalnie. Jak na przykład wtedy, gdy spotkała na rogu ulicy dwie dalsze koleżanki równocześnie. Koleżanki nie znały się nawzajem, ale obie przystały przed Hanne, witając się z nią radośnie, a ona odwzajemniła ich entuzjazm, po czym wszystkie trzy spojrzały po sobie i roześmiały się z tego zbiegu okoliczności. Ale wtedy Hanne ogarnęła panika, przenosiła wzrok z jednej koleżanki na drugą i z powrotem, stała tak bezradnie przez kilka sekund, a następnie wypaliła do nich: „Nie mogę rozmawiać z wami obiema, przecież się nie znacie, więc jedna z was musi sobie pójść”. Następnie skinęła głową jednej z nich i rzuciła: „No to na razie”. Kobieta wydawała się zszokowana, ale mimo to sobie poszła, a Hanne została z tą drugą, która sprawiała wrażenie nie mniej zszokowanej, Hanne próbowała udawać, że nic się nie stało, jakby to, co przed chwilą zrobiła, było zupełnie normalne, ale rozmowa utknęła w martwym punkcie i już po kilku chwilach koleżanka stwierdziła, że się spieszy i odeszła szybkim krokiem, Hanne zaś została sama, przeklinając się za to, że nie poradziła sobie lepiej z tą sytuacją; mogła na przykład przedstawić je sobie nawzajem i pozwolić, by same zajęły się resztą, to nie były jakieś wyjątkowe okoliczności, a ona nie musiała zachować się tak dalece niestabilnie, jak się zachowała.

Hanne była przekonana, że Ingrid nie miała takich problemów, i za każdym razem, gdy musiała podjąć jakąś decyzję, wyobrażała sobie, co ona zrobiłaby w takiej sytuacji. Próbowała sobie również wyobrazić, co zrobi i powie Ingrid, kiedy – albo jeśli – Jan zakomunikuje jej, że chce się rozwieść. Hanne była przekonana, że Ingrid także w tej sytuacji zareaguje normalnie, tak jak zareagowałyby większość ludzi, tak jak powinno się reagować, kiedy mąż po ćwierć wieku komunikuje nagle, że poznał kogoś innego; Ingrid przeszłaby pewnie wszystkie stadia żaloby i wypłynęła po drugiej stronie. W tym miejscu Hanne wyobrażała sobie, że z czasem się zaprzyjaźnią albo przynajmniej będą w stanie odnosić się do siebie w sposób cywilizowany, pokażą całemu światu, jak należy to robić, w jaki sposób radzić sobie z rozstaniem. Z jakże wspaniałą kobietą byłeś żonaty, powie Hanne Janowi po pierwszym oficjalnym spotkaniu z Ingrid.

Koleżanki jej powtarzały:

- On się nigdy nie rozwiedzie.
- Jeśli się zdecydujecie na dzieci, to on będzie emerytem, zanim maluch pójdzie do szkoły.
- Najnowsze badania dowodzą, że zaawansowany wiek ojca zwiększa ryzyko uszkodzenia płodu tak samo jak zaawansowany wiek matki.
- Co to za początek związku, jeśli masz się stać przyczyną rozwodu?
- Osiemdziesiąt procent wszystkich związków, które zaczynają się rozwodem, rozwodem się kończy.
- Jego dzieci będą cię nienawidzić.

W marcu, prawie półtora roku od pamiętnego koncertu w Månefisker, Hanne skumulowała już dość nadgodzin, by zrobić sobie co najmniej dwa tygodnie wolnego. Najnowsze wieści z frontu były takie, że Jan był zbyt związany ze swoją rodziną i nie mógł *zrobić im czegoś takiego*. Mówił jej to wcześniej już wiele razy, identycznie dobierając słowa, i tyle samo razy zaczynali wszystko od początku – tak właśnie minęła im ta druga zima.

Raz w miesiącu jadała niedzielny obiad u rodziców w Kjelsås. Jeśli wypadał on akurat

w niedzielę z Janem i esemesy od niego regularnie napływały do jej telefonu, wszystko było w porządku. Jeżeli natomiast zdarzała się niedziela bez Jana, potrafiła do późna leżeć na materacu w sypialni, patrząc na drobiny kurzu tańczące w białym zimowym świetle. W tę akurat niedzielę pod koniec marca, niedzielę bez Jana, gdy leżała, gapiąc się na kurz, zaczęła nagle myśleć o tych mikroskopijnych potworach, których powiększone zdjęcia można było zobaczyć w sieci: ślepe, pomarszczone, z trąbkami, istoty bytujące w pościeli, w materacu, prześcieradle i poszwie na kołdrę, których nie zmieniała, nie chcąc pozbywać się zapachu Jana. Ryzyko związane ze zmianą pościeli podejmowała tylko wtedy, gdy Jan był tuż za rogiem, lecz w tę niedzielę nie było go tuż za rogiem i wyglądało na to, że być może już nigdy się tam nie pojawi. Dlatego też leżała w nieświeżej pościeli, patrząc na kurz i przysłuchując się dźwiękom emitowanym przez telewizor sąsiadów, gadaniu komentatora sportowego. Widziała, jak drobinki kurzu opadają na podłogę i czuła, że chyba zaraz rozboli ją głowa. Poprzedniego wieczora wypila butelkę czerwonego wina, sama, przed telewizorem. Nawet to zaczęła już źle znosić.

Gdy wreszcie wstała i poszła do kuchni, zorientowała się, że nie ma już kawy. Zarzuciła puchową kurtkę na piżamę i zeszła na dół. Na dworze duło, lodowaty wiatr wzbijał w powietrze śmieci, niebo było białe. Wkrótce minie kolejna zima, a ona była rozbitkiem, była wrakiem wyrzuconym przez morze na jakiś brzeg, starszym o kolejny rok. Ruszyła w dół Tøyengata. Na chodniku leżały żwir i poczerniałe kupki topniejącego śniegu, spod których tu i ówdzie wyglądała stara psia kupa. O tej porze roku miasto było najpaskudniejsze, zbliżał się czas na kolejną przeprowadzkę. Mijała zaśmiecone i zagracone sklepiki, prowadzone przez imigrantów, obwieszane plakatami pełnymi błędów ortograficznych. Może tym razem powinna po prostu wynieść się z miasta. Stojąc przy wejściu do centrum handlowego Grønland Basar, uświadomiła sobie, że zapomniała cokolwiek zjeść. Zdarzało jej się to ostatnio dość często. Nudziło ją jedzenie, wpychanie sobie pożywienia do ust, żucie go i połykanie, to wszystko zajmowało zbyt wiele czasu. Ludzie potrafili tak histeryzować wokół tych wszystkich kwestii związanych z odżywianiem. A ona była w stanie przełknąć tylko kawę z mlekiem i cukrem. Spożywanie posiłków stało się dla niej czymś obcym i dziwnym, niczym żucie bawełny albo kamyków, dlatego też straciła na wadze. Spodnie od piżamy zsuwały jej się z bioder i musiała przystanąć przed sklepem z dziecięcymi wózkami, by je mocniej związać tasiemkami w pasie. Minęła restaurację Asylet, była tu kiedyś na firmowym spotkaniu opłatkowym. Pod mostem na Vaterland zebrały się gołębie i mewy, przed Stargate siedzieli ludzie pod lampami grzewczymi, paląc i pijąc. Dotarła do kawiarni Evita. Weszła, zamówiła potrójne cortado z pełnotłustym mlekiem, wsypała do niego cztery łyżeczki brązowego cukru i wyszła. Ruszyła z powrotem do domu z kubeczkim kawy w dłoni. Już tęskniła za łóżkiem. Czasami w wyjściu na dwór chodzi właśnie o to, by wypracować w sobie chęć powrotu do domu. Przechodząc obok okna wystawowego, dostrzegła w nim odbicie postaci o długich rozczochranych włosach, ubranej w za dużą puchową kurtkę, postać ta człapała zgarbiona przed siebie, trzymając w dłoniach kubeczek, do którego przechodnie mieli pewnie wrzucać pieniądze, i dopiero po kilku sekundach dotarło do niej, że patrzy na samą siebie, że ta żebraczka o skołtunionych włosach i chudych nogach to nie kto inny jak ona. Owszem, była żebraczką, która skrobała do drzwi, błagając, by ją wpuścić, ale gdy tylko weszła, pragnęła znów wyjść, znaleźć inne drzwi, do których mogłaby zaskrobać. Dlatego właśnie Jan był idealny, bo umożliwiał jej pozostanie żebraczką, wieczne skrobanie do jakichś drzwi.

Szła przed siebie, popijając kawę małymi łydkami. Gorący słodki płyn dobrze jej robił. Do pory obiadowej zdoła może wymyślić coś, co uda jej się przełknąć, jakieś nuggetsy z kurczaka w McDonald's albo befsztyk w Asylet, musiała się zastanowić. Befszyk to zresztą chyba przesada. Dopiero gdy wspięła się po wszystkich schodach i stanęła przed drzwiami, z trudem łapiąc oddech, przypomniała sobie, że ma w tę niedzielę zjeść obiad u rodziców, że musi w związku z tym niedługo wziąć prysznic i doprowadzić się do porządku, pójść na stację Jernbanetorget i wsiąść w tramwaj, który zawiezie ją do rodzinnego domu. Będą tam na nią czekać ludzie bezwzględnie i bezsprzecznie zgodni co do tego, jak należy wszystko robić, co w każdym dowolnym momencie wypada mówić i czuć – a konkretnie jej rodzice oraz brat i jego żona. Będą tam siedzieć, wymieniając oczywiste uwagi i traktując Hanne tak, jak zostało to ustalone pod jej nieobecność między członkami tajnego klubu o nazwie *Wszyscy oprócz Hanne*. Komentarze posypią się zwłaszcza w sytuacjach, kiedy Hanne będzie próbować przebić się z tematem bardziej kontrowersyjnym niż to, ile się ma kanałów telewizyjnych, który abonament sieci komórkowej jest najkorzystniejszy cenowo lub która z Wysp Kanaryjskich miała w styczniu najwięcej słonecznych dni. Jakby nie wystarczała już sama ta zimna, pełna psiego gówna niedziela, za zaledwie kilka godzin będzie tam siedzieć z tymi ludźmi, zirytowana faktem, że rozmowa wciąż przeskakuje z tematu na temat, nie zatrzymując się na niczym istotnym ani ciekawym. Za każdym razem, gdy Hanne próbowała poruszyć jakiś istotniejszy wątek, wchodząc im w słowo lub usiłując skupić na sobie ich uwagę, spoglądali po sobie i rzucali: „Jaka straszna sprawa” albo: „Widać, że bardzo cię to zajmuje”. Szczęrzyli się przy tym i wybuchali śmiechem, bo przecież nie mówili tego poważnie. Niczego nie mówili poważnie, a ona nie powinna tak brać wszystkiego do siebie. Gdy Hanne była młodsza, wyobrażała sobie czasem, że jest adoptowana. Że przyjadą jacyś podobni do niej ludzie i powiedzą: „Tu jesteś”. Ich istnienie będzie wyglądało tak samo jak jej: ciemne niebo z pojedynczymi jasnymi punktami, nie zaś jak u rodziców i brata Hanne: bezkresny jasny firmament o nielicznych ciemniejszych punktach. Jakim cudem była spokrewniona z tymi ludźmi, jak to możliwe, że ją spłodzili i że dorastała pod ich dachem, czemu była do nich tak niepodobna? W niczym przecież nie przypominała rodziców i starszego brata, z ich małżeństwami na całe życie, spokojem i dopasowaniem społecznym. Może było tak, że cały ten niepokój, który został im oszczędzony, zebrał się w jej ciele? Może była czymś w rodzaju skrzynki skupiającej w sobie ich napięcia? A może wszystko to sobie wmawiała, po prostu taka się urodziła, na skutek błędu, takiego samego jak wtedy, gdy ma się o jeden chromosom za dużo lub za mało, to się zdarza nawet w najlepszych rodzinach. Może faktycznie coś z nią było nie tak i to dlatego zawsze ciągnęło ją do sytuacji w najwyższym stopniu niewłaściwych, jak na przykład romans z żonatym mężczyzną, a nie mogła się odnaleźć w sytuacjach normalnych, takich jak w swoim czasie związek z Håvardem, i tylko szukała powodów, by z nich uciekać. A potem, gdy zakończenie takiej normalnej historii stawało się faktem, chciała do niej powrócić i w jakimś groteskowym sensie czerpała z całego tego bałaganu życiowe siły, jakby tylko to było w stanie pchać ją dalej do przodu.

A co jeśli jest tak, że to nie sytuacje zdarzają się nam, tylko my zdarzamy się sytuacjom, myślała, stojąc pod prysznicem. Co jeśli człowiek rodzi się z jakimś wdrukowanym wzorcem, który cały czas stara się realizować i dokonywać na jego podstawie wyborów, stojąc przed szwedzkim stołem życia i sięgając tylko po to, co pasuje do tego szablonu? Tworzymy w ten sposób rzeczywistość, którą i tak już w sobie nosimy. Przychodzimy na świat z już istniejącą

ideą i całe życie przeznaczamy na jej realizowanie.

Zakręciła wodę, wytarła się, zawinęła sobie ręcznik na głowie i nasmarowała ciało kremem nawilżającym. Następnie otworzyła szafkę nad umywalką i wyjęła z niej pudełeczko opatrzone czerwonym trójkątem ostrzegawczym. Bo tej zimy udało jej się znaleźć rozwiązanie problemu niedzielnych obiadów w Kjelsås, a rozwiązanie to polegało na tyknięciu przed wyjściem z domu tabletki na uspokojenie. Tabletki nazywały się Sobril. *Przed użyciem leku skonsultuj się z lekarzem*, głosił napis na pudełeczku. Nie pamiętała już, skąd je miała, ale jednej z poprzednich niedziel, kiedy musiała jechać do Kjelsås, a miała kaca i bała się tego spotkania jeszcze bardziej niż zazwyczaj, stanęła przed otwartą szafką w łazience i dostrzegła w niej pudełeczko z tym kuszącym trójkątem ostrzegawczym. W ulotce napisano, że biorąc lek, należy *ograniczyć spożycie alkoholu*, i dlatego za pierwszym razem połknęła tabletkę tylko po to, by mieć motywację do zaprzestania picia po jednym kieliszku wina, który zdaniem jej rodziców w zupełności wystarcza. Tymczasem odkryła z zaskoczeniem, że tabletką zrobiła z niej osobę *normalną*. Sobril sprawił, że była w stanie przespacerować się do Jernbanetorget i wsiąść w tramwaj jadący do Kjelsås bez tradycyjnej histerii, tradycyjnych kompulsywnych myśli, że oto jedzie na stracenie, mogła iść całkiem normalnie, stawiać stopę przed stopą, nie pozwalając, by *cokolwiek* wślizgnęło się do jej głowy i ją złamało. Lek sprawił ponadto, że była w stanie siedzieć przy stole ze swoimi najbliższymi krewnymi, nie wypijając więcej niż jeden kieliszek wina, umożliwił jej dokonanie tej cyrkowej sztuki, jaką było wypicie jednego kieliszka, nie zera kieliszków ani dziesięciu kieliszków – co zresztą przedziwnym zbiegiem okoliczności było dwoma stronami tej samej sprawy – ale jeden kieliszek, w porywach dwa, i tylko tyle. Bo do niedzielnego obiadu należało pić wino, ważne było, by pozwolić sobie na trochę przyjemności i cieszyć się życiem, lecz jednocześnie nie należało wypijać więcej niż jeden kieliszek, najwyżej dwa. Kiedy, jeśli w ogóle, nalewano ten drugi kieliszek, znaczyło to zawsze, że w tę akurat niedzielę wszyscy cieszą się życiem trochę bardziej niż zazwyczaj, dlatego pozwalają sobie na więcej wina, wokół stołu rozlegały się pomruki pobłażliwego rozbawienia, sugerujące, że wszystkim tu odbiło, a jej brat i bratowa przekomarzali się, które z nich usiądzie za kółkiem.

Hanne przez pewien czas zachowywała zupełną abstynencję i wtedy patrzyli na nią z tym samym wyrazem twarzy co w chwilach, gdy piła zbyt wiele, pochylała się nad stołem, wkładając łokcie do sosu, i krzykliwie z nimi dyskutowała, bo niewłaściwa była każda skrajność; to przesada ich raziła, przesada w tę czy inną stronę. Jej zachowanie w okresie, kiedy kręciła głową i zasłaniała dłonią kieliszek, gdy ojciec chciał nalać jej wina, budziło tyle samo zażenowania i irytacji co wtedy, gdy chwytała za butelkę i nalewała sobie drugi, trzeci, a nawet czwarty kieliszek, aż w końcu ojciec musiał iść po karton zachomikowany na czarną godzinę, by pozostali też mogli się napić.

Hanne siedziała w tramwaju i czuła, jak rozkoszne, wywołane przez sobril odrętwienie dociera do palców jej dłoni i stóp. Tramwaj stał, czekając na zielone światło na skrzyżowaniu Storo, mimo stosunkowo późnej godziny było jeszcze widno. Nadchodziła wiosna, szósta pora roku w *czasie z Janem*. Szósta pora roku pełna tajemnic i krycia się po kątach. W tym właśnie momencie nie byli razem, ale wkrótce wszystko zacznie się na nowo, wkrótce Jan wyśle jej esemesa, a ona nie będzie w stanie się powstrzymać i mu odpisze. Mogłaby zadzwonić do Ingrid, opowiedzieć jej, co też od roku wyprawia jej mąż. I wtedy coś się wydarzy, tyle tylko, że nie była w stanie przewidzieć co. Ale Hanne nie bała się już sytuacji, których rezultatów nie była w stanie przewidzieć, nad którymi nie miała kontroli. Wręcz przeciwnie. Wszystko było lepsze

od tego, co działo się teraz.

Hanne wiedziała, że to sobril uspokoił jej mózg na tyle, że miał odwagę podsuwać jej takie myśli. W stanie pełnej trzeźwości umysłu powstrzymałaby je, bo wiedziała, do jakiego prowadzą wniosku: powinna przestać odpowiadać na jego wiadomości, nawet te najbardziej niewinne, poinformować go, chłodno i spokojnie, że jeśli nie będzie się od niej trzymał z daleka, to ona zadzwoni do Ingrid, odejdzie z pracy, zdetonuje wszystkie możliwe bomby. Wtedy prawda ujrzałaby światło dzienne, wtedy wyszłoby na jaw, czego on naprawdę chce, kogo wybiera. Sobril szeptał: za niecałe pięć lat przekroczyć czterdziestkę. Muszę go zmusić, by dokonał wyboru, i nauczyć się z tym wyborem żyć. To ostatnie zdanie brzmiało jak żywcem wyjęte z jednego z wielu poradników, które przeczytała, bo z sobrilem w krwiobiegu zmieniała się w osobę potrafiącą myśleć oraz działać logicznie i racjonalnie. Kac także gdzieś się rozmył, razem z szumiącymi myślami i wewnętrznymi dyskusjami, które zdawały się same siebie napędzać. W jej głowie panowały cisza i spokój, nic jej nie bolało, nic nie męczyło i pomyślała: wszystko się ułoży.

Odwiedzając rodziców, Hanne odwiedzała jednocześnie dom, w którym spędziła całe swoje dzieciństwo: malowany na czerwono szeregowiec, w którym nic się nie zmieniło, na ścianach jej starego pokoju na piętrze wciąż wisiały plakaty z Björk i Nirvaną. Unosił się tam nadal słaby zapach kadzidełka, na łóżku zaś siedziała stara wytarta żabka przytulanka, wpatrując się przed siebie pustym wzrokiem. Rodzice Hanne mogli rzecz jasna przerobić ten pokój na siłownię czy gabinet, tak postąpiłaby większość ludzi, ale nie oni, myślała Hanne, siedząc w tramwaju. Czowała, że jest łagodna, potulna, zdolna wysiedzieć przy stole ze swoimi najbliższymi, gruchając na neutralne tematy bez konieczności rozpoczynania bezsensownych dyskusji w bezsensownych kwestiach, bo dopiero teraz była w stanie dostrzec brak sensu we wszystkim, co robi. Sobril jej w tym pomagał, pokazywał bezcelowość wszystkich wysiłków i całej przesady, z którą żyła; teraz po prostu tu siedziała, kołysząc się łagodnie na falach istnienia, żyjąc w tym miejscu i w tej chwili. To takie łatwe, musiała o tym pamiętać, próbować czuć się tak cały czas, może był na to jakiś sposób, może dałaby radę osiągnąć permanentny stan sobrilowego spokoju na drodze medytacji, odnaleźć życie bez ostrych krawędzi.

Tramwaj się zatrzymał, ona zaś ruszyła przed siebie pustymi drogami dzielnicy willowej, które, bez zbawionego działania sobrilu, wydałyby się jej kpina, ewentualnie zaczęłyby sobie wyobrażać, że za jednym z ciemnych okien stoi jakaś postać, która mierzy do niej z karabinu. Jej wiecznie spięty, przeciążony mózg na pewno by wymyślił coś, czym mogłaby się zadręczać, i już przepełniałby ją dziki bunt, połączenie kaca po czerwonym winie z lękiem przed najbliższą przyszłością. Ale teraz była całkiem spokojna, drogi w dzielnicy willowej były zwykłymi drogami, nie zaś kulisami dla wydarzeń z przeszłości, ze starymi traumatycznymi wspomnieniami za każdym zakrętem.

Rozbudowa domu, kupno chaty za miastem, wymiana auta, zmiana pracy, kredyty, remonty, o takich rzeczach rozmawiali przy stole. Mówili o tym, jaki telefon najlepiej kupić, z jakim abonamentem, o dostawcach energii elektrycznej, o tym, kto ile czasu spędza na Facebooku, w którym sklepie najtaniej wychodzą zakupy spożywcze, jakiego rodzaju ćwiczenia fizyczne przynoszą najlepsze efekty. Hanne siedziała spokojnie, wsłuchana w szum rozmowy, pozwalając się unosić jej falom. Czy wszyscy inni czuli się w ten sposób cały czas?

– Wydajesz się taka zadowolona. Zdarzyło ci się coś miłego?

Hanne uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

– Cieszę się po prostu na myśl o wiosnie.

Wzniesli toast za wiosnę. A właściwie czemu by nie, pomyślała Hanne swoim otumanionym lekami mózgiem, czemu nie wznosić toastów za wiosnę, nie rozmawiać o kwestiach praktycznych, z nich przecież składa się życie, niedługo umrzemy, więc czemu nie mówić o stanowiących esencję istnienia rzeczach przyziemnych? Cóż innego nam pozostaje?

Bratowa opowiedziała jakąś historyjkę, którą opowiadała już wcześniej sto razy, i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Hanne również. Śmiały się nawet dwie jej bratanice, piętnastoletnie bliźniaczki. Zdaje się, że chodziło tu właśnie o to, że wszyscy słyszeli tę historyjkę już wiele razy, tak jakby powtórzenie stanowiło jakiś sposób uświęcenia samego siebie, rytuał zbliżony do śpiewania hymnu na uroczystościach państwowych.

A właściwie czemu by nie, pomyślała znów Hanne, tak czy inaczej wszystko to tylko powtórzenia, dublem jest każdy kolejny dzień, życie to jeden wielki replay, wszystkie doby są identyczne, rok za rokiem, do ostatniego oddechu towarzyszą nam rytuały i powtórki. Nagle ujrzała samą siebie z ich perspektywy: awanturka, zapijaczka histeryczka i kłótniowa baba, oto kim była, a chciała przecież być kimś od nich lepszym, bardziej wysublimowanym, mniej powierzchownym, inteligentniejszym. Lecz jak nazwać kochankę żonatego mężczyzny, mieszkającą samotnie w centrum, w piętnastym lub szesnastym z kolei mieszkaniu, niemogącą sobie nigdzie znaleźć miejsca? Niedługo będzie kobietą w wieku średnim i wszyscy inni wyprowadzą się za miasto, wszyscy oprócz niej, która utknęła w czarnym kotle Oslo i żyje pośród cieni.

– Hanne – powiedziała matka, odkładając sztucce – chcielibyśmy z tatą o coś cię zapytać. Doszliśmy do wniosku, że byłoby bardzo miło, gdybyśmy mogły pojechać na wycieczkę. Tylko ty i ja, taką zorganizowaną wycieczkę, objazdówkę po Prowansji. Dziesięć dni w maju. My oczywiście za wszystko byśmy zapłacili, musiałabyś tylko załatwić sobie urlop. Świetny pomysł, prawda?

– Nie mam czasu – odrzekła Hanne bez namysłu. – Muszę pracować.

– Ależ pracujesz przecież cały czas. W święta też siedziałaś w pracy, prawie się nie widzieliśmy. A tydzień w południowej Francji dobrze by ci zrobił, jesteś taka blada. Dobrze się odżywasz? To bardzo ważne, by sobie gotować porządne posiłki, nawet kiedy człowiek mieszka sam.

Starszy brat powiedział:

– Uprawiasz jakiś sport?

Żona starszego brata powiedziała:

– Zaczęłam ostatnio chodzić na jogę. Polecam z całego serca.

Matka powiedziała:

– Robiłaś badania krwi? Może brakuje ci jakichś witamin?

Ojciec powiedział:

– Hanne, nie mogłabyś jechać z mamą na tę wycieczkę? Trochę słońca naprawdę bardzo ci się przyda, poza tym pomyśl o tym ich pysznym jedzeniu. Za wszystko płacimy. Weź tylko

urlop.

Hanna powiedziała, że się zastanowi.

Ale wieczorem, w domu na Tøyengata, już o tym nie pamiętała. Sobril przestał działać, zbliżał się poniedziałek, nowy tydzień, z nową nadzieją. W weekendy nie było jej wolno kontaktować się z Janem *pod żadnym pozorem*, bo którejś soboty zostawił komórkę na wierzchu i Ingrid o mały włos nie zobaczyła jednego z jej esemesów.

Hanne rozważała, co na siebie włożyć następnego dnia, czy postawić na maksymalizm, czy minimalizm. Dżinsy i adidas czy sukienka i kozaczki, co zrobi większe wrażenie, co bardziej go ucieszy, co go bardziej zrani – wszystko w zależności od tego, na jakim etapie właśnie byli. Gdy już zebrała wszystkie swoje ubrania w wielkim stosie na łóżku i nadal nie była w stanie się zdecydować, zrobiła coś, czego obiecała sobie nie robić nigdy przed snem: zalogowała się do sieci i sprawdziła jego terminarz. Szukała zebrań pod koniec dnia albo *spotkań prywatnych* lub, co gorsza, *prywatnego lunchu*. Ale niczego nie znalazła. Terminarz był zupełnie pusty. A to dość podejrzane, stwierdziła Hanne.

Zapisał jej telefon. Esemes od matki. *Zdecydowałaś się? Pojedziesz ze mną?*

Hanne wyjrzała przez okno, zaczął padać śnieg, a raczej wczesnowiosenny nieokreślony śnieżno-deszczowy opad i zanim zdążyła się zastanowić, odpisała: *Tak, dziękuję, chętnie z Tobą pojadę! Zaczęła żałować, gdy tylko wysłała wiadomość.*

W ciągu tych pozostałych do wyjazdu pięciu tygodni związek z Janem wybuchł na nowo, tylko po to, by znów zostać zerwany – dwukrotnie. Raz zerwał on, drugi raz natomiast ona. *Nie mam już na to siły*, napisała po prostu w jednym krótkim esemesie po tym, jak nie odzywał się do niej przez kilka dni, a ona widywała go tylko przelotnie na korytarzu w pracy. Było to ostatniego wieczora przed wyjazdem do Prowansji i wysyłając tę wiadomość, Hanne uświadomiła sobie, że tak naprawdę nie ma już siły na pisanie kolejnych wiadomości o tym, że nie ma siły.

Siedziała tego wieczora na szerokim parapecie, przeglądając całą ich niemal półtoraroczną esemesową historię, i uderzyło ją, jak bardzo podobne do siebie są te wszystkie wiadomości i w jakim stopniu się powtarzają. Na tej podstawie, wysyłając esemesa „Nie mam już na to siły”, mogła z dużą dokładnością przewidzieć odpowiedź Jana, i faktycznie, przyszła ona po pięciu zaledwie minutach, niemal identyczna jak ta, którą przesłał jej w tym samym stadium przed kilkoma tygodniami. *Daj mi czas. Błagam Cię, daj mi czas.* I znów byli w tym samym miejscu, w koleinach tych samych słów, które sobie wytyczyli. Może o to w tym wszystkim chodziło: by móc się z kimś tak obchodzić, zachowywać się w ten sposób, używać takiego języka. *Półtora roku powinno wystarczyć na podjęcie decyzji*, odpisała Hanne i nacisnęła klawisz „wyślij”. Wyłączyła dźwięk w komórce, odłożyła ją na stolik nocny i zgasła światło. Dwie godziny później nadal nie spała, a telefon wciąż milczał. Poszła do łazienki, by wziąć tabletkę sobrilu, kolejny grzech śmiertelny – bo obiecała sobie, że nie będzie brać więcej niż jedną na miesiąc – ale to był stan wyjątkowy, musiała się jakoś ratować. Lecz pudełeczko było puste.

Następnego ranka znalazła się na tylnym siedzeniu golfu swoich rodziców. Pół godziny wcześniej do małej walizki na kółkach wrzuciła kilka sukienek i parę sandałów, wypita kawę i zeszła po schodach. Nie była głodna. Czowała się natomiast spragniona. Nie wody, lecz alkoholu,

a pragnienie to nie zelżało, gdy zobaczyła przyjeżdżających po nią rodziców, oboje z przerażonym wyrazem twarzy, z jakim zawsze wychodzili jej na spotkanie, jakby rozważali: co ona znów wymyśli. Hanne miała ochotę zawrócić, wspiąć się po schodach i odwołać całą wycieczkę. Ale wzięła się w garść i usiadła na tylnym siedzeniu. Tak, pewnie nie możecie się już doczekać słońca, sprawdzałaś prognozy pogody, do tego to pyszne francuskie jedzenie, musisz się opiekować mamą, opiekujcie się sobą nawzajem, mam nadzieję, że poznacie w autokarze kogoś miłego, pilotka ma bardzo dobre opinie. Hanne słuchała całej tej paplaniny. Jak zwykle czuła się jak Wielki Zły Wilk, rodzice zaś byli małymi świnkami. Wilk siedział teraz z tyłu, wielki, czarny i zły, a małe różowe świnki pochrząkiwały i podśpiewywały na przednich siedzeniach. Tkwiła tam z dłonią zaciśniętą na komórce, czekając na znak życia od żonatego mężczyzny. Wpatrywała się w ręce rodziców, splecione w okolicy dźwigni zmiany biegów, i walczyła z pokusą wyjęcia telefonu i napisania: „Wcale tak nie myślę. Mogę tak żyć, tylko mnie nie zostawiaj”.

– Kupiłam krem do opalania w aptece – powiedziała matka, odwracając się do niej. – I przewodnik. Ten region ma taką ciekawą historię, był kiedyś częścią cesarstwa rzymskiego, wiedziałas o tym?

– Och – powiedziała Hanne. – Fascynujące.

Podniosła głos o kilka oktaw, starając się nie myśleć o sobie jako o wilku. Przecież to nie jest wina małych świnek, że do ich gniazda trafił drapieźnik.

– Ach, nie mogę się już doczekać! – Matka klasnęła w ręce, a dźwięk ten uderzył w system nerwowy Hanne niczym zrzucona z dachu cegła.

Ojciec wysadził je na lotnisku Gardermoen, gdzie wtoczyły swoje walizki do hali odlotów. W umówionym miejscu zbiórki czekała już reszta wycieczki, wszyscy w wieku sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu kilku lat. Małżeństwa stały blisko siebie, rozglądając się dokoła. Przypominały parki starych wyliniałych ptaków. Czy Hanne i Jan też będą tak stać obok siebie za jakieś dwadzieścia czy trzydzieści lat? Za trzy dekady Jan przekroczy już osiemdziesiątkę, nie wiadomo, czy w ogóle doczeka takiego wieku. Może Hanne trafi raczej do grupki starszych kobiet, które gadały jak najęte, co chwila wybuchając śmiechem, a może będzie pilotką wycieczki, może zajmie miejsce pośrodku tego zgromadzenia i zacznie do wszystkich przemawiać, z długimi włosami i w słomkowym kapeluszu na głowie, z wyrazem nieustającego zachwytu na twarzy.

Gdy Hanne była mała, wierzyła, iż starzy ludzie sami decydują, że będą starzy. Mogli wybierać pomiędzy byciem starym a byciem młodym i wybrali to pierwsze. Wszystkie te białowłose przygarbione istoty drepczące chodnikami były w jej oczach *zwolennikami starości*. Gdzieś w głębi duszy nadal w to wierzyła i nie zmieni się to pewnie do chwili, gdy jej własna starość przetoczy się po niej niczym walec drogowy, a ona nie będzie miała w tej sprawie nic do powiedzenia, podobnie jak nie miał szans wypowiedzieć w tej kwestii swego zdania nikt wokół niej.

Mężczyźni się na nią gapili tak, jak człowiek się gapi na jaskrawoczerwony parasol pośrodku szarej ulicy. Gdy odwzajemniała ich spojrzenia, spuszczała wzrok albo szybko go odwracała. Jak długo jeszcze będzie mogła się cieszyć tego typu zainteresowaniem? Niedługo. Wkrótce stanie się niewidzialna, jak zebrane nieopodal kobiety. Może ona też będzie stać w takiej grupce

i śmiać się, uderzając otwartą dłonią w udo. Może to się okaże jakimś rodzajem wyzwolenia i ulgi. Niczym zrzućcie z barków ciężkiego brzemienia.

Dlaczego tu stała, czemu miała gdzieś jechać z tymi osobami? To przecież nie miało sensu. Nie była stara. Powinna raczej przyłączyć się do grupki młodych ludzi taszczących ciężkie plecaki do odprawy bagażowej wśród śmiechów i żartów; pewnie ruszali właśnie w podróż dookoła świata. Hanne powinna im towarzyszyć, więc co robiła tutaj? Ale w tej samej chwili uświadomiła sobie, że każdy z taszczących plecak młodych ludzi był od niej co najmniej o dziesięć, może nawet piętnaście lat młodszy. Mogłaby być matką kogoś z nich, nie stanowiłoby to żadnej medycznej sensacji, piętnastolatki rodzą przecież dzieci. Tuż obok przechodziła rodzina, która też ruszała w jakąś podróż, mogła się przynajmniej uznać za równolatkę tamtych młodych rodziców. Ale do nikogo nie pasowała, stała tu obok swojej matki niczym jakaś dama do towarzystwa, niedługo naprawdę będzie musiała napić się piwa. Picie piwa o poranku na Gardermoen to żaden grzech, wielu ludzi tak robi i to wcale nie znaczy, że ma się problem z alkoholem.

Po odprawie usiadły w kawiarni.

– Naprawdę jesteś w stanie pić tak wcześnie? – zapytała matka, gdy Hanne podeszła do stolika z tacą.

– Tak. Przecież jesteśmy na wycieczce. Na zdrowie!

Matka potrząsnęła głową, ale uniosła swoją filiżankę z kawą.

Dopiero po opróżnieniu pokąła Hanne zdołała wytrzymać całe trzy minuty bez wyjmowania komórki z kieszeni. Trzy dobre spokojne minuty, w ciągu których towarzyszyło jej poczucie, że odzyskała swoje życie.

Cieszyła się na podróż samolotem, na konieczność wyłączenia telefonu, lecz przede wszystkim na ponowne włączenie go po wylądowaniu.

W samolocie kupiła sobie białe wino, czerwone wino oraz koniak.

– Nie pojmuję, jak możesz pić tak wcześnie – powiedziała matka.

– A ja nie pojmuję, jak ty możesz być trzeźwa. Pomyśl, co będzie, jeśli ktoś umieścił w luku bagażowym bombę i zaraz rozsadzi nas na miliard małych kawałków. Chciałabyś być trzeźwa w takiej chwili?

Matka westchnęła i pokręciła głową.

Gdy wylądowali, telefon nadal milczał i nie wyświetlał nowych wiadomości. Wyłączyła go i włączyła na powrót, ale na wyświetlaczu widać było tylko odbicie jej własnej twarzy, wykrzywionej w wyrazie konsternacji.

Pierwszą noc spędziła bezsennie. Hanne i jej matka dzieliły pokój w hotelu w Nicei, spały w tym samym łóżku, łóżko było za wąskie, a Hanne wypięła za dużo, było za gorąco. Leżała na boku, cała zeszywniała, starając się na niczym nie skupiać, a zwłaszcza omijać myślami różne wydarzenia ostatniego okresu, prowadzące do jednej nieuniknionej konkluzji.

Jak ma żyć po tym wszystkim, kiedy wróci do domu, jak się powinno żyć, co ona właściwie robiła przedtem? Nocami zapominała, jak przyspieszać upływ czasu. A miała przecież jakieś życie przed Janem, gdy myślała o nim tylko jako o swoim nowym szefie, wysokim i chudym pięćdziesięciolatku, który zlewał jej się z innymi pięćdziesięciolatkami, oni wszyscy mieli swój

charakterystyczny sposób mówienia i można było poflirtować z nimi w chwilach nudy. Jak to się stało, że jeden z tych ludzi zdołał doprowadzić ją do takiego upodlenia, że tamta noc po bożonarodzeniowym koncercie rozrosła się do takich rozmiarów? Miała jakieś życie przed Janem, musiało zatem również istnieć życie po Janie. Mimo to nie była w stanie sobie wyobrazić, że ma kiedykolwiek jeszcze pójść do pracy. Ale, z drugiej strony, nie była sobie także w stanie wyobrazić siedzenia w domu. Nie była sobie już w stanie wyobrazić niczego.

Jadły śniadanie. Matka odgryzła kawałek bagietki i wyrzała przez okno.

– Zobacz, jaka dziś piękna pogoda.

– Tak, to niewiarygodne. Mamy prawdziwe szczęście, nie zawsze jest tu tak ładnie o tej porze roku.

– Pamiętasz, co mamy dzisiaj w planie wycieczki?

– Jedziemy do fabryki perfum – odrzekła Hanne, zerkając w papiery, które dostały na spotkaniu powitalnym. – Do Grasse.

– Co? – zapytała matka, która na starość zaczęła niedosłyszeć.

– JEDZIEMY DO GRASSE – powtórzyła Hanne głośno i wszyscy odwrócili się w jej stronę, przestraszeni, bo zabrzmiało to, jakby mówiła coś na temat innych RAS. Hanne odwzajemniła zdziwione spojrzenia.

– Jedziemy dziś do *Grasse*, nieprawdaż? – zapytała wyraźnie, na co wszyscy z ulgą pokiwali głowami.

Hanne była traktowana z sympatią, bo podróżowała ze swoją matką, zwróciła na to uwagę już na Gardermoen, i grzała się w tym ciepelku zadowolona, że ma u innych opinię osoby dobrej, serdecznej i opiekuńczej, nie zaś kobiety pragnącej rozedrzeć na strzępy czyjaś rodzinę.

– Tak, mamo, jedziemy do Grasse. Nie mogę się doczekać tej fabryki perfum. Nigdy wcześniej nie byłam w podobnym miejscu. To fascynujące.

Hanne z trudem była w stanie wyobrazić sobie coś mniej interesującego niż fabryka perfum, nie sądziła także, by cokolwiek na tej wycieczce zdołało ją w jakikolwiek sposób zainteresować, rzecz jasna poza winem, które będzie musiała pić, by wytrzymać wszystkie te mało ciekawe rzeczy. Będzie mogła zacząć już niedługo, dostaną wino do lunchu, tak było napisane w broszurze. Musiała tylko znieść te najbliższe kilka godzin, wytrzymać niezobowiązującą pogawędkę, fabrykę perfum i widok starszych ludzi wsiadających do autokaru i z niego wysiadających.

Małżeństwa, rzecz jasna, siedziały w autokarze obok siebie, podobnie jak w restauracji, a matka Hanne przy każdej możliwej okazji mówiła coś, co jasno sugerowało, że także ona ma w domu męża, który zawsze robi to i to, a ona wtedy mu mówi to i tamto. Matka się na tym koncentrowała, a Hanne w tym czasie piła wino, tyle, ile była w stanie w siebie wlać, bo po zwiedzaniu fabryki perfum zawieziono ich do Grasse na lunch.

Na stół wjechała przystawka, niewielka porcja pasztetu, którą Hanne połknęła w dwóch kęsach, podczas gdy pozostali wycieczkowicze robili zdjęcia jedzeniu, a potem spożywali je powoli i z namaszczeniem. Hanne patrzyła na przeżuwające usta, słuchała towarzyszących temu odgłosów. Może jedzenie mogłoby stać się jej nową pasją, dzięki której jej życie nabierze sensu głębszego niż tylko siedzenie w oczekiwaniu na wiadomość, na bodziec, niczym szczur w jakimś

eksperymentem.

Dopiero po osiągnięciu odpowiedniego stopnia upojenia alkoholowego była w stanie się rozluźnić i prowadzić normalną rozmowę. Po dłuższej chwili przeszła do kolejnego etapu, polegającego na postawieniu sobie pytania, czy ten mężczyzna, za którym tak biegła, od którego tak bardzo czekała na znak życia, czy ten związek i te ewentualne cięższe – oraz życie rodzinne, stanowiące ukoronowanie tej harówki – były koniec końców faktycznie tak bardzo pożądane.

A może to tylko jakaś szarlataneria, może to wszystko było wielkim kłamstwem, na które wszyscy się nabierali, może powinna zerwać z nim kontakt raz na zawsze i z tego wszystkiego zrezygnować? I to nie z myślą, że on zaraz do niej przybiegnie, tylko zrezygnować naprawdę. Bo czy gdyby Jan był samotny, już po rozwodzie, gdyby mieszkał w przygnębiającym małym mieszkanku zupełnie sam, w pełni dla niej dostępny, gdyby do tego wszystkiego nie piastował wyższego stanowiska, lecz wciąż przebywał na tym samym co ona szczyśle kariery – czy byłby dla niej wtedy równie atrakcyjny?

Co jeśli najważniejsze było zwycięstwo nad całą rodziną, jeżeli to o to tu właśnie chodziło? O bycie tą wybraną, kosztem innych. To jedna z tych rzeczy, które w głębi duszy się podejrzewa, myślała Hanne, żeglując na promilowym obłoku, ale których się z oburzeniem wypiera w oficjalnych dyskusjach.

Wokół niej toczyła się rozmowa. Podzwanianie kieliszków, skrobanie sztućców o talerze, gruchanie gołębi, warkot skuterów, szczekanie psów, zapach jedzenia, lawendy i pinii – wszystkie te doznania zmysłowe sprawiły, że Hanne wpadła w trans i w jej głowie pojawiła się wizja: ujrzała samą siebie za wiele lat, chudą postać w kuchni, z kotem na kolanach, wpatrzoną w krople deszczu spływające po szybie okna z widokiem na tyły kamienicy, gdzie rosło drzewo o nagich gałęziach. Czemu *skończenie w samotności* było czymś tak strasznym, dlaczego wszyscy tak się tego bali, przecież mąż mógł umrzeć, wszystko mogło się zdarzyć, wdowy na tej wycieczce – Hanne porozmawiała chwilę w samolocie z dwiema z nich – były zamężne przez lata, a teraz też zostały same.

– Wiesz przecież, co i z kim najchętniej bym robił – powiedział jej Jan, gdy ostatnio byli razem. – Gdybym tylko mógł wybierać.

– Chcę tylko, żebyś dawał mi znaki życia, żebym wiedziała, że nadal tam jesteś – odparła wtedy Hanne, ale w tej samej chwili pożałowała tych słów, bo ten komentarz rujnował jej wizerunek niezależnej młodej kobiety, wizerunek, którego odbudowanie mogło kosztować naprawdę dużo czasu.

Parę dni później Hanne leżała w szlafroku, oglądając telewizję w hotelu przy pałacu papieskim w Awinionie, gdy nagle rozbrzmiał wyświetlacz leżącej na stoliku nocnym komórki.

Tesknienie za tobą! Co słychać u hiszpanów? Uno servesa per favour!

Ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że nie ma ochoty odpisywać. Nie tylko dlatego, że Jan mylnie sądził, iż ona jest w Hiszpanii i że na dodatek jakimś cudem zdołał zrobić błąd w każdym z hiszpańskich słów, chodziło raczej o to, że jego zdaniem byli na etapie związku pozwalającym na wysłanie takiej niezobowiązującej wiadomości, kleconej zapewne naprędce w tramwaju. Zapomniał, że jej ostatni eśemes zawierał ultimatum. Przypomniał sobie, że dawno nie miał od niej znaku życia i w tej samej chwili zaczął pisać wiadomość. Mógł robić, co mu się żywnie

podobało, bo jego życie było takie pełne, brakowało w nim miejsca na zamartwianie się, brakowało miejsca na popadanie w obłęd.

Po dwóch minutach nadszedł kolejny esemes:

Gdzie jesteś? Co robicie? Tesknie za toba! Odpowiedz!

Odpowiedz! Hanne nigdy nie pozwoliłaby sobie na napisanie czegoś takiego. Wstukała wiadomość: *U mnie świetnie. Wspaniała wycieczka. Dużo zwiedzania. Dziś byliśmy w Roussillon, pięknej małej wiosce. Powinieneś tu kiedyś przyjechać. Uściski.*

Bezosobowy, pełen dystansu ton tego esemesa był naprawdę okrutny, a finalny, zabójczy cios stanowiła liczba pojedyncza w ostatnim zdaniu. Nie *powinniśmy*, a *powinieneś*. Bo *my* jesteśmy teraz przyjaciółmi, pomyślała Hanne. A przyjaciele przesyłają sobie takie rekomendacje. I uściski, nie całusy.

Na odpowiedź musiała czekać zaledwie kilka sekund:

Czy wszystko w porządku?

Po czternastu minutach i dwudziestu sześciu sekundach wysłała odpowiedź następującą:

Tak.....? o co ci chodzi?

Trochę się zastanawiała, ile kropek wstukać po słowie „Tak”. Na pewno nie chciała, by było ich trzy, jak wymagały zasady interpunkcji, już lepiej dwie albo siedem, na którą to liczbę ostatecznie się zdecydowała, dla dodatkowego efektu robiąc literówkę w słowie „chodzi”. Zupełnie jakby siedziała w ciemnej restauracji, w towarzystwie grupy ludzi, gdzie komórka tylko niepotrzebnie ją rozprasza, nie zaś samotnie, w hotelowym pokoju, z pilotem w jednej i plastikowym kubeczkiem wina w drugiej ręce, zerkając jednym okiem na telewizor, w którym leciał jakiś stary film z Arnoldem Schwarzeneggerem. Matka wyszła do restauracji w towarzystwie jednej z par małżeńskich, zapytała Hanne, czy ma ochotę im towarzyszyć, ale ona powiedziała, że boli ją głowa.

Komórka znów zawarczała.

Wiem, że nie jest Ci łatwo. Przykro mi, że tak to wygląda.

Nie odpowiedziała. Leżała na łóżku w hotelowym pokoju, oglądała telewizję i piła wino. Było jej dobrze. Nie miała ochoty odpisywać na esemesy, nie chciała też wyrzucić komórki za okno ani spuścić jej w toalecie, tak jak wiele razy wcześniej, bo Jan był tylko jednym z wielu, bardzo wielu mężczyzn w jej życiu. Widziała już niemal, jak Jan miesza się ze wszystkimi ludźmi z jej przeszłości, a następnie zmienia się w opowieść: „Wtedy, gdy spotykałam się z żonatym facetem”.

Następnego dnia pojechała z resztą wycieczki do rzymskiego akweduktu. Szli jego szczytem gęsiego. Pilotka opowiadała, że akwedukt pochodzi z czasów przed Chrystusem, a Hanne patrzyła na porośnięte mchem kamienne bloki, oszlifowane przez dwa tysiąclecia deszczów i wiatrów.

Potem jedli lunch w średniowiecznym miasteczku, na placu z dużą fontanną, a Hanne patrzyła na stare krzywe domki i gładkie kamienie brukowe, rozmyślając o wszystkich pokoleniach, które tu kiedyś żyły, a o których nikt już nie wiedział, o tym, że wkrótce i ona sama oraz wszyscy inni, którzy siedzieli w tej restauracji na tym placu, rozmawiając, jedząc i pijąc, zmienią się w kogoś,

o kim nie będzie już wiedział nikt z żyjących.

W autokarze zauważyła, że od kilku godzin nie sprawdzała komórki. Przez całą drogę powrotną do Awinionu wyobrażała sobie, że każda minuta esemesowej ciszy jest jak woda w rozlewisku za zaporą i z każdą minutą, w której komórka leżała w torebce, rozlewisko to stawało się coraz większe. W końcu zapora pęknie, zalewając cały ten związek, topiąc go raz na zawsze, by mogła stać się wreszcie wolna i dalej żyć.

Następnego dnia wstali wcześniej, wymeldowali się z hotelu i wsiedli w autokar, który zawiózł ich na zwiedzanie katedry. Hanne spacerowała po świątyni sama, z dala od grupy, weszła do jednej z bocznych naw, w której, pod rzeźbą Matki Boskiej, stały rzędy płonących świec. Przechodziły obok niej starsze kobiety, żegnając się i zapalając nowe świeczki po uprzednim wrzuceniu monety do specjalnej skrzynki. Hanne wrzuciła do niej dwa euro, zapaliła świeczkę i odmówiła cichą modlitwę o spokój ducha, nieważne w jakiej formie. Wypuść mnie z tego więzienia. Ześlij mi spokój ducha, prosiła. Błagam cię, dobry Boże.

Znów zjedli lunch, znów wsiedli do autokaru, a Hanne, kierowana impulsem, zajęła miejsce obok matki. Nieco podpita po lunchu, ujęła ją za rękę. Przysunęła się do niej i uściśnęła jej dłoń, ale jej uścisk był zbyt mocny. Matka odchrząknęła, zmieniając pozycję na siedzeniu, a Hanne pojęła, że znów przesadziła, że znów zniosło ją ze środka drogi i zarzuciło do rowu. Matka ostrożnie uwolniła dłoń i pogładziła ją po ramieniu.

– Coś się stało?

– Nie.

– Powiedz mi, proszę, jeśli coś jest nie tak.

– Dobrze.

Następnego dnia jedli lunch w ogrodach klasztoru, gdzie Hanne wylądowała przy jednym stole z wdowami. Wdowy powiedziały jej, że mieszkają w tej samej dzielnicy. Jedna z nich oświadczyła:

– My, dziewczyny, musimy trzymać się razem. Jak któraś zachoruje, to jej pomagamy, robimy zakupy i myjemy podłogi. I żadnej z nas nie wolno się nad sobą użalać. Bo wtedy wkraczamy do akcji i zmuszamy taką smutaskę do wyjścia z domu, nie ma co się dołować. Dbamy o siebie nawzajem. Musimy. Nasze dzieci mają własne sprawy, a nowych mężów nie chcemy. Żadna z nas się nie pisze na bycie pielęgniarką dla jakiegoś staruszka z balkonikiem. A na mężczyzn w naszym wieku i tak nie mamy szans. Bo *oni* szukają kogoś w twoim wieku.

Ich mężowie padli nagle martwi przy obiedzie lub zwiędli powoli na raka, albo też przenieśli się do domu opieki i już ich nie poznawali. A mimo to wdowy siedziały tam, śmiejąc się i żartując, szczerze zainteresowane każdym miejscem, przy którym stawał autokar, czy to fabryką perfum, czy katedrą. Wychodziły ze sklepów z pamiątkami, taszcząc torby pełne oliwy z oliwek, soli do kąpieli oraz kalendarzy z reprodukcjami van Gogha, a Hanne chciała, żeby te energiczne kobiety przejęły jej życie i zaprowadziły w nim porządek, a potem je oddały, posortowane i uładzone, uprane i wyprasowane.

Znów wsiedli do autokaru i wkrótce już meldowali się w hotelu w Aix-en-Provence. Dostali kilka godzin czasu wolnego. Matka ruszyła na zwiedzanie razem z dwiema parami, z którymi się zaprzyjaźniła, Hanne zaś wzięła książkę, usiadła w kawiarnianym ogródku i zamówiła sobie café crème. Odkładała co jakiś czas lekturę i przyglądała się mijającym ją ludziom. Zbliżyły się dwie

Cyganki o obfitych kształtach, wyciągnęły do niej ręce i zaczęły mantrować po francusku słowa, które Hanne, ku swojej satysfakcji, zdołała odszyfrować: *J'ai faim, madame, pas peur des gitanes, madame*. Ale ona potrząsnęła głową, udając, że nie rozumie.

Nikt z tych ludzi nie wiedział o Janie. Nie słyszeli o nim także taksówkarze palący papierosy przed niewielkim kioskiem na rogu, a mimo to wstawali każdego dnia i jeździli swoimi taksówkami. Cyganki snuły się po ulicach, żebrząc, wszyscy żyli swoim życiem, nie mając pojęcia o istnieniu Jana. I w tej właśnie chwili, zupełnie jakby Jan siedział jej w głowie, jakby przyłożył nagle w Oslo ucho do ziemi i poczuł wibrację wywołaną przez te myśli, odezwała się jej komórka.

Dostajesz moje wiadomości? Jak na wycieczce z matką?

Kto to jest, pomyślała Hanne i poczuła się nagle zupełnie wyobcowana ze swojej własnej sytuacji, ze swojego własnego życia – czasami tak miewała: jak to się robi, gdzie skończyliśmy?

Jednocześnie pojawiła się nadzieja: może ta historia dobiegnie wreszcie końca. Może istnieje coś innego.

Gdy to rozważała, do jej stolika podszedł jedyny samotny mężczyzna na całej wycieczce. Był równolatkiem wdów, łysy i opalony, ubrany w szorty oraz opinającą brzuch kraciatą koszulę. Usiadł obok niej.

– Przeszkadzam?

– Owszem.

Hanne chwyciła książkę, by zademonstrować, że przecież czyta, był to angielski kryminał kupiony na Gardermoen.

– Co to za książka? Dobra?

Próbował wyjąć tom z jej rąk, lecz Hanne przyciągnęła go do siebie, tak że mężczyzna zacisnął dłoń w powietrzu.

– Ho-ho, ho-ho – zarechotał, tak jak rechoczą faceci, gdy kobieta, z którą flirtują, próbuje zgrywać niedostępną. – Co pijesz?

Hanne nie odpowiedziała. Otworzyła książkę przerysowanym, ostentacyjnym gestem i wróciła do czytania.

– Tylko kawa? A nie chcesz czegoś mocniejszego?

– Nie.

Mężczyzna przywołał kelnera.

– Zamawiam dwa pernody. Próbowalaś pernoda? Powinnaś spróbować. Tylko nie pij za dużo. Mówi się, że od pernoda kobiety trochę... cóż, jak by to nazwać... *swędzi między nogami*, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Kelner podszedł do stolika.

– *Oui, monsieur?*

– *Two pernod, please.*

– *Very well, sir.*

Hanne schowała książkę do torby i wstała.

– Co robisz? Gdzie się wybierasz? Przecież właśnie zamówiłem nam drinki!

Hanne dosunęła krzesło do stolika.

– Ależ siadaj. Zobaczyłem, że jesteś tu całkiem sama, chciałem ci dotrzymać towarzystwa. Co takiego zrobiłem, że...

Hanne odeszła w kierunku centrum miasteczka, znalazła nową kawiarnię, położoną na niewielkim placu przy kościele, usiadła tam i zamówiła kolejną kawę.

Gdy tego wieczora wycieczka zebrała się na kolację, mężczyzna do niej podszedł.

– Jesteś mi winna siedem euro.

– Hę?

– Musiałem zapłacić za twojego pernoda i kawę, którą zamówiłaś, zanim przyszedłem. To niesprawiedliwe. Oddaj mi siedem euro.

– Dosiadłeś się do mojego stolika i chciałeś mi wcisnąć drinka. A ja musiałam iść w inne miejsce i kupić tam sobie nową kawę. Czemu mam płacić za dwie kawy tylko dlatego, że jesteś natarczywy?

– Ależ chciałem tylko być miły, siedziałaś tam przecież całkiem sama. Co w tym złego? Ktoś musiał cię kiedyś bardzo skrzywdzić, skoro tak się zachowujesz.

Pozostali wycieczkowicze przestali rozmawiać.

– To ty teraz starasz się mnie skrzywdzić. Powinam cię pozwać za zniszczenie co najmniej pięciu procent mojego urlopu.

Mężczyzna gapił się na nią przez chwilę z rozdziawionymi ustami, po czym odszedł, kręcąc głową i mamrocząc coś pod nosem, i dosiadł się do stolika wdów.

Wdowy wyprostowały się czujnie, ale on chciał tylko opowiedzieć im o Hanne. *Musiała doświadczyć w życiu wiele złego... biedaczka... co to za atrakcja, wakacje z matką... bez własnego życia...* Mówił to wszystko tak głośno, by Hanne słyszała każde słowo, i w końcu jedna z wdów powiedziała:

– Czyli mówisz, że ona cię nie chciała? No patrzcie państwo, co za skandal!

Wszyscy zaczęli się śmiać z faceta od pernoda, a Hanne spróbowała spojrzeć na niego oczami wdów: rumiany sześćdziesięcio- czy siedemdziesięciolatek z tatuażami i pewnym nonszalanckim krokiem, teraz widziała, że jest w nim jakaś staromodna męskość, której nie zdołał zatrzeć upływ czasu. Dla nich to pewnie łakomy kąsek, pomyślała Hanne. Gdyby były na moim miejscu, robiłby na nich wrażenie. Ale na moim miejscu nie zadowolilyby się facetem od pernoda, bo ten sam instynkt samozachowawczy, który przejawiają jako wdowy, trzymałby je z dala – gdyby były na moim miejscu – zarówno od żonatego ojca dwójki dzieci, jak i dziesięciodniowej wycieczki dla emerytów po południowej Francji, nie wspominając już nawet o facecie od pernoda. Z całą swoją godnością zabrałyby się za bardziej odpowiednie projekty i miałyby taki sposób zachowania, że facetowi od pernoda w ogóle nie przyszyłoby do głowy, by się do nich odzywać. Ale do mnie się odezwał, bo dokonał w myślach obliczeń i wyszło mu, że w ten czy inny sposób do siebie pasujemy, jesteśmy na tym samym poziomie, że on i ja to *dobrana para*.

Ale, myślała dalej Hanne, on przynajmniej jest wolny. Rozważyła to jako opcję. Brązowe ciało faceta od pernoda w pościeli. Z wyblakłymi tatuażami. W hotelowym pokoju. Ależ on by się ucieszył, ależ cała wycieczka byłaby zszokowana faktem, że oto wśród nich wydarzył się

cud, że facet od pernoda i Hanne zostali parą. Bo skoro to jest możliwe, to możliwe jest chyba wszystko? Facet od pernoda był co najmniej dziesięć lat starszy od Jana, możliwe, że z tego powodu kochałby ją jeszcze bardziej, byłby jeszcze bardziej wdzięczny, może tuliłby ją mocno, tak jak Jan, powtarzając, że dzięki niej *odkrył na nowo swoje seksualne ja*.

Facet od pernoda nie pilnowałby pewnie aż tak bardzo antykoncepcji. Facet od pernoda był staromodnym mężczyzną, który pozostawiał takie kwestie losowi i już teraz miał pewnie kilkoro dzieci, z którymi nie utrzymywał kontaktu, rozrzuconych po całym świecie. Z facetem od pernoda mogłaby zajść w ciążę, nie musiałaby czekać, aż synowie Jana się wyprowadzą.

Hanne przymknęła oczy i zrobiła głęboki wdech. Nie nawiąże romansu z namolnym starym marynarzem, starszym od jej rodziców, z tego jedynie powodu, że jest wolny.

Następnego i jeszcze kolejnego dnia autokar woził ich z muzeów na jarmarki, dalej na degustacje trufli oraz wina i do restauracji, z jednego malowniczego miasteczka do drugiego. Spacerowali wąskimi uliczkami, po czym znów wsiadali do autokaru i jechali dalej. Na każdym miejscu parkingowym, gdzie się zatrzymywali, stało po dziesięć czy piętnaście autokarów takich jak ten, którym przyjechali, a z ich drzwi wysypywali się ludzie tacy jak oni.

Cały czas przychodziły wiadomości od Jana, na które Hanne nie odpowiadała. Z każdym zignorowanym esemesem czuła się coraz spokojniejsza. Trzymała się w ryzach, zaczęła zadawać pytania przewodnikom, czerpać przyjemność z jedzenia i wszystkich wrażeń. Przedostatniego dnia wycieczki wykąpała się samotnie na plaży w Nicei. Leżała na wodzie, spoglądając w niebo, unosiła się na łagodnych falach, a potem poszła z całą grupą na zwiedzanie miasta i kroczyła na czele pochodu, obok przewodniczki. Z wibrującym telefonem w torebce mogła sobie na to pozwolić – bo gdy to Jan gonił za nią, jej przestrzeń manewru poszerzała się gwałtownie, ona zaś odzyskiwała zainteresowanie światem.

Wylądowali na Gardermoen i komórka zaczęła brzęczeć jak szalona, gdy tylko ją włączyła.

Nie miałaś dzisiaj wrócić? Tęsknię! Zadzwoń! Cemu nie odpowiadasz? Co u Ciebie? Jak z matką? Tęsknię!!! Kocham!!!

Hanne oglądała spiętrzone się na wyświetlaczu esemesy. Sama na nie zapracowała, na każdy znak i każdą literę, ale gdy je teraz czytała, wydawały się jedną wielką pomyłką, jakby osoba, dla której były przeznaczone, już nie istniała. Dopiero teraz widziała, czym są te wszystkie wyświechtane frazy: komunałami, zaklęciami, marudzeniem, bzdurą. Co to miało być, na co straciła ostatnie półtora roku, ile owulacji na to zmarnowała, ile cennych miesięcy swojego preklimakterium przeznaczyła na coś tak poronionego? Na brnięcie w ślepy zaułek, bo tym to właśnie było, a teraz dobiegło końca. Dzięki Bogu, że nie stało się coś poważniejszego, dzięki Bogu, że nie zaszła w ciążę i nikt o niczym nie wiedział, mogli się rozstać dyskretnie, bez żadnych szkód, nie będzie musiała nawet zmieniać pracy.

Dzwonek do drzwi zabrzączał, gdy zaczęła się rozpakowywać. Trzy krótkie sygnały. Ich tajny kod.

Myśl, że on stoi tuż za drzwiami, odczuła jak cios pięścią w podbrzusze. Zebrała się tam cała jej krew, pulsując z każdym uderzeniem serca. A więc tak to ze mną jest, pomyślała Hanne. No tak. W ten sposób to wygląda. Ale drzwi nie otworzyła.

Tylko ten ostatni raz. Żeby się przekonać.

Ale o czym?

Że to już koniec.

To nie działa w ten sposób i dobrze o tym wiesz.

Wyszła na palcach do przedpokoju i stanęła przed drzwiami, dzieliło go od niej tylko kilka centymetrów.

Tylko ten ostatni raz.

Jan walił w jej drzwi obiema pięściami. Jak się dostał na klatkę? Przecież ona go nie wpuściła.

– Otwieraj! Wiem, że tam jesteś! Widziałem cię przez okno!

Musiał stać na podwórzu i jej wypatrywać. Wystawać pod kamienicą, gapiąc się w czyjeś okna – to brzmiało jak coś bardziej w jej stylu.

– Proszę, otwórz, chcę z tobą tylko porozmawiać!

Może on się zmienił, zaszeptał jakiś głos.

Głos dobywał się z jej podbrzusza.

Może twój wyjazd uświadomił mu...

Och, zamknij się. Hanne bezgłośnie poruszała wargami, rozmawiając sama ze sobą. Och, zamknij się.

– Proszę, otwórz, porozmawiamy chwilę. Chciałbym posłuchać, jak było w Hiszpanii.

Oparła się o drzwi. I powiedziała:

– Nie byłam w Hiszpanii, tylko we Francji.

A potem usiadła w kuchni i słuchała, jak on wali w drzwi. W końcu zaczął krzyczeć. Wywrzaskiwał rzeczy przedziwne, namiętne, rzeczy, o których usłyszeniu z jego ust śniła kiedyś i marzyła, i chciała zapytać, czemu dostaje to wszystko teraz, kiedy wcale już tego nie chce, i czemu było tak, że zaczynała chcieć czegoś dopiero wtedy, gdy nie mogła tego mieć.

Po pięciu minutach go wpuściła. Pomyślała: musimy przecież być w stanie ze sobą rozmawiać jak dorośli ludzie. Musimy być w stanie zakończyć to wszystko z godnością. Po siedmiu minutach byli już w łóżku. Po dziesięciu minutach Jan wyznał, że o wszystkim powiedział Ingrid, a potem spytał, czy może zamieszkać u Hanne na kilka dni lub do momentu, gdy znajdzie sobie coś własnego.

6

Nie mogę bez ciebie żyć. Nie wiem, co zrobię, jeśli mnie zostawisz. Wypowiadanie się w taki sposób było do niego niepodobne. Ale czy chciał być do siebie podobny? Jan pomyślał o dwóch psach, które jesienią przed poznaniem Hanne zobaczył na stacji kolejki Stortinget. Jeden z nich był małym szczeniakiem, który podskakiwał wesoło, obwąchując wszystko dokoła. Cały czas popiskiwał cicho i z zachwytem, zupełnie jakby ta ciemna podziemna stacja, pełna gapiących się tępo przed siebie ludzi, była czymś niesamowitym, czymś fantastycznym. Do szczeniaka doczłapał inny pies, duży i stary; wszystkie wrażenia zmysłowe zupełnie go przytłoczyły. Drżał jak jego towarzysz, ale nie z radości, wyglądał raczej, jakby chciał powiedzieć: *Zostawcie mnie wszyscy w spokoju. Chcę tylko, żebyście zostawili mnie w spokoju.* Jan miał za sobą tego dnia cztery długie spotkania i patrzył na starego psa człapiącego w jego stronę, myśląc: to jestem ja, tak właśnie się czuję.

Owszem, wtedy tak myślał. Ale teraz był szczeniakiem.

Miesiąc po tym, jak rozplakał się w kuchni Ulli, poszedł do psychologa. Zadzwoił do prywatnej przychodni i umówił się jeszcze tego samego dnia. Gabinet psychologiczny należał do ośrodka zdrowia mieszczącego się w jednym z budynków w nowoczesnym kwartale Barcode i w pewną sierpniową środę, jakieś osiem miesięcy od pamiętnego wieczoru w Månefisken, Jan wyszedł z ministerstwa o wpół do drugiej i wkrótce już siedział w gabinecie na dziewiątym piętrze, z pięknym panoramicznym widokiem na fiord. Psycholog był starszym mężczyzną. Umawiając się, Jan wyraźnie sprecyzował, że zależy mu na rozmowie z mężczyzną, koniecznie od niego starszym.

– Co pana zdaniem powinienem zrobić? – zapytał, wyłożywszy całą sytuację. Obaj siedzieli w fotelach od Eamesów. – Mamy taki w domu – skomentował Jan, zajmując miejsce, ale psycholog nic mu na to nie odrzekł, tylko na niego patrzył. A on pomyślał: *w domu*. Niedługo nie będzie już miał domu. Może to właśnie próbował mu zasugerować psycholog swoim milczeniem: że wkrótce zostanie bezdomny. Psycholog był szczupły i wysportowany, na twarzy miał zdrowy rumieniec, wyglądał na jednego z tych, co przyjeżdżają do pracy rowerem. Nie przypominał psychologa. Jan obstawiałby raczej chirurga.

– Nie mogę panu powiedzieć, co pan ma zrobić. Mogę się jedynie wspólnie z panem nad tym wszystkim zastanowić, pomóc panu uporządkować myśli i emocje, które się z tym wiążą.

– Ale co by pan zrobił? Gdyby pan był na moim miejscu?

Jan zapłacił za tę wizytę tysiąc czterysta koron i oczekiwał konkretnego towaru w zamian za swoje pieniądze.

– Przede wszystkim spróbowałbym zdefiniować swoje emocje.

– Ale one się zmieniają z sekundy na sekundę. Kiedy jestem w domu z Ingrid, to myślę sobie,

że nigdy nie zdołam zostawić ani jej, ani tego, co razem mamy, chłopców, domu, całej naszej historii, że nie mogę tak po prostu od tego odejść. Przepelnia mnie wtedy ta wiedza: że nie mogę i nie chcę odejść od Ingrid. Ale potem przychodzę do pracy, spotykam Hanne i zaczynam myśleć dokładnie to samo o niej: że nie mogę zniszczyć tego wszystkiego, co razem mamy, bo gdy jesteśmy razem, wszystko tak jakby łąduje na swoim miejscu, chce mi się śpiewać z radości; gdy wyobrażam sobie codzienność z Hanne, nie mogę uwierzyć, że to możliwe, że możliwe jest takie szczęście, że mam je w zasięgu ręki.

– Szczęście, mówi pan. Jak pan rozumie to pojęcie?

– Z Hanne przeżywam szczęście jako dobrostan, który wcześniej wydawał mi się niemożliwy do osiągnięcia. Przy niej czuję, że mogę się realizować w swojej najgłębszej istocie, swoim rdzeniu. Moi synowie są już dorośli, żona i ja zrobiliśmy swoje, odwaliłem, co do mnie należało, więc czemu mam powiedzieć „nie” temu niewiarygodnemu zdarzeniu, które mnie spotkało, po to tylko, by oni mieli dom, do którego raz na pół roku będą przyjeżdżać na niedzielny obiad?

Jak on w ogóle mówił? Co mu się stało? Chociaż właściwie mówił prawdę. Bo faktycznie tak to odczuwał.

– A co takiego w Ingrid sprawia, że przy niej nie może się pan realizować w swojej najgłębszej istocie?

– Coś panu powiem. Ingrid i ja sypiamy ze sobą raz w tygodniu. Zawsze tak było. A wolałbym chyba nawet raz w miesiącu albo wcale, gdybym już mógł wybierać. Ale nie, raz w tygodniu to w stylu Ingrid, bo wyczytała w jakimś artykule, gdy chłopcy byli jeszcze mali, że jeden stosunek na tydzień to właśnie tyle, ile potrzeba, by związek się nie rozpadł, i od tamtego dnia śpimy ze sobą raz w tygodniu.

– Wolałby pan, żebyście w ogóle ze sobą nie sypiali?

– W pewnym sensie tak. Wtedy miałbym jakiś konkret, na który mógłbym się skarżyć, nikt by mnie nie obwiniał, że nie mogę tego wytrzymać. Z Ingrid seks jest obowiązkiem, z którego trzeba się rozliczyć, tak jak na przykład sprzątanie domu. A Hanne przypominała mi, czym seks jest tak naprawdę, czym może być. Teraz już rozumiem, że z jego powodu upadają politycy i całe rządy, a przez lata było to dla mnie nie do pojęcia.

– Co jeszcze innego znaczy dla pana Hanne, co takiego reprezentuje w pańskim życiu?

– Jest tak, jakby się podpięła pod same fundamenty, pod wszystko to, co było przyćmione i spychane na dalszy plan przez wszystkie te inne rzeczy, przez pracę, dom, dzieci, to wszystko, co tak bardzo chce się mieć, a potem to rośnie do monstrualnych rozmiarów i człowiek w tym znika, zostaje zredukowany do samej funkcji, do małej zębatki w ogromnej maszynie, której działania nawet nie rozumie. Gdy jestem z Hanne, przypominam sobie, kim naprawdę jestem, kim byłem przedtem. Kiedyś miałem zostać muzykiem. A zamiast tego mam to wszystko.

– A kim pan był przedtem?

– Przede wszystkim kimś bardziej namiętnym, bardziej romantycznym, bardziej impulsywnym. Kochałem życie. Marzyłem o podróży na koniec świata. Teraz znów o tym marzę, a Hanne mówi, że chce mi towarzyszyć. Ingrid odmawia wyjazdu poza Europę. Twierdzi, że Europa nigdy nie przestanie jej fascynować.

Jan pomyślał: chcesz zostawić żonę, bo ona odmawia wyjazdu poza Europę? To właśnie próbujesz powiedzieć?

– Uważa pan, że to z winy Ingrid się pan zmienił?

– Nie, ale dwadzieścia pięć lat to bardzo dużo czasu. Musieć skończyć to wszystko z Hanne... nie wiem, czybym potrafił. Równie dobrze mogę odebrać sobie życie. Chciałbym cofnąć czas, żeby to wszystko nigdy się nie zaczęło. A co z chłopcami? Co oni powiedzą?

Jan zaczął płakać.

– Czy może mi pan powiedzieć, co mam zrobić? Co pan by zrobił?

– Nie mogę powiedzieć, co jest dla pana najlepsze. Ale mogę panu pomóc w samodzielnym tego ustaleniu.

– Najlepsze byłoby, gdybym nadal był mężem Ingrid i równocześnie spotykał się z Hanne, ale bardziej oficjalnie, tak, bym mógł planować czas i wakacje z Ingrid, zachowując jednocześnie pełną otwartość w sprawie Hanne. Ale to niemożliwe, przecież to rozumiem. Niezależnie od tego, co zrobię, będzie to miało konsekwencje dla innych. Więc to, co jest najlepsze dla mnie, najpewniej nie jest najlepsze dla świata, bo z tego, co najlepsze dla mnie, będzie, ogólnie rzecz ujmując, więcej cierpienia, niż gdybym po prostu wziął się w garść i przestał widywać Hanne.

– I tak koniec końców może pan brać odpowiedzialność tylko za siebie samego.

– Ale jak by to wyglądało, gdyby wszyscy brali odpowiedzialność wyłącznie za siebie samych? Nie powinniśmy być odpowiedzialni również za siebie nawzajem? Nie o to przypadkiem w tym wszystkim chodzi?

– Kiedy weźmie pan odpowiedzialność za siebie, wszystko inne jakoś się ułoży.

– Co to znaczy?

– Branie odpowiedzialności za siebie to projekt, który nigdy się nie kończy, on trwa całe życie. Tu nie chodzi ani o jakiś stały zbiór zasad, ani o obiektywnie rozumianą moralność. W pana przypadku wzięcie odpowiedzialności za siebie równie dobrze może oznaczać to, że zostanie pan z Ingrid, jak i to, że pan od niej odejdzie. Ale jeśli zostanie pan z Ingrid i zaciśnie zęby, może to skrzywdzić ją i dzieci bardziej, niż gdyby pan odszedł. Z drugiej strony, każde zakochanie prędzej czy później mija, to także zapewne minie, i trzeba sobie zadać pytanie, na ile jest pan w obecnej chwili obliczalny. Krótko mówiąc: czy jest pan w stanie podjąć decyzję obarczoną tak wielkimi konsekwencjami?

Jan odchylił się na fotelu i zrobił głęboki wdech, nadal drżąc na całym ciele.

– O to właśnie chodzi. Nie będę wiedział, jak wygląda codzienność z Hanne, dopóki nie przetestuję tego w praktyce, a wtedy będzie już za późno, by wrócić do Ingrid. W najcięższych chwilach zaczynam marzyć, że Ingrid albo ja dostajemy raka albo dzieje się coś dramatycznego, marzyłem nawet, by coś się stało z chłopcami – nic zagrażającego życiu, ale coś na tyle poważnego, by zawrócić mnie na właściwy tor. Czytałem niedawno artykuł o parze takiej jak my, w wieku średnim, borykającej się ze zdradami i ogólnym zmęczeniem materiału. Tamta kobieta dostała raka. A jej mąż z miejsca zerwał z kochanką i zamknął ten etap życia bez żalu. Po roku chemioterapii i naświetlań jego żona wyzdrowiała, a on już nawet nie pamiętał, co go skłoniło do romansu, nie pojmował, jak mógł kiedykolwiek rozważyć odejście od żony.

Psycholog przyglądał mu się w milczeniu, a Jan ciągnął:

– Potrzeba nam jakiegoś celu, do którego można by dążyć... Czegoś, co by sprawiło, że się wzniesiemy ponad wszystkie te śmiechu warte, głupie rzeczy, które robimy lub chcemy robić.

A zamiast tego czcimy swoje emocje, wynosimy je na ołtarze i się do nich modlimy, robiąc z nich nasz kompas. Ale emocje mogą się przecież zmieniać pod wpływem czegokolwiek, pogody, wiatru, wahań temperatury, emocjom nie można ufać, a mimo to na nich polegamy i uczyniliśmy z nich jakieś bóstwo, którego zobowiązaliśmy się we wszystkim słuchać. Bo co, jeśli najlepszym dla mnie rozwiązaniem jest zostać z Ingrid i przestać widywać Hanne, jeśli to właśnie na dłuższą metę przyniesie największą korzyść i szczęście, nie tylko mojej rodzinie czy społeczeństwu, *ale i mnie samemu?* A tymczasem potrzeba mi zdiagnozowania nowotworu, *żeby to do mnie trafiło?*

Jan walnął pięścią w stół.

– Postrzega pan swoje uczucia względem Hanne jako głupie i śmiechu warte?

– Mam silne przeczucie, że ktoś lub, precyzyjniej mówiąc, *coś*, bo nie Hanne, przynajmniej nie świadomie, próbuje mnie oszukać, że to wszystko sprowadza się do dążenia natury, bym zapłodnił tę czy inną zdolną do prokreacji kobietę, wszystko jedno którą, i że teraz ona, to znaczy natura, obarcza mnie tym wszystkim innym, emocjami i wymówkami, by tylko uspić moją czujność, jak jakaś dziwka, która okrada klienta, gdy ten tylko zaśnie. To znana sprawa, że w obecnych czasach rozmnaża się mniej mężczyzn niż kobiet i że ci, którzy już się rozmnażają, z reguły mają więcej niż kiedyś dzieci z większą niż kiedyś liczbą partnerek. To system trochę jak w haremie, gdzie określona grupa mężczyzn, takich jak ja, mężczyzn na wysokich stanowiskach, mieszkających w dużych miastach, płodzi dużą liczbę dzieci z dużą liczbą kobiet, a reszta męskiej populacji żyje poza tym całym cyrkiem, czy to z wyboru, czy z przymusu. Próbuję zdemaskować ten system, bo wcale nie mam ochoty funkcjonować w jego ramach. I tu ani trochę mi nie pomaga pańska diagnoza, że najlepiej dla wszystkich byłoby, gdybym zostawił Ingrid.

– Nic takiego nie powiedziałem. Mówiłem tylko, że...

Jan przerwał:

– Owszem, powiedział pan właśnie to. Czyli nie mam co szukać tu pomocy. Z całego tego społeczeństwa... wszystko tylko wypływa i wycieka, bo wszyscy cały czas mają robić tylko to, na co mają ochotę. Tacy na przykład chłopcy przed setkami lat nie mieli czasu na tego rodzaju bzdury, poza tym konsekwencje społeczne były tak dotkliwe, że większości z nich to się po prostu nie opłacało. Ciężka codzienna praca męczyła ciało i umysł, nie mieli więc sił, by wymyślać wszystko to, na co my dziś mamy czas i czym rujnujemy sobie życie. W dzisiejszym świecie jest pod dostatkiem czasu, sił i możliwości, z każdej strony otaczają nas pokusy i bezustannie musimy polegać na umiejętności samokontroli, której nawet nie jesteśmy świadomi.

– Twierdzi pan, że chłopcom przed setkami lat było łatwiej niż nam?

– I tak, i nie. Oni musieli żyć w stanie ciągłego zagrożenia, my pływamy sobie w basenie pełnym przekąsek i przyjemności, zmuszeni mieć się na baczności każdego cholernego dnia, bo pracujemy w miejscach pełnych kobiet, które nieustannie jajeczkują, w mieście pachnącym świeżymi bułeczkami, trzy za dziesiątaka, i hot dogami za dwadzieścia koron, ze wszystkimi dodatkami. I, wygłodniali, musimy mijać te wszystkie bułeczki i hot dogi, te wszystkie młode kobiety, uśmiechające się do nas tak serdecznie, zwłaszcza kiedy się dostaje awans na naczelnika wydziału; ogarnięci gorączką zakupów, mijamy sklep sportowy, gdzie na wystawie stoi karbonowy rower za *przedtem dwadzieścia tysięcy, teraz tylko dziesięć*, albo też zjadamy

bułeczki, bzykamy koleżankę z pracy i kupujemy ten rower. A potem kończymy otyli, rozwiedzeni i spłukani, płaczemy i użalamy się nad sobą, aż ktoś nas wychwyci, służba zdrowia albo poradnia dla diabetyków, system wsparcia dla rozwodników lub ludzi zadłużonych.

– O kim pan mówi?

– O sobie samym, a o kimże innym?

– Ciężko stwierdzić, gdy wypowiada się pan tak bezosobowo.

– Wie pan, co jeszcze? To życzenie sobie raka... właściwie to mi się wydaje, że wszyscy tęsknimy za jakąś katastrofą, za falą powodziową, która zmyje wszystko do morza; w głębi duszy każdy z nas tęskni za taką falą do momentu, gdy ona faktycznie się pojawi. Tęsknimy do konieczności trzymania się mocno, do jakiegoś zdarzenia, które przełamałoby monotonię i nauczyło nas tę monotonię bardziej doceniać, tęsknimy za czymś, co sprawi, że się *weźmiemy, kurwa, w garść*. Nie chodzi o to, że życzę sobie katastrofy, pragnę raczej, by coś zostało rzucone na szalę, bym mógł się wykazać, udowodnić, kim naprawdę jestem. Chcę jakiejś zewnętrznej siły, jakiegoś zagrożenia.

– A nie mógłby pan zachowywać się tak bez katastrofy? Czy naprawdę potrzebne są nowotwory i powodzie, ma pan przecież gotowe całe rozwiązanie, nie może pan sobie po prostu wyobrazić, że Ingrid dostaje raka albo że miasto zalewa fala powodziowa i podjąć decyzję, którą uzna pan za właściwą?

– Nie, nie mogę. Przecież panu tłumaczę. Nie mogę w sytuacji, kiedy w pracy co chwila widuję Hanne, a potem wracam do domu do Ingrid. Ingrid nie patrzy mi już w oczy, omija mnie wzrokiem, ja też na nią nie patrzę. Już się sobie nie przyglądamy.

– Co pan czuje teraz, w tym momencie?

– Wściekłość.

– Dlaczego?

– Bo utknąłem.

– Wcale pan nigdzie nie utknął. Ludzie czasami tak mówią, ale nie mają racji.

– Właśnie o to chodzi. Mam pełną świadomość, że wystarczy po prostu odejść. Nikt mnie nie powstrzymuje. I to właśnie ten fakt doprowadza mnie do szaleństwa, bo jestem zdania, że nie zasługujemy na tę wolność. Nie jesteśmy stworzeni do tego, by sobie z nią radzić. Proszę tylko na mnie spojrzeć. Zostałem naczelnikiem, zyskałem trochę pewności siebie, i bum, wplątałem się w romans. Nie wiem, czy się śmiać, czy płakać. Tak sobie czasem myślę, gdy patrzę na to wszystko z zewnątrz, dostrzegam wtedy, że to śmiechu warte. Ale kiedy jestem w łóżku z Hanne, przestaję to dostrzegać, bo wtedy nic takie nie jest.

– Jak pan sądzi, co sprawiło, że nawiązał pan ten romans, jakie były ku temu głębsze powody?

– O to właśnie chodzi! Nie było żadnych głębszych powodów! Z Hanne bawię się dużo lepiej niż z moją żoną po dwudziestu pięciu latach małżeństwa, to oczywiste. A mimo to nie mogę się zdobyć na to, by zostawić teraz Ingrid, ona ma pięćdziesiąt lat, tak jak ja, jakże ona sobie beze mnie poradzi?

– Może odczuje ulgę? Myślał pan o tym w ten sposób?

– Nie sądzę, by to było możliwe.

– Często nam się wydaje, że jesteśmy w stanie przewidzieć reakcje innych na nasze działania i to właśnie sprawia, że działamy w ten, a nie inny sposób. I wielu ludzi przeżywa zaskoczenie, gdy wreszcie zdobywają się na odwagę, robią coś, o czym zawsze marzyli, i nie następuje po tym żadna eksplozja.

– W życiu nie słyszałem czegoś dziwniejszego. Naprawdę pan w to wszystko wierzy?

– Sam pan przecież mówi, że żona się zmieniła. Że nie jest już panem tak zainteresowana erotycznie.

– Weszła w fazę przekwitania. Popęd na jakiś czas wtedy zanika, ale potem wraca, czytałem o tym. Czemu mnie pan przekonuje, że powinienem ją zostawić?

– Dlaczego pan sądzi, że to robię?

Jan szedł ulicą i drżał. Oczekiwał, że wizyta u psychologa przyniesie mu jakieś rozwiązanie. Że w gabinecie dojdzie do jakiegoś magicznego zdarzenia, które pomoże mu podjąć decyzję i potem się jej trzymać. Tymczasem właśnie wydał tysiąc czterysta koron, nie zyskując w zamian nic poza czerwonymi od płaczu oczami i obolałym po całym tym gadaniu gardłem.

Snuł się po mieście bez celu, nie wiedział, czy powinien wrócić prosto do domu, czy też najpierw zajrzeć do biura, nie miał siły wyjąć telefonu i sprawdzić terminarza. Zorientował się, że jest na Grønlandsleiret, przy komendzie policji. Może powinien oddać się w ręce stróżów prawa, dać się aresztować i skuć kajdankami? Chociaż byłoby to pewnie trudne, biorąc pod uwagę jego dostojny wygląd i nieskazitelną kartotekę. Musiałby wymyślić coś niezwykłego. Planowany zamach terrorystyczny, groźba detonacji bomby. I tak by mu nie uwierzyli. W wieku lat osiemnastu został aresztowany za spożywanie alkoholu w miejscu publicznym. Leżał na trawniku w parku Uranienborg razem z kilkoma kolegami z liceum. Wszyscy pili piwo, ale on jako jedyny przypadkiem uniósł do ust butelkę z eksportowym trunkiem akurat w momencie, gdy w ich kierunku spojrzeli dwaj policjanci w cywilu, i w związku z tym był też jedynym, którego zabrano na posterunek na Majorstua. Umundurowany funkcjonariusz długo oglądał jego różową legitymację szkolną. Spojrzał na jasne półdługie włosy Jana, jego beżowy wytarty płaszcz, džinsy Levis 501 i martensy, a potem oddał mu legitymację i powiedział: „Co ty tu robisz? Spadaj do domu. I nigdy już, do cholery, nie pij w miejscach publicznych”.

Dotarł do kościoła na Grønland i wszedł do niego. To był impuls. Skoro psycholog ani policjanci nie byli w stanie mu pomóc, to może chociaż Bóg albo Jezus, albo jakiś pastor. Jakies zwierzchnictwo, kierownictwo, ciało doradcze.

Zaraz za progiem świątyni znajdowało się coś w rodzaju kawiarni dla ludzi ulicy. Siedziało tam czterech czy pięciu narkomanów i piło kawę. Na stolikach, przykrytych kraciastymi papierowymi serwetkami, stały kosze pełne słodkich bułeczek i świeczki palące się w szklankach o wesołych kolorach. Wszystkie te elementy stanowiły kontrast dla samych narkomanów, którzy wgapiali się w Jana martwymi niemrugającymi oczami. Siedzieli tu teraz, przyjmując z wdzięcznością ciepło i troskę, ale wkrótce wyjdą na dwór i oddadzą się na powrót swojemu szaleństwu, na które nie pomoże Jezus ani słodkie bułeczki czy świeczki w kolorowych szklankach, tak jak Jezus, bułki ani świece nie były w stanie powstrzymać Jana przed spotkaniami z Hanne w wynajmowanych na godziny hotelowych pokojach. Jan odwzajemnił spojrzenia, przystąpił do zawodów w gapieniu się, które narkomani wygrali z miazdzącą przewagą, bo patrzyli na niego tak, jakby patrzyli na mebel lub inny nieożywiony przedmiot, dla

nich niczym nie różnił się od krzesła, na którym siedzieli, stolika czy świeczek albo bułek. Jan stanął po prostu jedną z wielu rzeczy, a rzeczy nie były ważne, ważna była trucizna, której albo byli pełni, albo zamierzali się nią napełnić, i w tej swojej determinacji przypominali ludzi religijnych, wpatrzonych w Jezusa, stawali się w pewien sposób odporni na rany zadawane przez zwykle społeczeństwo, to, do którego jeszcze należał Jan. Nie obchodziło ich, w jakich chodzą ubraniach ani jakie łamią zasady i tym, co dawało im przewagę, było pełne lekceważenie dla wszystkiego poza głównym przedmiotem ich zainteresowania, to jest rozkoszą, przyjemnością, spokojem ducha, ale podniesionymi do potęgi trzeciej. Bo każdy, kto choć raz spróbował heroiny, doświadczył raję, Jan słyszał to od różnych ludzi i czytał o tym, człowiek czuje się wtedy tak, jak w ogóle *możliwe jest* się czuć, i za tą właśnie rozkoszą gonili narkomani, za koncentratem z tej rozkoszy, za którą pędził również Jan i wszyscy inni, od czasu do czasu wrywając dla siebie jej niewielkie strzępy, podczas gdy narkomani wyszarpywali wielkie czarne kawały, ogromnym nakładem sił i środków. Czyżby Hanne była jego narkotykiem i dlatego myśl, że może ją stracić, przepelniała go taką rozpaczą? Jeśli tak, to gdyby teraz wszystko rzucił i związał się z Hanne na stałe, jej opiatowe właściwości z pewnością by zaniknęły; i jaki to wszystko miałyby wtedy sens, myślał Jan, wrzucając kilka monet do wiszącej na ścianie skrzynki. Brzęk pieniędzy odbił się echem od kościelnych murów. Jan wszedł do wnętrza świątyni i usiadł na ławce, starając się chłonąć atmosferę, religię, dziedzictwo kulturowe, historię tych wszystkich pustych kościołów, których w Norwegii jest pełno, pastorów, którzy się cieszą, gdy ktoś do nich zagląda, kapłanów niemających nic przeciwko ani rozwodom, ani narkomanii.

Ale kimże on był, kłamca i zdrajca, że sądził, iż może tu sobie ot tak wejść i usiąść. Tych kilka żalonych koron, które wrzucił do skrzynki przy wejściu, nie wystarczyło. Jego upadek nie był wystarczająco spektakularny. Jan miał świadomość, że każdy z siedzących przy wejściu narkomanów mógłby zasypać go historiami o upodleniu, wykorzystaniu i zdradzie; jakież to *on* miał powody, by równać z ziemią swoje życie? Myślał tak, choć w głębi duszy doskonale wiedział, jakie jest wytłumaczenie. Robił to, co robił, ponieważ *mógł*, bo miał możliwość, bo kara za jego czyny nie była szczególnie surowa i ponieważ wiedział, że kiedy tylko wszyscy przyzwyczajają się do nowej sytuacji, to Hanne, a nie Ingrid będzie zapraszana na wszystkie rodzinne imprezy. Wkrótce nazwisko Hanne będzie mogło widnieć we wszystkich dokumentach, to takie łatwe, i chyba to właśnie wydawało mu się nieznośne, a mimo wszystko poszedł do psychologa, by znaleźć odpowiedź na pytanie banalnie proste – czemu właściwie robił to wszystko? Zrozumiał to teraz, siedząc w kościelnej ławie. Miał nadzieję, że psycholog pomoże mu upiększyć sytuację, wygrzebując z jego pamięci jakieś problemy z Ingrid lub tę czy inną traumę czasów dzieciństwa, cokolwiek, co mogłoby stanowić usprawiedliwienie i wymówkę. Jego pazerność nie znała granic, chciał nie tylko kobiety, której pożądał, pragnął również uniknąć konsekwencji. Chciał, krótko mówiąc, *mieć ciastko i zjeść ciastko*.

A teraz chciał iść do pastora. Zgorzkniałego starego kapłana, który usadziłby go na miejscu i nigdy by mu nie kazał definiować swoich uczuć, lecz powiedziałaby mu, albo wręcz wykrzyczał, że powinien wziąć się w garść. I to wszystko zupełnie za darmo.

I oto tu jestem, myślał Jan kilka godzin wcześniej, siedząc u opalonego wysportowanego psychologa za tysiąc czterysta koron. W czym właściwie rozmowa pod wizerunkiem faceta, którego zamęczono torturami na śmierć dwa tysiące lat temu, miałyby być gorsza? Pod wieloma względami wydawało się to bardziej odpowiednie niż pogawędka w drogim fotelu, w gabinecie

z widokiem na fiord. Bo czy ostatecznie nie wychodzi na jedno, czy człowiek płacze w drogim fotelu u psychologa, czy na twardej kościelnej ławie? Przykazanie jest jasne i jednoznaczne: nie cudzołóż, nie wolno niszczyć małżeństwa. Ale gdyby mimo wszystko to zrobił i się rozwiódł, nadal mógłby przychodzić do kościoła. Nie zabroniono by mu wstępu do świątyni, nawet gdyby złamał wszystkich dziesięcioro przykazań. Cóż, może wtedy byłbym tu nawet milej widziany, pomyślał Jan, zerkając w stronę narkomanów. Może łaska Boża nie została mu dana z tego prostego powodu, że nigdy jej nie potrzebował, sunąc przez życie bez oporu i dostając wszystko podstawione pod nos.

Mam takie samo prawo tu być jak wszyscy inni, powiedział sobie. Ale mimo to po kilku minutach wstał i wyszedł z kościoła. Czemu człowiek nie może w większym stopniu o sobie decydować, dlaczego rzuca się tu czy tam, czemu nie można podjąć decyzji, a potem zmusić się do wprowadzenia jej w życie, dlaczego robiło się wszystkie te niewłaściwe rzeczy, których nie chciało się robić, i czemu robienie ich tak dobrze smakuje, dlaczego nie istnieje jakiś guzik, który wystarczyłoby nacisnąć, czemu życie musi być taką walką?

Czym było to wszystko, co przez niego pędziło, przy okazji wyrywając mu wnętrze, co sprawiało, że wstawał rano, mówiąc sobie, że tego dnia musi ignorować Hanne, nie wysyłać jej esemesów ani maili, a już po kilku godzinach w przerwie na lunch wynajmował pokój hotelowy i płacił dwa tysiące koron, by tylko spędzić z nią godzinę w łóżku, zupełnie jak alkoholik, który obiecuje sobie, że nie będzie pił, a zaledwie parę godzin później już jest urzęnięty do nieprzytomności. A potem, już po wszystkim, i to było najbrzydliwsze, kiedy leżał w hotelowym łóżku zaspokojony, był w stanie pójść po rozum do głowy i jasno sformułować prostą myśl: muszę z tym skończyć. Dopiero wtedy mógł zrobić głęboki wdech i pomyśleć: nie mogę tego robić Ingrid. Jest nam razem dobrze, a mimo to leżę tu teraz. Mimo to dopuszczam się czegoś takiego. Myślał też o tych dwóch tysiącach. Bo w takich sytuacjach wyrzuty sumienia pojawiały się na wszystkich poziomach. Dwa tysiące koron, a oni nie mieli nawet spędzić tu nocy. Rozrzutność, która wydawała się ostentacyjna, zupełnie jakby chciał, żeby to wszystko runęło, jakby pragnął zostać zdemaskowany. Ale Ingrid na pewno tego nie zauważy. Ingrid niczego nie podejrzewała, i czemu zresztą miałaby podejrzewać? Nigdy nie była zazdrosna. Gdyby teraz, wyłącznie po to, by zwróciły mu się te dwa tysiące, zadzwonił do Ingrid i powiedział, że został nagle wysłany w pilną delegację albo że narzucono mu nadgodziny, cokolwiek, a potem przenocował z Hanne w hotelu, żona nadal niczego by nie podejrzewała. Bo Ingrid czuła się bezpieczna i to poczucie bezpieczeństwa czyniło ją ślepą i głuchą na wyjaśnienia inne niż normalne i codzienne, a Jan leżał tymczasem w hotelowym łóżku z wtuloną w niego Hanne, myśląc o łatwowierności Ingrid i czując, jak wzbiera w nim wściekłość. Czemu ona nie mogłaby być trochę bardziej podejrzliwa, wtedy może by tutaj nie leżał. I dlaczego była taka spokojna, czy to normalne być tak spokojnym? I czy w zaufaniu, które okazywała mu Ingrid, nie było przypadkiem jakiegoś pierwiastka *obojętności*, może to, co dotychczas miał za zaufanie i poczucie bezpieczeństwa, świadczyło raczej o jakimś *braku*? Czyż Hanne nie pasowała do niego lepiej, ze swoim temperamentem, zazdrością i atakami wściekłości, swoimi pełnymi agresji esemesami wysyłanymi w środku nocy, które ich budziły, bo Jan zapominał wyciszać komórkę? A potem musiał mówić Ingrid, że pisze do niego kolega, który przechodzi przez ciężki rozwód, wstawać z łóżka i zabierać telefon do pokoju w piwnicy, skąd dzwonił do Hanne z wiadomością, że nie może go budzić w ten sposób w środku nocy, a ona szlochała i łkała, musiał więc odczekać kilka minut, zanim w ogóle będzie w stanie cokolwiek z siebie wydusić. Następnie

rozmawiali przez godzinę i kończyli cały seans seksem przez telefon, polegającym na tym, że szeptali do siebie ochryple, onanizując się, każde w swojej dzielnicy, a następnego dnia Jana szczyptały oczy i miał wrażenie, że porusza się pod wodą. Był już na to za stary.

W maju, półtora roku po pamiętnym gwiazdkowym koncercie, Hanne poleciała do Hiszpanii i przestała odpowiadać na jego esemesy. Nie było to nic nowego, a mimo to Jan czuł, bo te fluidy docierały do niego aż z Hiszpanii, że tym razem jej milczenie jest jakieś inne.

W piątek byli z Ingrid zaproszeni na obiad do Marianne i Steinara, minęły trzy dni, odkąd otrzymał od Hanne dziwnego bezosobowego esemesa, przywodzącego na myśl raczej pozdrowienia skreślone szybko na pocztówce, coś o mieście, które powinien odwiedzić. Po przeczytaniu tej wiadomości ogarnęło go poczucie, że wszystko się skończyło, nie tylko jego związek z Hanne, ale wszystko w ogóle, że jego życie zmierza ku kresowi. Drętwiała mu twarz i z trudem nadążał za rozmowami, a gdy przyszedł piątek, oświadczył, że nie czuje się najlepiej i chyba coś go bierze, lecz Ingrid mimo to przekonała go, by pojechał z nią na ten obiad.

– Nie zostawiaj mnie samej z tymi dwojgiem.

W końcu się zgodził i ruszyli w podróż tramwajem, którą oboje przemilczeli. Jan myślał, jakie to dziwne, że ze sobą nie rozmawiają, że siedzą tylko, wyglądając każde przez swoje okno. Gdyby tak siedział z Hanne, nie minęłoby nawet pięć sekund, a ona już by go zapytała, czy coś jest nie tak. Bo Hanne chwytala go za kark i nie pozwalała mu się oddalić. Tymczasem Ingrid siedziała przed nim, jak zawsze zatopiona w swoich myślach. Co jeśli tych trzydzieści lat, które wedle statystycznych szacunków mu zostało, dużo szczęśliwiej przeżyłby z Hanne, co jeśli te lata, bez niego, okazałyby się lepsze także dla Ingrid? Chłopcy nie tylko zbliżali się do dorosłości, oni już teraz *byli* dorośli. Wychowali się w nienaruszonej rodzinie nuklearnej, dostali pełen pakiet, nawet dziadków mieszkających w sąsiednim domu, mieli tak dobrze, jak pączki w maśle. Może już czas najwyższy, by ci dwaj młodzi mężczyźni o sytych milczących twarzach zostali skonfrontowani z odrobiną rzeczywistości? Może jednak trwanie w bezruchu, tuż przy swoim namiocie, nie było najlepszym rozwiązaniem, a jeśli trawa po drugiej stronie płotu była bardziej zielona, a po tej, po której się zawsze żyło – bo to tu nadal przebywał Jan, przynajmniej oficjalnie – wydawała się wygryziona, wypalona, a gdzieś tam czerniała nawet naga ziemia, to czy najbardziej naturalnym rozwiązaniem nie było po prostu przeskoczyć płot i zacząć się paść po jego drugiej stronie? Co w tym takiego gorszącego?

Marianne i Steinar zaczęli na siebie wrzeszczeć, od razu gdy goście stanęli w korytarzu. Chodziło o coś z jedzeniem, o to, czyja to wina, że coś się przypaliło, a Jan bardziej niż kiedykolwiek wcześniej zachodził w głowę, czemu nadal utrzymują kontakt z tymi ludźmi. Awantura ciągnęła się przez cały wieczór – które danie kiedy podać, które wino pasuje do którego jedzenia, a Ingrid i Jan spoglądali po sobie, Jan zaś myślał: może przyjaźnimy się z tymi ludźmi, bo możemy czuć się od nich lepsi? Zobacz, my się tak nie zachowujemy.

W którymś momencie wieczora wyszedł do ogrodu i stał tam pod jabłonią, pisząc esemesy do Hanne. Nie obchodziło go już, że może zostać przyłapany. Ingrid siedziała przy stole i piła wino, grzebiąc w komórce, a Marianne i Steinar darli się na siebie w kuchni. Oto stał tutaj, przed domem pełnym starych, zmęczonych życiem ludzi. Gdyby tylko Hanne to widziała, gdyby zobaczyła, jak wygląda jego życie, kim z czasem mogli się stać. Kiedy tego jasnego wieczora wracali do domu, zagadnął Ingrid:

– Marianne i Steinar przypominają mi kawę i alkohol. Gdyby ktoś w dzisiejszych czasach próbował wprowadzić te produkty na rynek, poniósłby porażkę, bo nikt nie uznałby ich przecież za ludzkie pożywienie. Może używano by ich ewentualnie jako składników niektórych lekarstw, w małych dawkach, ale nie byłoby szans, żeby weszły do codziennej diety.

Ingrid mruknęła z rozbawieniem.

– Chcesz powiedzieć, że gdybyśmy dziś poznali Marianne i Steinara, to nigdy byśmy się z nimi nie zaprzyjaźnili?

– Nawet nie zaczęlibyśmy z nimi rozmawiać. Zobacz, zmarnowaliśmy właśnie cały piątkowy wieczór. A oni sobie teraz przysypiają w swoich wygodnych fotelach, syci i zadowoleni, bo zdołali wyrobić swoją normę kłótni na ten weekend. Ale to już ostatni raz, kiedy z tobą do nich poszedłem, możesz być tego pewna.

Od piątku do wtorku przesypiał tylko parę godzin każdej nocy. Resztę czasu spędzał, wgapiając się w komórkę. Słyszał obok siebie oddech Ingrid. Myślał o czekających go latach bez Hanne, ale za to z Ingrid, myślał o wnukach, drogim jedzeniu i stojaku na wino w wielkim mieszkaniu na Majorstua, a z drugiej strony o ciąży i pieluchach z Hanne, o powrocie na start. Przecież tego nie chcesz, powtarzał sobie. Nie chcesz. Pragniesz zostać tutaj. Zachować swoje życie. Jest tak, jak mówi mama, chcesz mieć wszystko, zatrzymać wszystko, ale nie ma takiej możliwości. To proste. Niełatwe, ale proste. Takie to myśli snuł sobie w ciemnościach. Ingrid co jakiś czas przewracała się z boku na bok, ona także nie mogła spać, ale miał wrażenie, że znajduje się wiele kilometrów od niego.

Przez kilka pierwszych tygodni wspólnego mieszkania z Hanne Ulla dzwoniła do niego każdego dnia.

– Nie możesz tego tak ciągnąć. Nie możesz tego robić.

Jan miał ponad pięćdziesiąt lat, jego matka była po osiemdziesiątce, a mimo to pozwalała, by go łąjała. Chodził do pracy w te wczesne majowe poranki i patrzył, jak wiosenne słońce tańczy na tramwajowych szynach i oknach domów w taki sposób, że przestawał do niego trafiać nawet szwedzki głos matki.

– Jeśli wrócisz do domu i się ukorzysz, możesz jeszcze coś uratować.

– Przyjmuję to do wiadomości – mówił Jan, rejestrując, że matka nie ma już żadnego wpływu na nastrój, w jakim się znajdował. Może wreszcie dorósł.

– Mój chłopczyku – wzdychała matka na koniec i rzucała jeszcze *buziaczki*, bo odkąd Jan pamiętał, zawsze tak kończyła rozmowy telefoniczne z nim, a on odpowiadał: *buziaczki*.

Zasypiali zawsze grubo po północy, a mimo to, gdy budzik dzwonił kwadrans po szóstej, miał więcej niż dość energii, by zasznurować adidas i pójść na jogging po Tøyenparken. Idąc do pracy, czuł w całym ciele przyjemne zmęczenie i myślał o rozczochranych włosach Hanne, o tym, jak godzinę wcześniej przyjęła z jego rąk kubek czarnej kawy z cukrem. Tak zazwyczaj wyglądało ich śniadanie, bo nigdy nie pamiętali, żeby kupić jedzenie. Jan stwierdzał, że jednak powinien coś przekąsić, i wstępował do McDonald's, gdzie kupował sobie bułkę z jajkiem sadzonym i bekonem. Szedł ulicą, gryząc bułkę, i rozmyślał o Ingrid, o jej śniadaniowych smoothies, które próbowała wciskać całej rodzinie zamiast tradycyjnych kanapek czy płatków. Chłopcy na krótką chwilę dali się przekonać, ale potem wrócili do dawnych zwyczajów, a Ingrid

i Jan nadal pili na śniadanie smoothies, aż do dnia, w którym szklany kielich blendera spadł im na podłogę.

Hanne dmuchała na kawę, mówiąc: „mmm, jakie pyszności”, a Jan za każdym razem myślał o Ingrid, o monstrualnym ekspresie, który kupili i którego instrukcję ona przestudiowała i sprawdziła, który młynek otrzymał najwyższe noty w teście Federacji Konsumentów, która kawa w ziarnach jest najlepsza i najtańsza, i tak dalej. Niczym zwierzę, zaciskała na czymś szczęki i nie wypuszczała, dopóki wszystko nie zostało dokładnie zbadane i wywrócone na lewą stronę. Jan myślał dalej o gehennie, którą za każdym razem musieli przechodzić w hotelach, bo Ingrid nigdy nie była zadowolona z przydzielonego im pokoju, wszystko jedno, jak wyglądał, za każdym razem była przekonana, że ich oszukano, i zmuszała całą rodzinę do ciągnięcia walizek z pokoju do pokoju. Często kończyli w ten sposób w punkcie wyjścia, a ona przez całą resztę wakacji zastanawiała się, czy na pewno dobrze wybrali. Hanne zaś siedziała w swoim zabałaganionym mieszkaniu, skręcając jointy, albo w aneksie kuchennym w pracy, pijąc kawę i śmiejąc się tym swoim ochrypłym śmiechem. Uwielbiał sam fakt, że potrafiła robić wrażenie, iż biuro to miejsce, w którym zabija czas, czekając, aż przydarzy jej się coś innego, ciekawszego.

Jan spał teraz w jej łóżku, a raczej na wysłużonym nierównym materacu sprężynowym z IKEA, leżącym bezpośrednio na podłodze, i wysypiał się na nim lepiej niż w łóżku marki Tempur, za które zapłacili z Ingrid ponad trzydzieści tysięcy.

Żyję, myślał Jan, idąc przed siebie. Żyję. Byłem nieżywy, ale zmartwychwstałem. Musiał się pilnować, by nie zacząć podskakiwać. Był tym małym szczeniakiem i wszystko jawiło mu się jako fantastyczne. Zawsze zresztą takie było, tylko on tego nie dostrzegał. Potrzebował Hanne, by przejrzeć na oczy.

Co drugi dzień dzwonił na przemian do Ingrid i do chłopców. W weekend po tym, jak powiedział Ingrid o Hanne, przyszedł na Solveien, by pomóc w porządkowaniu ogrodu. Zapytał, czy chłopcy, którzy akurat byli w domu, ale nie mieli zamiaru pomagać przy pracach, mogliby zejść do kuchni.

Mówił, a oni mu się przyglądali. Gdy wreszcie umilkł, Jonas zapytał:

– To wszystko? Mogę już iść?

– Ale co o tym sądzicie? Chciałbym usłyszeć, jakie jest wasze zdanie w tej sprawie, czy macie jakieś przemyślenia.

– Dlaczego?

– Chciałbym z wami porozmawiać, usłyszeć, jak się odnajdujecie w tej sytuacji. Czy jest wam przykro, czy chcecie, żebym wrócił do domu...

Jonas wstał i ruszył z powrotem do pokoju, by znów się położyć. Miał na sobie tylko majtki. Przystanął w drzwiach.

– Chcesz powiedzieć, że jeśli poprosimy, byś wrócił do domu, to ty to zrobisz?

Jan przełknął ślinę.

– Nie wiem, czy rozstanę się z waszą mamą. Nikt jeszcze tego nie wie, nie mamy pewności, czy się rozwiedziemy...

Na wysokości słowa *rozwiedziemy* zaczął łkać. Przeżalone twarze synów uświadomiły

Janowi, że oni nigdy wcześniej nie widzieli, jak on płacze. Płakał co prawda po ich narodzinach, ale tego rzecz jasna nie mogli pamiętać.

– Jest mi tak przykro. Nie chcę nikogo skrzywdzić, ani mamy, ani was. Kocham was wszystkich. A mama absolutnie nie zrobiła niczego złego.

Jonas powiedział:

– To po co to wszystko robisz? Nie możesz po prostu przestać? Nie możesz wrócić do domu?

– Mama chyba tego nie chce.

Martin powiedział:

– Ale to *ty* się wyprowadziłeś, a teraz mówisz, że *ona* nie chce twojego powrotu. Udajesz innymi słowy, że wszystko to, co się dzieje, to jej decyzja. Tymczasem to ty od niej odszedłeś. A gdzie tak w ogóle mieszkasz?

– Co się stanie z domem? Sprzedacie go?

Pytanie zadał Jonas.

– Gdzie mieszkasz? – powtórzył Martin. – Razem z tą babką?

– Czemu powiedziałaś im o Hanne? – spytał Jan, gdy zostali sami z Ingrid. Stali przy ogrodowym płocie i porządkowali teren wokół kompostownika. Ingrid grabiła liście, a Jan łamał suche gałęzie. Sytuacja była absurdalna. Czemu w ogóle tu przyszedł? Przez niemal dwadzieścia lat robili dokładnie to co teraz, każdej wiosny, stali tak, wykonując te same czynności.

– Bo nie mam siły ich okłamywać. Kłamanie jest wymagające, angażuje moce przerobowe mózgu.

– Nie mogłaś po prostu trochę poczekać?

– To było pierwsze, o co zapytali. *Czy tata kogoś poznał?* Sądzisz, że powinnam się silić na wymyślanie kłamstw, że wynajęłaś gdzieś kawalerkę, żeby się zastanawiać nad życiem? Prędzej czy później to i tak wyszłoby na jaw.

Jan westchnął i potarł twarz. Dopiero teraz, gdy na chwilę wrócił do domu, poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Zupełnie jakby całe stare zmęczenie tu na niego czekało.

Ingrid ciągnęła:

– Wiesz, co powiedział Martin? Że dziewięćdziesiąt pięć procent mężczyzn, którzy wychodzą z inicjatywą rozwodu, ma jakąś kobietę na boku. Szukał na ten temat informacji w internecie i znalazł jakieś statystyki.

Pochyliła się i zaczęła zbierać liście.

– Musimy wypełnić wnioski o separację. Już go wydrukowałam, leży w gabinecie.

Ingrid wrzuciła naręcz liści do kompostownika. Jan przestał na chwilę łamać gałęzie.

– Separacja? A nie możemy poczekać z tym do jesieni?

– Nie.

– Załatwianie już teraz kwestii formalnych wydaje mi się takie dramatyczne. Nie chcę się rozwodzić. Nie myśl tak nawet. Nigdy nie chciałem się z tobą rozwieść, przecież nie dlatego to zrobiłem.

– To dlaczego? – spytała Ingrid. Wydawała się jakaś oteźpiała, zdekonzentrowana.

– Bo znalazłem się w sytuacji, w której już nie miałem wyboru.

Ingrid nie odpowiedziała.

Później, gdy Jan zrobił sobie przerwę i siedział przy kuchennym stole, pijąc wodę, Ingrid przyniosła stos wydruków oraz długopis i wszystko to przed nim rozłożyła.

– Ingrid. Nie możemy z tym zaczekać? Proszę.

– Spokojnie. Żeby się rozwieść, musimy najpierw przeżyć rok w separacji.

Mówiła do niego tak spokojnie i przyjaźnie, że znów zaczął płakać.

Po powrocie na Tøyengata pokazał Hanne wniosek o separację.

– Jak ona to przyjęła?

– Stosunkowo spokojnie. Wie przecież, że to się musi stać. Teraz już nie ma drogi odwrotu. Ale chłopcy oczywiście strasznie to przeżywają.

W lipcu wyskoczyli na nieplanowany urlop do Turcji, spędzili tam tydzień, który Jan w większości przesiedział na balkonie, jedynym miejscu, gdzie łapał internet, i esemesował z chłopcami, którzy odpowiadali mu rzadko, esemesował i rozmawiał z Ingrid, o ile w ogóle odbierała albo odpisywała, oraz gadał ze starym przyjacielem, który był kiedyś w podobnej, jak on, sytuacji.

Gdy Hanne się dowiedziała, że ten stary przyjaciel, z którym gadał Jan, wrócił w końcu do swojej rodziny, spakowała walizkę i przeniosła się do innego hotelu.

– Musisz z tym skończyć – powiedziała Hanne, gdy Jan ją namierzył i gdy stali razem w lobby tego nowego hotelu, jednego z najdroższych w całym mieście, całkiem innego od zapyziałego pensjonatu, w którym do tego czasu mieszkali, z odrapaną wanną, niedomykającymi się przesuwными drzwiami szafy i smrodem kocich szczyn na korytarzu.

Po raz pierwszy zaczął na nią krzyzczeć. Stał w lobby tego drogiego hotelu, na błyszczącej marmurowej posadzce, otoczony Rosjanami z ich napompowanymi botoksem żonami w obcisłych sukienkach w lamparcie cętki, i wrzeszczał:

– Co masz na myśli, jak to ja muszę z tym skończyć? Zostawiłem dla ciebie moją rodzinę, zostawiłem dla ciebie moje dzieci! Sądzisz, że wystarczy pstryknąć palcami i to wszystko zniknie? SĄDZISZ, ŻE TO TAKIE PROSTE?

Chwilę wcześniej zakończył rozmowę z Ingrid, która go poprosiła, by wrócił do Oslo. Nie dlatego, że znów pragnęła z nim być, zależało jej po prostu na jak najszybszym załatwieniu formalności, chciała, by odkupił od niej połowę domu, bo zamierzała sprawić sobie jakieś małe mieszkanie w Lambertseter.

– Moje dzieło tutaj dobiegło końca – poinformowała go. – Nie jestem chłopcom do niczego potrzebna. Oni potrzebują ojca. Oczywiście możesz się wprowadzić razem z Hanne. Chłopcy mówią, że nie będą z nią mieszkać pod jednym dachem, ale nie przejmuj się tym. Oni się stąd nie wyniosą, tego możesz być pewien. Dlatego postanowiłam, że to ja się wyniosę.

Jan zachodził w głowę, gdzie dotychczas skrywało się całe to nowe szaleństwo Ingrid i jak to możliwe, że ten jego stary przyjaciel, który w końcu wrócił do rodziny, miał jeszcze w ogóle

jakąś rodzinę, do której mógł wrócić, w tym żonę, która na niego czekała, zupełnie jak Ulla. Czemu Janowi nie było to dane, w końcu to właśnie myśl o tym starym przyjacielu – oraz Ulli – sprawiła, że tamtego wieczora podjął ryzyko i powiedział Ingrid o Hanne. Uwierzył bowiem, że jeszcze będzie jakaś droga odwrotu. Miał zamiar tylko się wyszaleć, nasycić, a potem wrócić do domu, oczyszczony, oprzytomniały, uspokojony. Taki właśnie był mój plan, pojął nagle, stojąc w lobby hotelowym w Turcji i wrzeszcząc na Hanne, której najwyraźniej spodobało się, że on wrzeszczy i traci nad sobą kontrolę, bo już po chwili zmieniła się na jego oczach w starą Hanne, a po kolejnej chwili tarzali się w pościeli w nowym pokoju, gdzie zostali do końca urlopu. I mimo że spędzili tam zaledwie trzy dni, rachunek za ten pobyt okazał się dwukrotnie wyższy niż dotychczasowe koszty wycieczki razem wzięte.

Ostatni wieczór spędzili w restauracji na przystani, jedli ostrygi i pili chablis. Wznieśli toast za przyszłość, podziwiając zachód słońca.

Ale to się działo za szybko. Wszystko się działo za szybko, Jan chciał stanąć na ziemi i zmniejszyć tempo, ale reszta świata rzuciła komendę: *cała naprzód!* Patrzył na Rosjanki przy sąsiednich stolikach. Ze swoimi opuchniętymi wargami i gigantycznymi biustami przypominały groteskowe potwory i Jan poczuł, jak ostrygi stają mu w gardle.

Ingrid wróciła do domu już następnego dnia po wyjeździe na Jomfruland. Przez kilka godzin chodziła na palcach po pogrążonych w ciemności pokojach, ukrywając się przed Ullą i Jørgenem, a późnym wieczorem wpełzła do łóżka i spróbowała zasnąć. Około trzeciej nad ranem poszła do auta i postanowiła w nim spać. Był to czysty impuls, rozłożyła siedzenia, w bladym świetle poranka wytaszczyła z domu materac. Był wykonany z ciasno upakowanej pianki i ważył tyle co dorosły człowiek, Ingrid wyobrażała więc sobie, że taszczy zwłoki, może nawet zwłoki Jana. Muszę je ukryć, nie ma czasu do stracenia, myślała z bijącym sercem, układając materac na rozłożonych siedzeniach. Był za duży, wepchnięty do samochodu zaginał się i zasłaniał szyby, poza tym tu i ówdzie zsuwał się z siedzeń. Ale Ingrid nie miała siły ciągnąć go z powrotem po schodach, dlatego też wróciła do domu tylko po kołdrę i poduszkę. Wpełzła do auta, zamknęła drzwi i otworzyła okna. Znalazła stosunkowo wygodne miejsce na materacu i po paru minutach zasnęła. Obudziła się dopiero wczesnym popołudniem.

Coś takiego, pomyślała. A myśli miała jasne, jakby jej głowę wypełniało górskie powietrze, jakby właśnie napiła się świeżej wody z lodowatego strumienia. Gdy wypęzła z auta, podeszła do niej Ulla.

– Ależ kochanie, *spalaś* w samochodzie?

– Tak się jakoś złożyło.

– Ale *dłaczego*?

– Wygląda na to, że tylko tu jestem w stanie zasnąć. Przespałam bez przerwy dziewięć godzin. Nie zdarzyło mi się to od lat. Niesamowite, prawda? Aż mi się kręci w głowie.

Ingrid wypowiedziała właśnie do swojej teściowej więcej słów niż przez ostatnie trzy miesiące łącznie, a Ulla zamarła, wpatrując się w nią w milczeniu.

– To tylko eksperyment – dodała Ingrid.

– Ach tak – wydusiła z siebie Ulla.

– Dziś wieczorem znów położę się w sypialni.

– Ach tak. Jest, jak jest, oczywiście rób, jak uważasz.

Ulla odeszła, nie mówiąc nic więcej. Była urażona, bo Ingrid nie otwierała jej już drzwi, po tylu latach i tym wszystkim, co ona dla niej zrobiła, po tym, jak ją wzięła pod swoje skrzydła, po wszystkich tych godzinach przesiedzianych w kuchni Ulli, gdy porównywały swoje korzenie, bo jej ojciec też był pijakiem, miały ze sobą tyle wspólnego, a Ulla mogła jej tyle dać, także teraz, gdyby tylko Ingrid była gotowa wszystko to przyjąć.

Tymczasem Ingrid poszła do domu, zrobiła sobie kawę i kilka kanapek, zaniósła to wszystko do auta i zjadła śniadanie na siedzeniu pasażera. Ogród był w pełnym rozkwicie, trawnik po ich

stronie działki w ciągu lata tak wyrósł, że zaczął przypominać dzikie zarośla. Nikt od dawna nie kosił trawy. Zazwyczaj robił to Jan. A gdzie on się podziewał? Ach tak, faktycznie.

– Dopilnuję skoszenia trawnika i odstawienia auta na przegład – powiedział w maju – a także wszystkich tych innych rzeczy, które zazwyczaj robię, zmienię opony, wynajmę przyczepę na stacji Shella i wywożę śmieci z ogrodu, zrobię, co w mojej mocy. Ze sprzątaniem domu też będę pomagał. Mogę przychodzić co sobota i robić gruntowne porządki.

Ingrid widywała to w kręgu swoich znajomych. Małżonkowie się rozchodzili i na początku udawali, że nic nie zaszło, na zmianę wyprowadzali się z domu, by nie ganiać dzieci w tę i z powrotem, jeździli razem na wakacje i świętowali urodziny, by sytuacja *nie spowodowała negatywnych skutków w odniesieniu do dzieci*; było to coś w rodzaju miesiąca miodowego rozwodników. Ale prędzej czy później ta bańka pryskała. Prędzej czy później nowa osoba w życiu jednego z rodziców – zazwyczaj młodsza kobieta – żądała ograniczenia czasu spędzanego razem przez byłych małżonków, zaczynały się awantury o rozmieszczenie przy stole na weselach, kto gdzie będzie siedział i kto kogo znał dłużej. I nagle ta nowa kobieta zachodziła w ciążę, potrzeba było większego mieszkania, wspólny dom należało podzielić, sprzedać, spłacić, rozliczyć się z byłym małżonkiem i w ten sposób dawna rodzina ulegała rozbiórce, deska po desce, i nikt nie był w stanie temu zaradzić. Ingrid widziała, jak dorosłe kobiety zmieniają się w potwory, próbując zapobiec temu demontażowi, ale ponieważ walka z rozbiórką była jednocześnie walką z nową rodziną, a zatem z odwiecznym tarciem, stanowiącym z kolei samą podstawę życia oraz siłę pchającą wszystko do przodu, bez względu na koszty, wojna toczyła się nadaremno.

Zaledwie za parę tygodni miał się zacząć rok szkolny, a Ingrid nie była w stanie zwizualizować sobie ani pozostania w domu, ani wyprowadzki, podobnie jak nie wyobrażała sobie, by Jan miał przychodzić w odwiedziny do swoich rodziców, defilować przed brązowym domem w drodze na niedzielny obiadek u mamusi i tatusia, z Hanne u boku, a być może z czasem również pchając dziecięcy wózek, podczas gdy ona sama stałaby przyczajona za firanką albo, co gorsza, dostawałaby również zaproszenia na te obiady, w imię przyjaźni i postępu, będąc w ten sposób stawiana w kolejnej sytuacji, gdzie każde wyjście jest niewłaściwe i gdzie zarówno przyjsście, jak i nieprzyjsście do byłych teściów byłoby tak samo nie na miejscu.

Wieczorem znów położyła się w aucie. Przedtem wymontowała dwa tylne rzędy siedzeń i wstawiła je do garażu, znalazła w domu najostrzejszy nóż, jaki miała, i przycięła materac tak, by pasował. Zabrała z sypialni kołdrę i kilka poduszek. Umyła zęby i włożyła piżamę, a gdy tylko umościła się w swoim ciepłym gniazdku, zaczęło padać, ona zaś usnęła po kilku zaledwie minutach, słuchając bębniących o dach auta kropli.

Przez kilka kolejnych dni nadal padało, a Ingrid nadal nocowała w samochodzie. Powtarzała sobie, że ten nowy zwyczaj służy tylko wypracowaniu dobrych nawyków związanych ze snem. Prędzej czy później będzie przecież musiała wrócić do łóżka. W każdym razie na pewno jesienią. Kupi sobie wtedy małe mieszkanko w Lambertseter. Każdej nocy przesypiała od ośmiu do dziewięciu godzin. Cały ten nieprzerwany sen przepełnił ją nową energią, w końcu zeszła do piwnicy i odkopała cały ekwipunek kempingowy, jeszcze z czasów, gdy chłopcy byli mali i gdy wybrali się z nimi do lasów Nordmarka za miastem. Odkryła niemal nieużywaną kuchenkę turystyczną; kupili najdroższy i najlepszy model z myślą, że będzie im służyła na wielu wypadach. Ale chłopcy nie byli zachwyceni spaniem w namiocie i dlatego skończyło się na tym

jednym razie. Odnalazła koszulki i długie spodnie ze specjalnego materiału chroniącego ciało przed wilgocią, odzież przeciwdeszczową tego samego typu, wodoszczelną i lekką, znalazła podróżne ręczniki, które można było zwinąć tak, że prawie wcale nie zajmowały miejsca, płachtę na deszczówkę, zasilaną bateriami latarkę, szwajcarski scyzoryk, składany stolik i składane krzesła; wszystko to kupili, a potem schowali w piwnicy. Znalazła sztucce, talerze, plastikowe filiżanki i kubeczki, wszystko najlepszej jakości. Skąd się wzięły te rzeczy? Piwnica pełna była skrzynek i toreb – co też w nich leżało? Tyle zachodu, tyle wydanych pieniędzy. A teraz to się skończyło.

Zaniosła sprzęt do auta, posegregowała go do różnych plastikowych skrzynek, które również znalazła w piwnicy, i napisała na nich markerem: „Ubrania”, „Kuchnia”, „Higiena”. Nie do końca wiedziała, dlaczego to robi, może wybierze się na małą wycieczkę, w końcu zostało jej jeszcze parę tygodni wakacji. Tylko gdzie miałyby pojechać?

Gdy się nad tym zastanawiała, zaczęła sprzątać w domu, chcąc wykorzystać wszystkie te nowe siły, tchnięte w nią przez regularny sen. Sortowała, wyrzucała i oddawała, a każda reklamówka wypełniona ubraniami i bibelotami, którą wrzucała do kontenera Armii Zbawienia w Sæter, dawała jej nowe doznanie rozkoszy. Jakie to dziwne, myślała, karmiąc kontener kolejnymi torbami, że radość, którą czuła, pozyskując te wszystkie przedmioty, była niczym w porównaniu z radością płynącą z pozbywania się ich. Bum, mówił kontener, gdy torby spadały na jego dno, a dźwięk ten niósł ze sobą obietnicę, wieszczył poprawę albo przynajmniej zmianę, zupełnie jak to uczucie, kiedy się jest w podróży.

– Co ty wyprawiasz? – spytał ją pewnego ranka Jørgen, gdy wpadli na siebie na żwirowej ścieżce łączącej oba domy.

– *Minimalizuję* – odparła Ingrid. – Pozbywam się niepotrzebnych rzeczy.

Widząc niepokój malujący się na twarzy Jørgena, dodała:

– Nie wyrzucam niczego, co należy do Jana albo do chłopców. Po prostu przez te wszystkie lata strasznie dużo się nzbierało. Właśnie opróżniłam całą komodę i pomyślałam: na co mi ta komoda? Więc wystawiłam ją na FINN i, abrakadabra, ktoś zaraz przyjechał ją zabrać.

Jørgen pokiwał głową i poszedł dalej, bo Ingrid na razie jeszcze do nich nie przyszła, nie usiadła przy kuchennym stole, nie opowiedziała, płacząc, o wszystkim, co się stało. Ona zaś spojrzała za nim, myśląc, że niedługo będzie musiała usiąść z nimi przy stole i trochę popłakać, zrobić to, czego od niej oczekiwali. Ale ostatecznie tego nie zrobiła. Bo jaki był sens zachowywać się porządnie, skoro nie robił tego nikt inny, po co przestrzegać zasad, gdy wszyscy inni je łamali, napierali na życie całym swoim ciężarem, pozwalali, by żądze i nałogi pełniły się z niszczyielską siłą – a Ingrid ma tymczasem siedzieć grzecznie przy stole i robić wszystko tak jak wcześniej? Miałyby tu zostać z dwoma dorosłymi mężczyznami, podcierać im tyłki, zmiatać po nich okruszki, być jedyną osobą, która zmienia żarówki, płaci rachunki za prąd, bierze na siebie tysiąc innych obowiązków i wydatków tylko dlatego, że Jan postanowił już w tym nie uczestniczyć, zainwestować swoje siły w inne przedsięwzięcie?

Ingrid uszyła zasłonki do caravelle'a. Kupiła żyłki i haczyki w sklepie motoryzacyjnym Biltema i już wkrótce wszystkie szyby z tyłu auta miała zasłonięte granatową tkaniną, którą w każdej chwili można było rozsunać. Ten sam materiał zawiesiła pomiędzy częścią sypialnianą a przednimi siedzeniami, tu także w charakterze zasłony, i dzięki temu mogła leżeć w aucie niewidoczna dla nikogo z zewnątrz. Zaciągnęła zasłony i położyła się na materacu. Po chwili

usłyszała dobiegające z ogrodu kroki, po ich rytmie rozpoznała Ullę, i w chwili, gdy Ulla przechodziła obok auta, nie mając pojęcia, że ktoś w nim leży, Ingrid ogarnął zachwyty, jakiego nie czuła od wielu lat, jakiego być może nie czuła jeszcze nigdy w życiu, zachwyty tak ogromny, że musiała przymknąć oczy. Leżała tak z zamkniętymi oczami i błogim uśmiechem na ustach.

Każdego dnia spędzała w caravelle'u trochę więcej czasu. Grała w wymyśloną przez siebie grę: czego tak naprawdę potrzebuje w domu? Potrzebowała toalety, a od czasu do czasu również prysznic. Ale ponadto: niczego. Wszystkie posiłki jadła teraz w aucie lub, precyzyjniej rzecz ujmując, przed autem. Siadała na krzeselku turystycznym, ubrana w lekką odzież outdoorową, i jadła posiłki ugotowane na kuchence, z plastikowych talerzy, plastikowymi sztućcami, popijając je wodą z plastikowego kubeczka. A potem zmywała naczynia w wodzie z ogrodowego kranu. Wszystko to wymagało odrobiny wysiłku, ale Ingrid odkryła, że zajmowanie się tym przynosi jej zupełnie inny spokój niż snucie się z pokoju do pokoju w domu i nadzorowanie wszystkich stojących tam sprzętów oraz urządzeń. Zdziwiła ją liczba i rozmiary tych pomieszczeń – gdy wchodziła do domu po czasie spędzonym w aucie, czuła się jak w pałacu. A po co jej cały pałac, te wszystkie komnaty, przecież potrzebowała tylko caravelle'a, lubiła poczucie ograniczenia związane z tym, że wszystkie swoje rzeczy miała w aucie. Przestała się malować, a pewnego dnia sama obcięła sobie włosy nożyczkami do paznokci. Miała zamiar, stopniowo, lecz konsekwentnie, rezygnować ze wszystkiego, na co wcześniej wydawała pieniądze. Chciała znaleźć inne rozwiązania, by w końcu móc się uwolnić od konieczności chodzenia do pracy. Robiąc to wszystko, jednocześnie uważnie obserwowała samą siebie. Czekwała, aż to się skończy, aż na powrót znormalnieje. Podobnie jak Ulla, która mijając ją czasem, gdy siedziała przed autem z rozstawionym wokół siebie sprzętem.

– Jestem na kempingu we własnym ogrodzie – mawiała wtedy Ingrid.

– Ach tak – odpowiadała Ulla i dreptała dalej, a Ingrid jak zawsze zadawała sobie pytanie, czy była szalona wcześniej, czy oszalała dopiero teraz. Czuła się dobrze w aucie i wokół auta, gotowała sobie owsiankę na kuchence turystycznej i przesypiała całe noce, lecz fakt, że czuła się dobrze, nie wykluczał jej szaleństwa. Pacjenci psychiatryczni w fazie maniackalnej również deklarują, że nigdy nie mieli się lepiej.

Pewnego dnia, po przespaniu w aucie pełnego tygodnia, Ingrid zeszła do piwnicy i znalazła tam wiadro z pokrywą. Następnego ranka wysikała się do wiadra, zamiast iść do toalety w domu, a kiedy wiadro było już pełne, wylała jego zawartość na grządkę z kwiatami przy garażu. Papier toaletowy wrzucała do reklamówki, którą następnie umieszczała w zwykłym śmietniku. Wiadro, reklamówka, sikanie, wyrzucanie. Koniec końców pochłaniało to mniej czasu i energii niż posiadanie toalety ze wszystkimi tego konsekwencjami w postaci pracy, by zarobić na prąd, wodę, opłaty lokalne, odsetki i raty, a na dodatek jeszcze na sprzątanie i środki czystości. Z jednej strony cała ta praca tylko po to, by posiadać i eksploatować toaletę, a z drugiej strony – wiadro z pokrywą, reklamówka i rolka papieru.

Raz na dobę Ingrid musiała mimo wszystko odwiedzać toaletę w domu, bo jeszcze nie wymyśliła, jak sobie poradzić z odchodami stałymi. Ale po dłuższym zastanowieniu w końcu wykopała niewielki dołek między domem a żywopłotem, w miejscu niewidocznym zarówno z okien Ulli i Jørgena, jak i od strony drogi. Kupiła nawilżane chusteczki i worek kory do ściółkowania, tego samego typu, jakiej używali w wychodku w Ustaoset, i ustawiła go przy dołku razem z reklamówką. Po załatwieniu swojej sprawy przysypała wszystko korą. Podtarła

się i podmyła, umieściła zużyty papier i nawilżane chusteczki w reklamówce, zawiązała ją i wyrzuciła.

Komórkę ładowała w garażu, gdzie było gniazdko. Teraz musiała tylko wymyślić, jak obejść kwestię prysznic i już w ogóle nie będzie miała żadnych powodów, by wchodzić do domu.

Znalazła w piwnicy balię do prania, którą do połowy wypełniła wodą z ogrodowego kranu, po czym na kuchence turystycznej zagrzała w czajniku trochę więcej wody i dołała wrzątek do balii. Zniosła ją do auta, postawiła obok materaca, wyjęła mydło, dwie ściereczki i lekki ręcznik turystyczny, który można było zwinąć w cienki rulonik, zaciągnęła zasłonki, rozebrała się i jedną ze ściereczek umyła twarz, uszy i szyję. Wypłukała ściereczkę i umyła się nią raz jeszcze, tym razem bez mydła, a na koniec wykręciła ją i powiesiła do wyschnięcia na plastikowych skrzynkach opisanych markerem. Następnie sięgnęła po drugą ściereczkę i powtórzyła procedurę, tym razem myjąc się pod pachami i w kroku, na koniec zaś wytarła się ręcznikiem.

Ingrid mieszkała w aucie przez tydzień i ani razu nie weszła do domu. Czuła się zadbana i wypoczęta, ale gdy z rzadka, w drodze do sklepu, gdzie kupowała jedzenie, zerknęła na swoje odbicie w samochodowym lusterku lub szybie, dochodziła do wniosku, że bardzo się zmieniła. Outdoorowa odzież, plecak i pochylone w marszu barki upodabniały ją do mieszkających w sąsiedztwie starszych kobiet, wdów żyjących samotnie w zapuszczonych willach, na których utrzymanie nie miały pieniędzy. One też snuły się ze swoimi plecakami w poszukiwaniu przecenionych lub darmowych towarów, przeglądały gazety w bibliotece i zawsze pierwsze stawiały się na pchlim targu. Powykręcany przez reumatyzm palcami grzebały w sprzętach kuchennych, podnosiły kieliszek do jajek z rysą i próbowały stargować cenę do jednej korony.

Dwunastego sierpnia minęły dwa tygodnie, odkąd zamieszkała w aucie. Za kilka dni miało się zacząć planowanie nowego roku szkolnego, niedługo też mieli wrócić chłopcy. Przyszedł czas, by i ona wróciła do domu, włożyła zwykłe ubranie, na nowo podjęła przerwane dawne życie. Nie mogła się przecież z niego w ten sposób wypisać, to wszystko to był w końcu tylko eksperyment.

Po południu przyszła do niej Ulla. Powiedziała:

– Pies sąsiadów cały czas węszy pod żywopłotem. Nie mogę się tam dostać, bo jest bardzo wąsko. Czy mogłabyś sprawdzić, co tam leży? Może martwy kot albo wiewiórka.

Po pięćdziesięciu przeżytych w Norwegii latach Ulla wciąż używała szwedzkiego odpowiednika słowa „wiewiórka”, podobnie jak upierała się przy szwedzkich czasownikach „przynosić” i „zamawiać”.

– Sprawdź to – powiedziała Ingrid i gdy tylko Ulla zniknęła z pola widzenia, poszła do swojej toalety i zakopała ją pod grubą warstwą ziemi. Następnie znalazła nowe miejsce, w innym ukrytym zakątku ogrodu, myśląc jednocześnie, że już dłużej nie można tego ciągnąć, i w końcu, czternastego sierpnia, udała się do lekarza pierwszego kontaktu. Opowiedziała o swoich rodzicach, o dorastaniu w domu dziadków, o odejściu Jana i wyznała, że teraz myśli już tylko o jednym, czyli o odebraniu sobie życia, jak jej matka. Nie chciała umierać, ale była taka zmęczona. Nie miała już siły. Pół godziny później wyszła z gabinetu, ściskając w dłoni zwolnienie lekarskie na dziesięć tygodni. Ingrid nigdy wcześniej nie była na zwolnieniu, nawet podczas ciąży z chłopcami. Ale ludzie przecież cały czas chorowali. Szkoła ciągle musiała szukać nauczycieli na zastępstwo. Wysłała zwolnienie mailem do swojego pracodawcy i po zaledwie pięciu minutach nadeszła odpowiedź: niech Ingrid spokojnie wraca do zdrowia, znajduj

zastępstwo i będą na nią czekać jesienią, serdeczne pozdrowienia, kierownik działu kadr.

Ingrid wgapiła się w sformułowanie *spokojnie wraca do zdrowia*. Ale to teraz jestem zdrowa, pomyślała. To, co oni rozumieją przez wracanie do zdrowia, to tak naprawdę *wracanie do choroby*. Fakt, że będą na nią czekać jesienią, był równoznaczny z tym, że będą czekać, aż znów zachoruje, przestanie spać, zacznie cały dzień udawać kogoś innego, stać w ciemnościach, gorączkowo szukając kluczy, spryskiwać majtki odplamiaczem, oglądać na spotkaniach rodzinnych Jana i Hanne (oraz, prędzej czy później, rosnący brzuch tej ostatniej), czekać, aż wróci do niezrozumiałych książek i ludzi tarasujących wejście w tramwaju. Tymczasem Ingrid nie była już nawet w stanie mieszkać w domu. A próbowała. Przez dwa dni, zanim poszła do lekarza, naprawdę podjęła próbę. Usiłowała spać w łóżku; wciągnęła materac z powrotem po schodach i przeleżała noc, a potem jeszcze jedną, rzucając się i pocąc, a czas znów został podziurawiony przez nagłe przebudzenia i natrętne myśli, rankiem zaś snuła się po ogromnych komnatach, próbując czerpać radość z faktu, że tu może wyprostować plecy, w *caravelle*'u przecież nie mogła. Ale na nic się to nie zdało. Przebywanie w tym gigantycznym domu przyprawiało ją o agorafobię, pragnęła tylko wrócić do auta, poczuć wokół siebie bezpieczną ograniczoną przestrzeń. Dlatego po dwóch dobach znów staszczyła materac po schodach, wepchnęła go do auta i wróciła do kempingowego życia.

Po powrocie od lekarza zadzwoniła do Jana, który akurat był w Turcji.

– Nie chcę tu dłużej mieszkać. Spłać mnie. Odsprzedam ci pół domu i w zamian za to kupię sobie mieszkanie, może w centrum albo w Lambertseter, jeszcze się nad tym nie zastanawiałam, ale tak czy inaczej chcę się wyprowadzić, i to jeszcze przed zimą.

– Trochę mnie zaskoczyłaś.

– Hanne ma mieszkanie, ono jest chyba coś warte.

– Muszę z nią najpierw o tym porozmawiać, przecież nie ma pewności, czy ona chce takiego rozwiązania.

– Nie przeszkadza ci, że wzięłam samochód, prawda?

– Nie, przecież mówiłem. Weź go.

– Tak się składa, że planuję wybrać się nim na wycieczkę, mam zamiar wyjechać dzisiaj i wrócić za parę tygodni. Ale jak wrócę, nie będę już mieszkać w domu. Więc możesz się tu z powrotem przeprowadzić, jeśli tylko chcesz.

– Niczego już nie rozumiem. Czy tobie przypadkiem nie zaczyna się zaraz rok szkolny?

– Dostałam zwolnienie na dziesięć tygodni.

– Zwolnienie? Dlaczego?

– Lekarz sądzi, że mam myśli samobójcze. Ale nie musisz się denerwować. Powiedziałam mu tak, żeby dostać to zwolnienie. Nie mam zamiaru się zabijać. Nigdy nie czułam się lepiej, po prostu nie mam teraz siły wracać do pracy. A biorąc pod uwagę, że przez te wszystkie lata nie byłam na zwolnieniu ani jednego dnia... teraz moja kolej, żeby pożerować na innych. Moja kolej, by zostać pasożytem.

– Ale gdzie będziesz mieszkać?

– W mieszkaniu, które sobie kupię.

Ingrid wcale nie planowała wprowadzać się do żadnego mieszkania, zamierzała kupić

mieszkanie, a następnie je wynająć i nadal żyć w samochodzie. Możliwe rzecz jasna, że spojrzę na to nieco inaczej z nadejściem zimy. Nocować w aucie w sierpniu a w styczniu to dwie zupełnie różne sprawy. Ale najpierw miała zamiar jakiś czas „pochorować”, pojeździć tu i tam, by zobaczyć, jak to jest, ruszyć na południe, uciec przed zimą, wypocząć; jeszcze nie zdążyła się przyzwyczaić do cudownego uczucia po przespanej nocy. Będzie zmywać w białej balii, spędzać dni na zaspokajaniu podstawowych potrzeb, takich jak jedzenie, mycie, chodzenie do toalety. Nie była już w stanie sobie przypomnieć, czemu kiedyś ubierała się co rano, stawiała się w szkole i pozwalała, by nią szarpano i pomiatano, czemu pozwalała, by działo się z nią to wszystko. Po co? Te dwa słowa dźwięczały w głowie Ingrid, gdy popijała kawę na siedzeniu kierowcy. Po co?

8

Jan nie był już zakazany. Stał się dozwolony, zostali parą. Mieszkali razem i fakt, że chodzili ze sobą do łóżka, był czymś całkowicie normalnym. Za każdym razem, gdy to robili, państwo i gmina bili im brawo, stanowiło to jedną z wielu wizji migoczących na siatkówce oka Hanne, gdy Jan się w niej poruszał: wszyscy ci urzędnicy, dopingujący ich i klaszczący do rytmu, mimo że Jan wedle rejestru ewidencji ludności nadal mieszkał pod swoim dawnym adresem, a na Tøyengata miał ze sobą tylko kilka osobistych drobiazgów przyniesionych w sportowej torbie.

– Zrobiłem to wreszcie – oświadczył Jan, gdy leżeli w łóżku tamtego wieczora, po jej powrocie z Prowansji.

– Co zrobiłeś?

– Powiedziałem o wszystkim Ingrid.

– Co takiego? – Hanne aż usiadła. – I co ona na to? Jak zareagowała?

– Nie mówiła zbyt wiele. To ja zacząłem histeryzować.

– Nic nie powiedziała?

– Była w szoku. Niczego nie podejrzewała.

– Jak to możliwe? I dlaczego wcześniej nie porozmawiałeś ze mną?

– Nie chcesz, żebym tu był?

– Chcę, ale mogłeś wysłać mi esemesa.

– W ostatnim tygodniu wysłałem ci ze sto esemesów, a ty mi, kurwa, na żadnego nie odpowiedziałaś.

– Jakbyś mi powiedział, że planujesz odejść od Ingrid, tobym odpowiedziała.

– Co to ma być? Zaledwie kilka tygodni temu napisałaś mi, że...

Jan wstał i wyszedł do przedpokoju. Ostatnio przytył parę kilo i jego ciało, widziane od tyłu, przywodziło na myśl proporcje ciała niemowlęcia. Po chwili wrócił i stanął w drzwiach. Włożył okulary i mrużył oczy, wpatrując się w ekran komórki. Wielki siwy niemowlak w okularach.

– *Półtora roku powinno wystarczyć na podjęcie decyzji.* Czy to przypadkiem nie ty to napisałaś? A co teraz, do cholery, sądzisz na ten temat?

Jan powiedział jej, że nigdy się z Ingrid nie kłócili. Może to wszystko dlatego, myślała Hanne, siedząc na łóżku i patrząc na niego, bo często odnosiła wrażenie, że wszczynął kłótnie wyłącznie dla zabawy, jakby chciał się popisać przed jakąś niewidzialną publicznością: zobaczcie, jaki mam temperament, patrzcie, jak namiętny jest nasz związek!

– Próbujesz mi powiedzieć, że jednak mnie nie chcesz, po tym wszystkim, przez co przeszliśmy?

Hanne wstała, podeszła do niego i zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Oczywiście, że cię chcę. Po prostu nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jesteś.

Ale nie minęło parę tygodni, a Hanne zaczęła tęsknić za ciągłym sprawdzaniem telefonu, za robieniem scen, w czasie których drżała na całym ciele, wrzeszcząc, że nie chce go widzieć, póki nie załatwi sobie separacji czy rozwodu. Tęskniła za zżerającym ją od środka straszliwym, nieznośnym poczuciem winy wywołanej faktem, że niszczy czyjąś rodzinę. Za widywaniem się z nim mimo tego wszystkiego i rzucaniem się w jego ramiona w deszczu czy śniegu wśród mijających ich na chodniku ludzi, tęskniła za wszystkim, co niewypowiedziane, za jego krokami dźwięczącymi na korytarzu i na schodach, za biciem serca tak mocnym, że wszystko inne zniknęło.

Nie mogła oczywiście nikomu o tym powiedzieć, ledwie była w stanie o tym myśleć, i dlatego też skupiła się na kolejnym celu, jakim miało być znalezienie nowego miejsca do zamieszkania. Ale Jan nie chciał brać kredytu, nie chciał podpisywać żadnych papierów, bał się o Ingrid, o to, co z nią będzie, jakim cudem jej się uda odkupić od niego połowę domu. Janowi było dobrze na Tøyengata, ale ona wciąż czuła smród łazienki oraz tych wszystkich nocy, kiedy leżała sama na starym materacu, pijana albo naćpana i przygnębiona. Poza tym chciała spróbować, była to winna starej wersji samej siebie, teraz, gdy wreszcie dostała to, czego tamta wersja tak bardzo pragnęła, ale czego ona sama już dłużej nie chciała, bo w jakimś sensie zrobiło się za późno, zupełnie jakby Jan był czymś z minionego roku, czymś, co zdążyła już za sobą zostawić. Lecz mimo to stanął na jej wycieracze na Tøyengata ze sportową torbą na ramieniu.

Od czasu, kiedy ostatnio byli razem, coś w nim wyblakło, zmatowiał cały jego blask, a ona nawet nie wiedziała dlaczego. Czyżby po prostu dlatego, że teraz, gdy wreszcie mogła go mieć, już go nie pragnęła? Ale jeśli o to chodziło, to musiała spróbować jakoś to przewalczyć, bo na taki neurotyzm nie można sobie pozwolić, gdy ma się zaledwie pięć lat do czterdziestki.

Był piątek, Jan stał w kuchni i robił sos do makaronu. Kupił wino, które odkorkował, a Hanne miała ochotę wywrzeszczeć mu prosto w tę jego zadowoloną gębę, że do czterdziestki zostało jej pięć lat, że nie chce już mieszkać w tej dziurze, chce kupić mieszkanie w szeregowcu w jakiejś przyjaznej dzielnicy i zacząć remont, że chce zostać matką. Pewnego wieczora zdobyła się w końcu na szczerą rozmowę, ale nie o dzieciach, tylko o tym, że ma dość mieszkania na Tøyengata, bo wiąże z tym miejscem wiele przykrych wspomnień. Wyznała, że doświadczyła tu tak wiele tęsknoty i samotności, że marzy, by kupili razem jakieś mieszkanie, które mogliby wspólnie urządzić, zacząć coś razem od początku.

Siedzieli w salonie. Pod ścianami leżały stosy książek i magazynów, Hanne tłumaczyła to, mówiąc, że nigdy nie miała dość czasu, by się tu zadomowić, nie wspomniała natomiast, że nigdy nie miała czasu zadomowić się gdziekolwiek, bo wciąż przenosiła się z miejsca na miejsce. Jan potoczył wzrokiem dokoła.

– Urządzić? Myślałem, że nie interesują cię takie rzeczy.

– Ależ interesują. Mam poczucie, że przez całe swoje dorosłe życie od czegoś uciekałam. Było w tym wszystkim tyle niepokoju, teraz chcę to zmienić i stworzyć prawdziwy ciepły dom. Zapraszać ludzi na obiady. Chcę mieć krąg znajomych, jakąś grupę, do której bym mogła należeć. Przez ostatnie lata nie byłam nawet nigdzie zapraszana na sylwestra. Chcę mieć krąg znajomych, w którym nigdy nie będzie wątpliwości co do tego, gdzie spędzamy sylwestra. Żebyś mogła cię zapytać: Co robimy w sylwestra? I żebyś ty mógł mi odpowiedzieć: Ależ jak

to? Przecież idziemy do Pera i Kari, jakżeby inaczej.

– Kim są Per i Kari?

– Nie wiem, to tylko taki przykład.

Ale ponieważ Jan chciał zaczekać z kupnem mieszkania, Hanne musiała znaleźć sobie nowy cel i wkrótce zaczęła kupować testy ciążowe. Jan zasypiał, a ona leżała z nogami opartymi o ścianę. Za każdym razem, gdy wychodziła na lunch, kupowała test w aptece, wchodziła do kawiarni, robiła test w toalecie, zamawiała kawę i siadała przy stoliku. Otwierała torebkę, patrzyła na plastikowy patyczek i wmawiała sobie, że dostrzega drugą czerwoną kreseczkę, robiącą znak plus ze znaku minus, i dla pewności powtarzała całą procedurę, ale kolejny patyczek też pokazywał znak minus, ona wobec tego musiała kupić nowy test, i tak wszystko się powtarzało. Nie mówiła o tym Janowi, który i tak był zajęty rozmawianiem z synami, dzwonieniem do Ingrid, rodziców, znajomych albo bieganiem, albo laptopem, iPadem lub iPhone'm, bądź też gędzeniem, jak to mu jest dobrze i jaka to ulga, że wreszcie podjął właściwą decyzję.

9

Jan szedł chodnikiem z poczuciem, że coraz głębiej się zapada w jakieś błoto. Krok za krokiem grzązł w ciemnej, brunatnej, gęstej mazi.

Szedł chodnikiem i myślał o śmierci, siedział w tramwaju i myślał o śmierci, widział ją w twarzach wszystkich pasażerów.

Jak umrzecie, myślał sobie, to będą kwiaty, wieńce, przemowy i nekrologi głoszące, jaką po sobie zostawiliście pustkę, laudacje chwalące was pod niebiosami. I wszyscy wypełzną ze swoich kryjówek. Jan zastanowił się, kto wypełźnie po jego śmierci. Zachodził w głowę, czy Ingrid przyszłaby na jego pogrzeb. Zupełnie jakby powoli rozwiewała się spowijająca go dotychczas mgła albo jakby się obudził po operacji, a narkoza stopniowo przestawała działać na jego ciało, całe poranione i zabandażowane.

Jan myślał, że od teraz wszystko będzie inaczej. Podobnie jak każdego popołudnia. Próbował ignorować strach na myśl o powrocie do domu, gdzie Hanne leżała w sypialni, a chłopcy w swoich pokojach, w kuchni zaś panował chaos – ten szczególny typ chaosu, gdy troje ludzi zjada swoje posiłki, każde osobno, i nie sprząta po sobie przez cały dzień.

Jan próbował robić jeden krok naraz, żyć z godziny na godzinę. Nabrał nawyku rozmawiania z samym sobą. Teraz posprzątasz w kuchni. Nie wrzeszcząc, nie złorzecząc, po prostu posprzątasz. Potem zajrzysz do chłopców, a na końcu pójdiesz do Hanne, ale dopiero na końcu. Nie od razu, mimo że tego właśnie chcesz, mimo że uważasz, iż tak powinienes.

Jan chciał cofnąć czas i zrobić wszystko inaczej. W czasie *tajemnego okresu*, półtorarocznego romansu z Hanne ukrywanego przed Ingrid, myślał sobie wiele razy: jestem na to za stary.

Teraz chciał wrzasnąć sam do siebie tak głośno, by jego wrzask dotarł do niego w przeszłości: owszem, masz rację! Zdecydowanie jesteś na to za stary!

Powinien pozwolić Hanne przepłynąć obok siebie, tak jak stara mądra ryba pozwala na to kolorowej przynęcie. Ryba obwąchuje ją może przez chwilę, ale potem płynie dalej i jej nie rusza, tak właśnie powinien zachować się on, gdy przed dwoma laty Hanne siedziała na barowym stołku, ssąc jego palce.

Jan przypomniał sobie sytuację sprzed wielu lat, gdy był małym chłopcem i jechał z matką autobusem. Chciało mu się siusiu, a Ulla kazała mu wytrzymać, bo już niedługo będą w domu. Ale on nie chciał dłużej czekać i zwyczajnie zsiakał się w majtki. Zażenowanie pokrył popisową dziecięcą histerią, na którą wtedy był już właściwie za duży, i zaczął płakać, stojąc w tym tramwaju, a siki z niego płynęły. On zaś cały czas patrzył na siebie z zewnątrz, korygując i dostosowując dostępne mu środki wyrazu, by jakoś wybrnąć z ambarasu, jakim było zmoczenie się w wieku czterech lat, na długo po tym, jak przestał nosić pieluchę. Jan pamiętał chwilę, gdy rozluźnił zwieracze i pozwolił, by ciepło rozlało się po wewnętrznej stronie jego ud. Mógłby się

rzecz jasna powstrzymać, co powinien był zrobić i wtedy, na koncercie gwiazdkowym z Hanne. Wtedy też mógł cofnąć dłoń, wstać i udać, że się źle poczuł, udać, że jest dużo bardziej pijany niż w rzeczywistości. Miał tyle możliwości, tyle różnych dróg odwrotu, lecz mimo to postanowił wejść w to coś, w czym tkwił tak głęboko teraz, siedząc w tramwaju, wracając do domu. Krótka podróż komunikacją miejską była spokojną chwilą wytchnienia, zanim wszystko wybuchnie mu w twarz, a wybuchało każdego popołudnia, chyba że udawało mu się wymyślić jakąś wymówkę, by zostać w pracy. Jan zamknął oczy. Nie miał pojęcia, że można być tak zmęczonym, tak kompletnie wyczerpanym, pozostając jednocześnie przy życiu. Tymczasem wszystkie jego narządy działały jak należy, serce biło, a na ostatnim badaniu okresowym lekarz powiedział mu, że mógłby bez problemu dożyć setki.

– Chcesz chyba, żebym od razu się wyprowadził – rzucił tamtego wieczora, kiedy powiedział Ingrid o Hanne. Ingrid przez długi czas siedziała bez słowa, tylko się w niego wpatrując. Jan wyobrażał sobie, że to on będzie spokojny, smutny, lecz opanowany, że to Ingrid straci panowanie nad sobą. A potem Jan odejdzie, zdecydowanym, lecz spokojnym krokiem, odchodząc zaś powie: nie ma sensu teraz o tym rozmawiać, zadzwonię do ciebie później. Ingrid będzie się natomiast wściekać i wrzeszczeć – w jednej z wersji wydarzeń, które układał sobie w głowie, rzucała się na podłogę i chwyciła go za nogi, on zaś musiał delikatnie, lecz stanowczo uwalniać się od niej – ale mimo to odchodził, a po drodze pukał do Ulli, by poinformować ją, co się stało; na tym etapie Jan wyobrażał sobie, że płacze, że stoi na progu domu swojej matki, a po policzkach płyną mu łzy, ale tylko po to – dopiero teraz to pojął – by Ulla szybciej zareagowała, pobiegła w te pędy do Ingrid i się nią zajęła. Taki miał plan. Lecz zamiast tego Ingrid tylko siedziała przed nim bez słowa, pozostawiając go samemu sobie. Czy to było normalne? Czy to normalna reakcja na sytuację, gdy mąż po dwudziestu pięciu latach małżeństwa oświadcza, że cię porzuca? A może Ingrid była zaburzona, a on zawsze o tym wiedział, może to, co zrobił, miało po prostu stanowić ucieczkę od zaburzonej osoby, ucieczkę, na którą powinien się zdobyć już dawno?

A potem, wyobrażał sobie Jan, Ingrid będzie do niego w kółko wydzwaniać przez całą dobę, ubliżać mu, nastawiać przeciwko niemu chłopców, ale w końcu, któregoś dnia bliżej świąt, sytuacja się uspokoi i będą mogli obchodzić Gwiazdkę na neutralnym gruncie u jego rodziców. W końcu Ingrid i Hanne się zaprzyjaźnią i wreszcie, pewnego wieczora podczas wspólnego obiadu, Ingrid zajrzy mu głęboko w oczy i podziękuje. Jan nie do końca miał jasność, za co miałyby mu dziękować, a mimo to o tym fantazjował, zakładając, że wszystko zajdzie swój szczęśliwy koniec, że ostatecznie wyjdzie z tego coś dobrego.

A gdy nie stało się nic z tego, co sobie zaplanował, gdy wszystko rozeszło się krzywo we wszystkich kierunkach, Ingrid zaczęła sprzątać dom, oddawać rzeczy i wciąż mówiła tylko o separacji i *podziale majątku*, Jan się wściekł, że nikt go nie powstrzymał, że wszyscy ot tak pozwolili mu zachowywać się w ten sposób: Ingrid (która była ślepa i głucha), rodzice, społeczeństwo, znajomi, terapeuta. Bo choć wielu go ostrzegało, nikt nie powstrzymał go *tak dosłownie*. Nikt go nigdzie nie zamknął, nie poczekał razem z nim, aż mu przejdzie.

Jan rozważał przez chwilę poszukanie nowego terapeuty, ale zanim ta myśl zdążyła się w pełni sformułować w jego głowie, pojął, iż życie, jakie wiecie, nie nadaje się już do zgłębiania ani roztrząsania. Jego życie źle znosiło światło dzienne, nie mógł mówić o nim tak, jak potrafił wcześniej, i w ten sposób z dnia na dzień rósł dystans pomiędzy tym, kim był

w rzeczywistości, a tym, kogo udawał.

Jan wracał myślami do człowieka, którym był przed dwoma laty. Takiego niewinnego, czystego, niezbrukanego. I co z tego, że przywodził na myśl starego psa ze wspomnienia. Przecież *był* stary. Już wtedy, a od tego czasu zdążył się zestarzeć jeszcze bardziej. Związek z Hanne stanowił drzwi do nowego życia. Drzwi uchylone, które otworzył z całym impetem i które teraz ciągle trzaskały. Trzaskały mu między uszami, gdy siedział w tramwaju, drżąc na myśl o powrocie do domu.

Nie stanowiło to oczywiście usprawiedliwienia dla faktu, że nawiązał romans z osobą, o którą Hanne nigdy nie przyszłoby do głowy być zazdrosną, bo Julie była jego równolatką, a Hanne zazdrość czuła wyłącznie wobec kobiet w swoim wieku lub młodszych, ponadto Julie miała męża i nie planowała się rozwodzić. Chodziła z Janem do łóżka mniej więcej dwa razy w tygodniu i robili to bez romantycznych gestów, obietnic ani innych upiększeń, które mogłyby tłumaczyć fakt, że ze sobą sypiają. Ale taki układ, dochodził do wniosku Jan, wystarczał mu w zupełności. Nawet więcej niż wystarczał. Dzieci Julie już dawno poszły na swoje, a jej mąż był w delegacjach przez dwieście czterdzieści dni w roku i kiedy Jan szedł z nią do łóżka, zazwyczaj działo się to u niej w domu, często w związku z jakąś robotą, z którą musieli się uporać. Wpisywali do swoich terminarzy *spotkanie robocze* i jechali do Julie, a po wszystkim siadali przy stole w szlafrokach, Julie w swoim własnym, białym, Jan zaś w turkusowym szlafroku jej męża, pachnącym jego wodą po goleniu. Pili kawę i jedli kanapki z laptopami rozstawionymi na wielkim blacie jej jadalnianego stołu.

Julie pytała go co jakiś czas, jak się miewają sprawy z Hanne, z ciążą, z Ingrid.

– Co się właściwie stało z tobą i Ingrid? – potrafiła go zagadnąć. – Było wam razem dobrze, prawda? Nie mieliście chyba żadnych problemów?

W pierwszym odruchu próbował wyjaśniać, powiedzieć, jak to wyglądało, że nie było mu znów tak lekko, ale im dłużej mówił, tym bardziej sam słyszał, że brzmi to jak tania wymówka, że próbuje przedstawić historię tak, by jej zakończenie wyglądało na nieuniknione, na coś, co od początku zapisane było w kartach. W końcu rzucał jedynie:

– Szczęście przychodzi, szczęście odchodzi.

Słowa te potrafiły pojawić się w jego głowie same z siebie, często popołudniami, kiedy siedział w tramwaju do domu. *Szczęście przychodzi, szczęście odchodzi*. To było takie proste. Jego matka miała rację, rację mieli wszyscy moralisci wszech czasów i było to nie do zniesienia.

– Ojej – westchnęła Julie pewnego razu. – Naprawdę udało ci się nabałaganić sobie w życiu, co?

A wtedy Jan musiał opowiedzieć o wszystkim od początku, co powiedziała Ingrid, co zrobiła, a Julie chciała dowiedzieć się o Ingrid więcej, czy to faktycznie prawda, że mieszkała w aucie i jeździła po południowej Europie? Nigdy jej się ten temat nie nudził. Ale Janowi się znudził, więc powiedział:

– A co z tobą? Siedzę tu, w środku dnia, w *szlafroku twojego męża*. I właśnie przed chwilą się *bzykaliśmy*.

Julie nic mu na to nie odpowiedziała, piła tylko swoją kawę, śmiejąc się przy tym tak, że aż drżała mała filiżanka do espresso. Julie i jej mąż mieli taki sam ekspres, jaki kiedyś kupiła Ingrid, taki sam, jaki nadal stał w domu, ale nikt już go nie używał. I Jan, rzecz jasna, zaczął

ostatnio tęsknić za potrójnymi espresso, parzonymi przez Ingrid w sobotnie poranki. Był takim prymitywem, że chwilami nie był w stanie siebie znieść.

Julie i jej mąż przenieśli się do centrum z wielkiego domu w Røa, zajmowali teraz przestronne mieszkanie na Majorstua. Byli na bieżąco z wydarzeniami kulturalnymi, chodzili do kina, na wystawy i do teatru. Na ścianach wieszali obrazy i grafiki, w kuchni mieli pełny stojak na wino. Pewnego dnia Julie i Jan przed powrotem do ministerstwa wypili na spółkę butelkę chianti. Jan wyobrażał sobie kiedyś, że tak właśnie będzie wyglądało jego życie z Ingrid: że przeniosą się do mieszkania w centrum, zaczną chodzić do teatru. Teatr w ogóle go nie interesował, a mimo to cieszył się na myśl, że stanie się człowiekiem, który chadza do teatru, że będzie mógł opowiadać znajomym, iż wybiera się *na sztukę*. Mogliby też chodzić do kina Gimle, rozpierać się wygodnie na miękkich fotelach i oglądać francuskie filmy, popijając wino.

– Opowiadasz o mnie swojemu mężowi? Tworzycie jeden z tych otwartych związków?

– Nie, no co ty, zwariowałaś? – odparła Julie.

– Jak możesz tak go zdradzać?

– A ty jak możesz zdradzać Hanne?

– Ale ty i Roar byliście razem przez te wszystkie lata, jak możesz ryzykować całe swoje życie dla tego tutaj, dla mnie, dla nas?

– Dopóki on o niczym nie wie, nie ma żadnego problemu.

– Jak możesz żyć z tymi wszystkimi kłamstwami?

– A jak *ty* możesz żyć z tymi wszystkimi kłamstwami?

– To co innego.

– Jak to?

– Mnie to przeszkadza.

– Więc jeśli robi się coś nie tak, ale ma się po tym wyrzuty sumienia, to wszystko jest w porządku?

– Nie, ale przeszkadza mi, że tobie to nie przeszkadza.

– Dlaczego?

– Bo wydajesz mi się cyniczna. Zupełnie jakbyś należała do jakiegoś starego szlacheckiego rodu, w którym małżeństwa zawiera się z rozsądku, a oprócz tego trzyma się na boku kochanki i kochanków i ma się zgrają bękartów. Zupełnie jakbyś się w tym wszystkim doskonale odnajdowała. Ja się w tym nie odnajduję, wolałbym, żeby było inaczej, ty natomiast sprawiasz wrażenie, jakby było ci dobrze, siedzisz tu i jesteś z siebie zadowolona, ale nie jesteś wcale ode mnie lepsza tylko dlatego, że tak bezceremonialnie do tego wszystkiego podchodzisz.

Był to pierwszy raz, kiedy doszło między nimi do czegoś w rodzaju kłótni. Julie wbiła wzrok w podłogę. Gdy tak siedziała, skóra na jej twarzy marszczyła się, tworząc bruzdy i zagłębienia, które na co dzień się nie ujawniały.

– Ja też nie uważam, że nasz układ jest idealny – powiedziała wreszcie. – Ale mam za sobą wiele lat doświadczeń i trochę straciłam wiarę w ideały. Teraz wręcz sobie myślę, że to potrzeba perfekcji pociąga za sobą najgorsze konsekwencje. Nie wiem, co wyprawia mój mąż na tych swoich delegacjach i szczerze mówiąc, nie chcę wiedzieć. Gdzieś głęboko we mnie drzemie

potrzeba, by poznać prawdę o tym, co i ewentualnie z kim on tam robi, ale postrzegam tę potrzebę jako coś potencjalnie niszczącego, zresztą całkiem słusznie. On jest zawsze taki czuły, kiedy do mnie wraca, tak miło nam się spędza czas, tak dobrze się razem bawimy, że cieszę się na myśl o starości u jego boku. Niedługo pewnie dorobimy się wnuków, a nie przychodzi mi do głowy nic smutniejszego niż rozwiedzeni babcia i dziadek.

– Skoro tak miło spędza wam się czas i tak dobrze się razem bawicie, to dlaczego siedzę tu w jego szlafroku?

– Bo cię lubię. Fantazjowałam o tobie od dnia, kiedy leżałam u ciebie na sofie, a ty byłeś świeżo upieczonym naczelnikiem. Nie mogę się doczekać tych naszych chwil zapomnienia. A ty nie?

Jan zastanowił się chwilę. W końcu powiedział:

– Tak. Ja też.

I była to prawda. Godziny w mieszkaniu Julie stanowiły jedyny czas, kiedy mógł się rozluźnić, jedyne chwile, kiedy nie musiał mieć się na baczności.

Hanne codziennie kładła się do łóżka około dziewiętej. Mimo to nigdy nie spała, gdy Jan zaglądał do niej kilka godzin później, poznawał to po jej oddechu.

Wszedł teraz do sypialni i ściągnął sweter.

– Hanne? Śpisz?

– Nie.

– Nie możesz zasnąć?

Zdjął spodnie. Gdy tylko się pochylił, pociemniało mu przed oczami i musiał się przytrzymać framugi.

Chwilę wcześniej zajrzał do Jonasa i Martina. Po tym, jak znów wprowadził się do domu, podjął na nowo ten zwyczaj z czasów dzieciństwa chłopców. Na początku nie chcieli z nim rozmawiać, więc Jan siadał i gadał sam do siebie. Ale jesień przyniosła stopniową poprawę i teraz spędzał z nimi czas codziennie, po pół godziny u każdego z synów. Okazało się, że mimo iż byli za duzi na taką wieczorną procedurę, to wcale im ona nie przeszkadzała, tego wieczora Jonas chciał na przykład zobaczyć, ile pompek potrafi zrobić Jan, a gdy się okazało, że zaledwie dziesięć, sam wykonał ich pięćdziesiąt, zmuszając Jana, by je głośno liczył.

– O rany, ale się zrobiłeś silny – powiedział Jan. – Niedługo będziesz w stanie spuścić mi łomot z jedną ręką za plecami.

– Już od dawna jestem w stanie to zrobić – odparł Jonas.

Martin chciał, żeby zagrali przeciwko sobie w grę komputerową i Jan przegrywał raz za razem.

– O rany, ale jesteś w tym dobry – powiedział, a Martin przekonał go, by zagrali jeszcze jedną rundę i Jan przegrał raz jeszcze. Potem Martin poskarżył się na ból karku, on zaś wymasował go i zaproponował, że umówi go do fizjoterapeuty. Na koniec Martin podciągnął koszulkę, demonstrując wysypkę na klatce piersiowej. Zastanawiał się, czy nie ma przypadkiem alergii na mleko i czy Jan nie mógłby przy okazji umówić go do alergologa, jego kolega był u takiego specjalisty, zrobił sobie różne badania i przestał pić mleko, a teraz twierdzi, że czuje się dużo

lepiej. Martin natomiast często bywa zmęczony. Może to dlatego, że ma alergię na mleko? Bo to by wiele tłumaczyło. Jan wyciągnął komórkę i wpisał do terminarza: *Umówić Martina do fizjoterapeuty i alergologa.*

– Dobranoc, Martinie – powiedział.

– Dobranoc – odparł syn.

Jan stał się ich oddanym niewolnikiem. Fakt, że ich matka została zastąpiona młodszą o piętnaście lat kobietą, która zamieszkała w ich domu i wkrótce miała urodzić ich przyrodniego brata, musiał rekompensować uległym zachowaniem, niepodnoszeniem na nich nigdy głosu i ciągłym trzymaniem emocji na wodzy. W dawnym życiu był bardziej spontaniczny, częściej robił to, na co miał ochotę. W życiu nowym mógł się rozluźnić wyłącznie przy Julie. Od czasu do czasu wyobrażał sobie, że odchodzi od Hanne i rozpoczyna związek z Julie, a potem znajduje sobie kolejną kochankę, kolejną *przestrzeń dla siebie*, i tak się to powtarza w nieskończoność.

Owszem, był wiecznym niewolnikiem i chłopem pańszczyńnianym synów, pozostając jednocześnie niewolnikiem Hanne. Najpierw musiał pokutować za to, że czekała na niego te osiemnaście miesięcy, teraz – że mieszka w domu innej kobiety, domu z pomalowaną na lawendowo kuchnią z lat dziewięćdziesiątych, stanowiącymi szczyt bezguścia kafelkami w łazience i dwoma człapiącymi dokoła w milczeniu wielkimi mężczyznami.

Hanne nie odpowiedziała, Jan powtórzył więc pytanie.

– Nie możesz zasnąć?

– Nie.

Hanne płakała. Leżała z twarzą wtuloną w poduszkę i mówiła do niego w sposób mający sugerować zarówno to, że płacze, jak i fakt, iż próbuje to ukryć.

– Dlaczego?

– Nie mam siły o tym mówić.

Była to, rzecz jasna, pułapka. Jan wpadł w nią już kiedyś i teraz nie miał zamiaru powtarzać tego błędu. Najgłupsze, co mógłby w tej chwili zrobić, to rzucić: ach tak, no to dobranoc, skarbie – a potem położyć się spać, choć na to właśnie miał w tym momencie największą ochotę.

Jan zdjął skarpetki i wpełzł pod kołdrę. Próbował objąć Hanne, ale ona się od niego odsunęła. Był tak zmęczony, że brały go mdłości, mimo to zdobył się na przytulny ton głosu:

– Ależ Hanne. Powiedz mi, co cię gryzie. Proszę. Kochanie.

Hanne usiadła. Jej twarz była opuchnięta po wielu godzinach płaczu.

– Nie mam już siły. Ci twoi synowie po sobie nie sprzątaj, nie odpowiadają, gdy coś do nich mówię, wypijają całe mleko i okupują telewizor z tą swoją piłką nożną i brutalnymi filmami. Dlaczego w ogóle oni tu mieszkają? Są przecież niewiele młodszy ode mnie!

– Hanne, przecież nie mogę ich teraz wyrzucić. Jak by to wyglądało? Najpierw wyrzucam Ingrid, a potem ich? To niemożliwe, rozumiesz przecież. Musimy po prostu wytrzymać.

– Wcale nie wyrzuciłeś Ingrid, odeszła całkiem dobrowolnie. A oni nawet nie spuszczaają po sobie wody. Weszłam dziś do łazienki, a w muszli pływał ogromny balas. Wiesz, że sama nie jestem jakaś przesadnie porządnicka, ale co jest nie tak z tymi dwoma, co wyście z nimi zrobili?

Jan nie wiedział, co powiedzieć, więc ją do siebie przycisnął. Byli jeszcze w stadium,

w którym mogli się tak nawzajem uciszać. Ale jej ciało było sztywne i wiedział, że jeśli nie rozwiąże tej sprawy, zanim pójda spać, kolejne dni okażą się piekłem. Przestał egzystować sam dla siebie. Zmienił się w coś w rodzaju mebla w tym domu, mebla, na którym wszyscy siadali, do którego się załatwiali, który drapali. W jego głowie pojawiła się strofa ze starego wiersza:

*Ciągnie mnie w mroczną głęb tej kniei,
lecz woła trzeźwy świat nadziei,
i wiele mil od snu mnie dzieli... **.*

Hanne ciągnęła:

- Nigdy ich niczego nie uczyliście, nie stawialiście granic?
- Teraz już nie czas na stawianie granic. Oni i tak niedługo się wyprowadzą.
- Nie, nie zrobią tego, czemu niby mieliby to zrobić? Mają nas oboje w garści, mogą mnie pod twoją nieobecność terroryzować, ile tylko chcą.

Gdybyśmy chociaż mogli się napić, pomyślał Jan. Spać będą mogli pójść dopiero wtedy, gdy Hanne opadnie z sił. A wiedział, że to się pewnie nie stanie tak szybko, ponieważ skarżąca się na osłabienie i mdłości ciężarna dostała zwolnienie lekarskie i całe dni spędzała w łóżku. Leżała w nim niczym głodna lwica, szykując się do skoku na Jana, zupełnie jakby był niewinną antylopą gnu, niewinnym gnu, które chce się tylko chwilę przespać. Ale czy będzie mu to dane? Nie, dane mu to nie będzie. Janowi też się chciało płakać. Tęsknił za Julie. Wszyscy inni chcieli go tylko wykorzystać, wyssać z niego życiowe soki. Był tak zmęczony, że nie miał już nawet siły cenzurować swoich własnych myśli. Julie, westchnął w duchu. Chcę do Julie. Chcę mieszkać razem z Julie, chcę żyć w jej przewiewnym mieszkaniu, gdzie nie ma dzieci, a są za to dzieła sztuki na ścianach i stojak na wino w kuchni, tam właśnie pragnę mieszkać.

Gdzieś w domu trzasnęły drzwi. Chłopcy pewnie wszystko słyszeli, ale Jan nie miał siły się tym przejmować.

Położył się. Wykonał ostatnią próbę.

– Hanne, jestem tak straszliwie zmęczony...

Hanne uderzyła pięścią w ramę łóżka, aż zatrzęsł się cały mebel.

– Ale ty ZAWSZE jesteś zmęczony!

Zaczęła go przedrzeźniać:

– *Ach, taki jestem zmęczony, muszę się teraz przespać, nie moglibyśmy o tym porozmawiać rano?* Tylko kiedy my, KURWA MAĆ, mamy rozmawiać? Mamy taką możliwość tylko tutaj i tylko wieczorem, nie rozumiesz?

Jej głos dźwięczał w pokoju, a Jan wiedział, że będzie mógł zasnąć dopiero za kilka godzin i że przed snem będą musieli się kochać. Ledwie był w stanie siedzieć na łóżku, jakim cudem miał jeszcze podołać stosunkowi? Wcześniej tego dnia był już przecież z Julie, a czasy, kiedy mógł to robić kilka razy w ciągu doby, zdecydowanie miał już za sobą. Musiał siedzieć, bo jeśli się położył, to zaraz by odpłynął. Był tak zmęczony, że zdołałby nawet zasnąć, słuchając wrzasków Hanne.

Kilka dni po tej rozmowie zadzwonił do Ingrid.

– Cześć, to ja.

– Cześć.

– Jak się miewasz?

– Dobrze.

– Gdzie teraz jesteś?

– W Altei, to takie małe miasteczko na Costa Blanca. Tak tu ładnie, poza sezonem prawie nie ma turystów. Każdego dnia chodzę na spacer promenadą przy plaży. Znalazłam restaurację, gdzie dają niewiarygodnie pyszną paellę i świetne wytrawne białe wino za jedyne dziewięć euro.

Jan usiadł na podłodze, opierając plecy o ścianę.

– Brzmi wspaniale.

– A ty jak się miewasz?

– Nie mam pojęcia, co wyprawiam.

– O co chodzi? Coś z chłopcami?

– Nie, nie, u nich wszystko dobrze.

Jan czuł się wstawiony, wcześniej poszedł do Julie i pił z nią wino. Powiedział Hanne, że spotyka się z kolegą. Był to pierwszy raz, gdy odwiedził Julie w jej domu wieczorem. Teraz siedział w pokoju w piwnicy, tym samym, z którego w swoim poprzednim życiu potajemnie dzwonił do Hanne. Życie Jana pełne było kryjówek i kłamstw, do tego stopnia, że często sam przestawał się w nim orientować. Chwilami wydawało mu się, że zdradza Julie z Hanne, że to z Julie mógłby żyć w świetle dnia, Hanne zaś była kochanką, którą nadal musiał ukrywać.

– Czemu dzwonisz?

Głos Ingrid był zupełnie zwyczajny, chciała po prostu wiedzieć, dlaczego się do niej odezwał. Jan marzył, by było tak jak wiosną albo latem, by nie odbierała od niego telefonów albo rozłączała się w połowie rozmowy. Tymczasem jej spokojny, przyjazny głos smucił go bardziej niż cokolwiek innego.

Usłyszał, że przełyka. Nie był to odgłos nerwowego połykania śliny, raczej dźwięk, jakby coś piła. Czyżby siedziała tam w Hiszpanii i alkoholizowała się, sama, w aucie? Jan się ucieszył. Nie dlatego, że życzył Ingrid źle. Ale jeśli zaczęła pić do lustra w samochodzie, to jej życie było bardziej podobne do jego własnego, stawali się w ten sposób sobie bliżsi.

– Chciałem tylko pogadać. Ingrid, nie mam pojęcia, co ja wyprawiam. Nie rozumiem, co takiego zrobiłem.

– Odszedłeś ode mnie i jesteś z Hanne. Niedługo urodzi się wam dziecko, chłopcy będą mieli przyrodniego brata albo siostrę. Zostałeś znów oddelegowany do produkcji albo, precyzyjniej rzecz ujmując, reprodukcji.

– Jesteś pijana?

– Pijana? Nie, skąd.

Ingrid znów coś przełknęła.

– Co pijesz?

– Kakao. Kiedy tu wieje, to robi się dość zimno, mieszkając w aucie, człowiek doświadcza

żywołów w zupełnie inny sposób. To trochę tak, jakby nocować pod namiotem. Ale jest też na swój sposób pięknie. Czytam, chodzę na spacer, każdego ranka uprawiam sport. Przesypiam całe noce. Nie mam toalety ani bieżącej wody, a mimo to nigdy nie było mi tak dobrze jak teraz. Jesteś w stanie to zrozumieć?

Nie, Jan nie był w stanie tego zrozumieć. Ale powiedział, że tak czy inaczej miło mu to słyszeć. I pomyślał, że te słowa są prawdziwe, że naprawdę chce, by Ingrid było dobrze, że to takie czyste i szczere uczucie. A myśl ta sprawiła mu przyjemność.

10

W pierwszej kolejności Ingrid przetransportowała się ze swoim nowym domem przez granicę, do Szwecji. Wszystko było tam lepsze. Zawsze żywiła takie przekonanie, wiarę, że w Szwecji jest lepiej. Nie wspominając już o tym, że taniej. Zasiłek chorobowy mógł jej tam wystarczać na dłużej, a jednocześnie rozumiała język i mogła chodzić do lekarzy.

Pojechała do Strömstad i zaparkowała przy porcie. Kupiła sobie w ICA wodę mineralną oraz sałatkę z tuńczykiem. Usiadła w samochodzie i jadła, przyglądając się przechodniom. Potem położyła się z tyłu i trochę odpoczęła. Ludzie mijali auto i rozmawiali ze sobą tak, jak się ze sobą rozmawia, wierząc, że nikt inny nie słyszy wymiany zdań, Ingrid zaś wyobrażała sobie, że jest żółwiem, a samochód skorupą, do której może się schować. Potem zaczęło padać, krople deszczu bębniły o karoserię i przepędziły wszystkich z ulic. Ale ona wciąż tu leżała, było jej sucho i ciepło.

Następnego ranka kupiła sobie pieczywo chrupkie i ser topiony w tubce. Kupowała tylko to, co była w stanie na bieżąco zjeść i w związku z tym nie potrzebowała lodówki. Jeździła wąskimi szutrowymi drogami nad morzem. Kupiła jajka i usmażyła je na kuchence turystycznej, siedziała na rozkładanym krześle kempingowym i jadła, patrząc na łodzie, na przeglądające się w morzu jesienne słońce, na stos rybackich sieci porzuconych na przystani.

W następnych dniach zdarzało się, że nocowała gdzieś nad morzem, ale z reguły wracała do Strömstad i to tam spała. Przebywanie na łonie natury zawsze przepełniało ją lękiem, czuła się bezpieczniej otoczona domami i latarniami, wśród krajobrazu naznaczonego ludzką działalnością.

Znalazła klub fitness oferujący darmowy tydzień próbnego członkostwa, mogła tam wziąć prysznic, co po niemal miesiącu mycia się letnią wodą w białej balii wydawało jej się prawdziwym cudem. Spływająca po ciele gorąca woda, co za niewyobrażalny luksus. Każdego ranka chodziła na spinning, po którym klub oferował darmowe śniadanie. Ingrid obliczyła, że wydatek na kartę członkowską zwróciłby się jej kilkakrotnie przez sam wzgląd na ten posiłek, za który nie musiała płacić.

Jeździła po całym Strömstad i nigdy nie spała dłużej niż jedną noc w tym samym miejscu. Wiedziała jednocześnie, że wkrótce skończą jej się miejsca postojowe, a gdy nadejdzie zima i znikną turyści, będzie się zbytnio rzucać w oczy w tym małym miasteczku.

Pewnego dnia pojechała na południe, do Lysekil. Wyruszyła tam po czterech tygodniach w Strömstad, zakładając, że spędzi tam tyle samo czasu, i na tej zasadzie będzie się przemieszczać wzdłuż szwedzkiego wybrzeża, z jednej miejscowości do drugiej, brnąc wciąż na południe.

Ale gdy zobaczyła z auta opustoszały port, pełen nieczynnych knajp sprzedających pizzę

i kebab, miała ochotę zawrócić i pojechać z powrotem do Strömstad. Mimo to zaparkowała na obrzeżach miasteczka i ruszyła na spacer morskim brzegiem. Po jakimś czasie dotarła do nowoczesnej restauracji leżącej niedaleko przystani. Weszła. Zajęta była zaledwie połowa stolików, promienie wieczornego słońca wpadały do lokalu przez ogromne okna, salę wypełniał zapach owoców morza i czosnku. Usiadła przy wolnym stoliku pod ogromnymi oknami i zamówiła specjalność szefa kuchni, którą okazało się „Menu homarowe” z dobranym do każdego dania winem; wszystko to pochłonęło cały jej miesięczny budżet na jedzenie. Postanowiła, że zobaczy, co robi następnego ranka. Mogła robić, co chciała. Miała tu wszystko, co było jej potrzebne. Jan mieszkał w domu, pilnował chłopców, ogrodu oraz Ulli i Jørgena. Hanne pewnie niedługo sprzeda swoje mieszkanie i Jan będzie mógł ją spłacić, ona zaś kupi sobie lokal pod wynajem, który zapewni jej radosne i ekologiczne życie, życie, które nie będzie pożerać rezerw, lecz zasoby będą odnawiać się co miesiąc, życie zasilane spalinami jej dawnej egzystencji.

Jadła zupę z homara, słuchając rozmów wokół siebie. Otaczał ją szum głosów i czuła się, jakby ładowała baterie, nie tylko jedzeniem i winem, ale i bliskością innych ludzi, mimo że z nikim nie rozmawiała. Lecz z każdym wdechem włączała do płuc powietrze, które było też w płucach innych gości, powietrze, dzięki któremu biły ich serca.

A potem zapłaciła i wyszła, zajęła miejsce na siedzeniu kierowcy i chwilę posłuchała radia, po czym przepelzła do tyłu auta i położyła się na materacu. Zasnęła przed dziesiątą wieczorem i już następnego ranka była w drodze na południe. I tak jechała, coraz dalej, aż dotarła do granicy, za którą przestawała obowiązywać Europejska Karta Ubezpieczenia Zdrowotnego.

Serdeczne podziękowania dla
Anne Lise Jomisko, Finna Mølmena,
Anitry Lykke, Vibeke Devold,
Therese Sollien, Cathrine Narum
i Pettera Hagen.

- * *Rectum* (łac.) – odbytnica [przyp. tłum.].
- ** Fragment wiersza Roberta Frosta *Przystając pod lasem w śnieżny wieczór* w przekładzie Stanisława Barańczaka (Źródło: *Mały, lecz maksymalistyczny Manifest translatologiczny albo: Tłumaczenie się z tego, że tłumaczy się wiersze również w celu wytłumaczenia innym tłumaczom, iż dla większości tłumaczeń wierszy nie ma wytłumaczenia* [w:] „Teksty Drugie: teoria literatury, krytyka, interpretacja” nr 3, 1990, s. 7–66, przyp. tłum.).

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz